

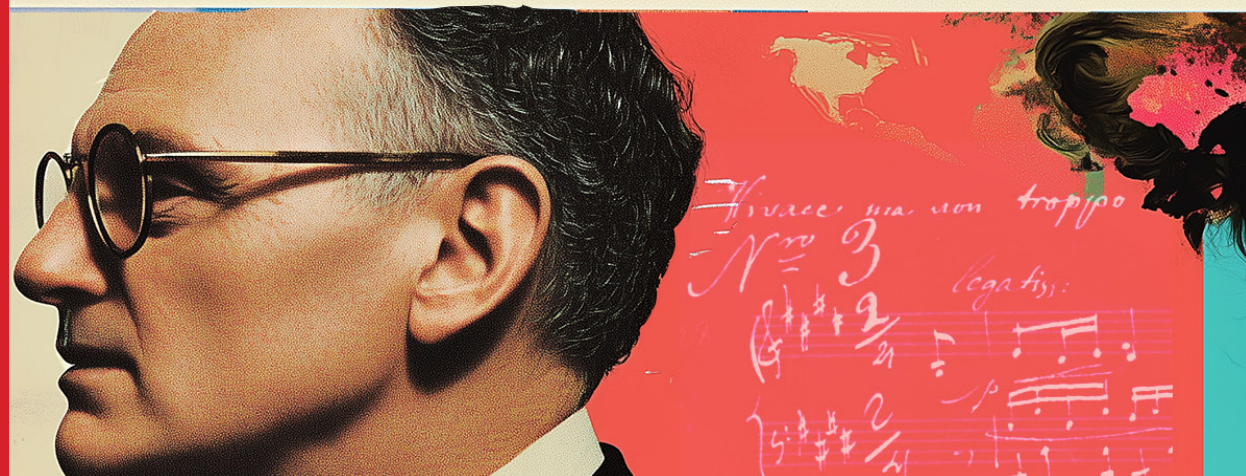
WYDAWNICTWO FUNDACJA INSTYTUT POKOLENIA
PRZEDSTAWIA:

50 POKOLEŃ POLAKÓW



ISBN 978-83-975770-1-5

ROSZKOWSKI • WILDSTEIN • POLAK • FAŁKOWSKI



AUTORZY I WSPÓŁPRACOWNICY

Autorzy felietonów	Prof. Wojciech Fałkowski, Prof. Wojciech Polak Prof. Wojciech Roszkowski Bronisław Wildstein
Koncepcja	Barbara Socha
Projekt okładki i ilustracje	Danuta Nierada
Redakcja językowa i korekta	Dobromiła Olszewska
Projekt graficzny i skład	Danuta Nierada
Kierownik produkcji	Barbara Socha
Współpraca	Kancelaria Prezydenta RP
Wydawnictwo	Fundacja Instytut Pokolenia
Rok wydania	2025
ISBN	978-83-975770-1-5

fundacja@instytutpokolenia.org

 Instytut Pokolenia
fundacja

KPRP
Kancelaria Prezydenta
Rzeczypospolitej
Polskiej

50
POKOLEŃ
POLAKÓW



WSTĘP

DRODZY CZYTELNICY!

Zbiór esejów, który oddajemy w Wasze ręce, jest częścią narodowej i oddolnej potrzeby wspólnotowego przeżywania spraw naprawdę ważnych. A taką niewątpliwie jest, przypadająca 18 kwietnia tego roku, tysięczna rocznica koronacji Bolesława Chrobrego, pierwszego Króla Polski.

Obok tak wielkiego jubileuszu nie sposób przejść obojętnie. Oznaczałoby to zerwanie więzi rodzinnych w tym najgłębszym wymiarze, jakim jest miłość do Matki-Ojczyzny pięćdziesięciu pokoleń Polaków - Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Fundacja Instytut Pokolenia, we współpracy z Kancelarią Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy, otwiera debatę uznanych historyków, profesorów i publicystów. Chcemy do niej zaprosić wszystkich, którzy przyszłe losy naszego kraju postrzegają jako wielką troskę i poważne zobowiązanie. Chcemy, by toczyła się ona przy stołach polskich rodzin, w szkolnych klasach, w obszarze szeroko pojętej kultury. Chcemy wreszcie, by jedno z najważniejszych pytań w historii ludzkości: kim jestem? odnalazło wśród naszych rodaków odpowiedzi, które składają się na fundament naszej zbiorowej tożsamości.

Zapraszając do współpracy prof. Wojciecha Fałkowskiego, prof. Wojciecha Polaka, prof. Wojciecha Roszkowskiego oraz Bronisława Wildsteina, mieliśmy pewność, że otrzymamy wnikliwe interpretacje dziejów naszych przodków. Jednocześnie zwróciliśmy się z prośbą do twórców wykorzystujących nowe technologie w sztuce, by zobrazowali przywoływane treści i tak powstały ilustracje do niniejszego zbioru esejów. Z naszej strony jest to niewielka prowokacja, której istotą niech będzie łączenie tego, co dawne, niezmiennie i drogocenne - a tak rozumiemy pamięć głęboką narodu - z tym co nowe, intrygujące i współczesne, zanim stanie się wraz z nami historią. W ten sposób zapraszamy wszystkich Państwa do tworzenia międzypokoleniowego dialogu, którego istotą jest troska o Pamięć i Dobro Wspólne.

Życząc Państwu dobrej lektury, ośmielam się prosić: rozmawiajmy w naszych domach, w naszych rodzinach, wśród przyjaciół o Polsce, Jej historii i przyszłości.

Barbara Socha

Prezes Zarządu Fundacji Instytutu Pokolenia

LIST PREZYDENTA RP

*Uczestnicy i Organizatorzy konferencji
„Pięćdziesiąt pokoleń Polaków”
z okazji tysiąclecia koronacji
dwóch pierwszych królów Polski:
Bolesława Chrobrego i Mieszka II Lamberta
w Belwederze w Warszawie*

Warszawa, 8 kwietnia 2025 roku

SZANOWNI PAŃSTWO!

Najstarsza kronika opisująca dzieje Polski powstała ponad 900 lat temu. Jej autor, Gall Anonim – w którym wielu dzisiejszych badaczy upatruje Wenecjanina, być może rodem z Dalmacji – tak streszczał położenie, status i losy państwa polskiego: „Kraina owa [...] w tym przodkuje najbardziej przed innymi, że jakkolwiek opasana jest od tyłu rodów, bądź chrześcijańskich, bądź bałwochwalczych, a przez wszystkie pospołu lub pojedynczo po wielokroć napastowana, nigdy jednak od żadnego pod jarzmo nie była ugięta”.

Jest to kwintesencja polskiej historii – wymownie rozbrzmiewająca z głębin wieków. Pamiętamy o późniejszych dramatycznych doświadczeniach naszego narodu z czasów zaborów i obcych okupacji. A jednak stwierdzamy, że wielki, ponadtysiącletni bilans Polaków wypada nad wyraz chlubnie. Syntezą polskich dziejów jest bowiem dumne trwanie naszego niepodległego narodu – wbrew wielowiekowym zakusom naszych wrogów, którzy próbowali Polskę od siebie uzależnić, podbić czy wręcz unicestwić.

Tu, w środku Europy – na przecięciu geopolitycznych wektorów, wpływów oraz nacisków z zachodu i wschodu, północy i południa – potrafiliśmy ufundować i umocnić własne ojczyste miejsce, stworzyć oryginalną i niepodważalną tożsamość narodową, osiągnąć ponadczasową suwerenność, podmiotowość i sprawczość. Mimo licznych dziejowych burz, które tak silnie miotają Polskę zwłaszcza w ostatnich stuleciach, nigdy nie ulegliśmy przemocy i zawsze odradzaliśmy się do niepodległego bytu. Nasze białoczerwone barwy są znakiem historycznego zwycięstwa.

Odczuwamy to szczególnie mocno teraz, gdy zbliża się wielki dziejowy jubileusz – milenium koronacji pierwszego polskiego króla, Bolesława Chrobrego, oraz niewiele późniejszej koronacji jego syna, Miesz-

ka II Lamberta. Uzyskanie godności królewskiej przez wybitnego władcę, obdarzonego ogromną energią i przenikliwością, jakim był Chrobry, nie dokonało się przez przypadek. Wręcz przeciwnie – stanowiło wspaniałe zwieńczenie dynastycznego i państwowotwórczego dzieła Piastów. W połowie X wieku emanujący z Gniezna zamyśl skonsolidowania domen plemiennych i ustanowienia silnego władztwa zabłyśnął jak intensywny płomień, a wraz z epokową, suwerenną decyzją księcia Mieszka I o chrystianizacji Polski nasz kraj trwale umocnił swoje miejsce w kręgu cywilizacji europejskiej.

Przejąwszy tak znakomite dziedzictwo po ojcu, Bolesław Chrobry u kresu swego długiego i świetnego panowania poprzez akt koronacji uzyskał wymowne uznanie pozycji i znaczenia Polski. Królewskie namaszczenie Bolesława Chrobrego, które dokonało się najpewniej w archikatedrze w Gnieźnie w Wielkanoc przypadającą 18 kwietnia 1025 roku, było jednym z najdonioślejszych wydarzeń w naszej historii – niepodważalnym świadectwem niepodległości i suwerenności młodego państwa, wpisaniem naszej Ojczyzny do trzonu konstrukcji średniowiecznej christianitas, a zarazem potwierdzeniem naszej geopolitycznej rangi, która jest udziałem Polaków od tysiąca lat.

Istotnego znaczenia Królestwa Polskiego dowiodła także natychmiastowa wręcz koronacja Mieszka II Lamberta, który objął tron pod koniec 1025 roku, po śmierci ojca. Mimo zmiennych kolei losu, jakich doświadczył nasz kraj w późniejszych wiekach, tradycja monarsza zrosła się ze statusem Polski.

Milenium koronacji Bolesława Chrobrego i Mieszka II Lamberta to okazja do historiozoficznej refleksji i do złożenia hołdu pokoleniom Polaków – w tym również przedstawicielom innych narodów współtworzącym nasz ojczysty dom, którzy w długim łańcuchu patriotycznego dziedzictwa pielęgowali i bronili polskiej niepodległości. Jesteśmy winni cześć nie tylko władcom i wodzom, lecz także mężom stanu, koryfeuszom polskiej myśli politycznej, uczonym, artystom, twórcom kultury; duchownym i świeckim orędownikom wiary i fundamentalnych wartości; budowniczym, mistrzom rzemiosła i przedsiębiorcom; edukatorom, wychowawcom i społecznikom. Słowem: wszystkim ludziom szabli, pióra i codziennej wytrwałej pracy, którzy na przestrzeni wieków, aż po czasy najnowsze, byli strażnikami polskości i mocy naszego suwerennego państwa. W imieniu Rzeczypospolitej pragnę dziś, w tym szczególnym czasie, uczcić ich zasługi, a także dzielić z Państwem poczucie zobowiązania i dumę z tego, że możemy rozwijać ich wspaniały dorobek, który pozostanie dla nas inspiracją i wezwaniem do budowania nowoczesnego, bezpiecznego i silnego państwa.

Bardzo się cieszę, że obchody tysiąclecia koronacji pierwszych polskich królów uświetnia konferencja, rozpoczynająca się właśnie w Belwederze – miejscu, gdzie bije puls naszej historii. Wyrażam uznanie dla organizatorów oraz uczestników tej cennej debaty. Serdecznie dziękuję także za publikację stanowiącą podsumowanie Państwa namysłu i dociekań. Bez wątpienia będzie to ważny głos na temat polskiego dziedzictwa, tożsamości i przyszłości. Już teraz zachęcam rodaków do lektury tego wydawnictwa. Wszystkim zgromadzonym na dzisiejszej konferencji życzę owocnych obrad.

Z wyrazami szacunku


Andrzej Duda
Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej

The image is a complex collage. On the left, a white horse is depicted in a detailed, almost etched style. In the center, there's a faded, sepia-toned historical illustration of a battle scene with soldiers on horseback, one of whom is holding a flag. On the right, a dark silhouette of a person is shown from the side, holding a camera up to their eye as if taking a photograph. The background is a mix of white, light red, and dark red areas, with some faint musical notation and handwritten text visible in the upper right corner. The overall mood is one of historical reflection and modern documentation.

WOJCIECH ROSZKOWSKI

MOJE TYSIĄCLECIE



Wojciech Roszkowski, ur. 1947, profesor historii w Instytucie Studiów Politycznych PAN w Warszawie. *Fellow* International Wilson Center for Scholars w Waszyngtonie i *visiting professor* na Univeristy of Maryland w College Park (1988-1989), prorektor Szkoły Głównej Handlowej (1990-1993), dyrektor ISP PAN (1994-2000), Kościuszko Chair of Polish Studies na University of Virginia w Charlottesville (2000-04), poseł do Parlamentu Europejskiego (2004-2009), przewodniczący Rady Muzeum Historii Polski (do 2023).

Autor m.in. „Najnowszej historii Polski”, pierwotnie wydanej w podziemiu pod pseudonimem Andrzej Albert, wielokrotnie wznawianej po 1990 r. pod nazwiskiem Roszkowski, skróconej jej wersji „Historia Polski 1914-2001” (dziesięć wydań z uaktualnieniami), a także „Gospodarcza rola większej prywatnej własności ziemskiej w Polsce 1918-1939” (1986), „Land Reforms in East Central Europe after World War One” (1995) i „Półwiecze. Historia polityczna świata po 1945 roku” (1997), współredaktor i autor „Biographical Dictionary of Central and Eastern Europe” (2008), autor „East Central Europe. A Concise History” (2015), „Cultural Heritage of East Central Europe. A Historical Outline” (2015), „Świata Chrystusa” w trzech tomach (2016-2017), pracy „Roztrzaskane lustro. Upadek cywilizacji zachodniej” (2019) i kilkunastu innych książek.

Kawaler Orderu Orła Białego i wielu innych odznaczeń.

MOJE TYSIĄCLECIE MOJA POLSKA

Historycy mają na ogół swoje specjalności i niechętnie odchodzą od tematyki, która jest im bliska. Jednak pomimo różnicy zainteresowań posiadają coś, co ich łączy - jest tym ciekawość poznawania minionych dziejów. Ufam, że w przypadku odkrywania historii tysiąclecia Polski, również każdy z Czytelników był i jest otwarty na jej poznawanie. Niewątpliwie bowiem wszyscy nosimy w sobie jakiś jej obraz, na który składają się różne wspomnienia, uczucia, obrazy. Dla mnie osobiście tworzą ją wspomnienia związane z sytuacjami prowadzącymi do odkrywania polskiej historii oraz informacje dotyczące tych moich przodków, na temat których zdołałem coś ustalić.

+

Po raz pierwszy zetknąłem się z wiedzą o polskiej historii w dzieciństwie, oglądając w wieku kilku lat ilustrowaną książkę Marii i Zygmunta Wojciechowskich „Polska Piastów Polska Jagiellonów”. Było tam zdjęcie resztek obwarowań Santoka, spalonego podczas walk Mieszka I z Wichmanem, mapka zachodniej Słowiańszczyzny oraz płaskorzeźby z drzwi katedry gnieźnieńskiej, przedstawiającej wążenie ciała świętego Wojciecha podczas wymiany na złoto z pogańskimi Prusami, którzy go zamordowali. Wiedziałem więc już kim był mój patron i co się z nim stało. Dowiedziałem się też, że pierwszym królem Polski był koronowany w 1025 roku Bolesław Chrobry, syn Mieszka, co wywołało „oburzenie w Niemczech”. Dowiedziałem się też, że Bolesław dzielnie wojował z cesarstwem niemieckim, co wówczas, jakieś mniej niż dziesięć lat po wojnie, mogło napawać dumą. Dzisiaj także warto niezależność Bolesława przypominać,

**PO RAZ PIERWSZY
ZETKNAŁEM SIĘ Z WIEDZĄ
O POLSKIEJ HISTORII
W DZIECIŃSTWIE,
OGLĄDAJĄC W WIEKU
KILKU LAT ILUSTROWANĄ
KSIĄŻKĘ MARI I ZYGMUNTA
WOJCIECHOWSKICH
„POLSKA PIASTÓW POLSKA
JAGIELLONÓW”**

skoro zdominowana przez Niemcy Unia Europejska chce nam narzucać swoją wolę wbrew traktatom. „Walczył z cesarstwem – jak napisał ostatnio o Chrobrym Andrzej Nowak – które chciało mu zgiąć kark. A on miał kark gruby i twardy, nie chciał - nawet udając – zginać go wobec niemieckiej przewagi”.

Wiele lat później, starając się zgłębić historię moich przodków Roszkowskich, należących do herbownych Ogończyka, by odnaleźć więzy łączące mnie z tymi odległymi czasami, natrafiłem na legendę herbową Ogończyka w herbarzu ks. Kacpra Niesieckiego. Zawierała ona nieco ubarwioną historię tego herbu, jak również wzmiankę o tym, że autor anonimowej, nie zachowanej zresztą, „Genealogii Ogończyków” z 1692 roku widział koło zamku w Radzikach nad Drwęcą kamień wytarty od kół powozów, na którym odczytał herb Ogończyk i napis po łacinie: Petrus de Radziki F. Nicolai F. Georgii F. Janussi F. Petrassi F. Mirosłai F. Powąta hic requievi Anno Christi MCXXVI. Z napisu tego, pochodzącego z roku 1126, autor ten wnosił, że ów Piotr (Petrus), o którego zaręczynach z Odrowążówną mówi legenda herbowa, był synem niejakiego Mikołaja, wnukiem Jerzego, prawnukiem Janusza, praprawnukiem Piotrasza, prapraprawnukiem Mirosława, a ten z kolei synem Powąty, który miał ponoć przybyć z Węgier. Odrowążowie byli nota bene potężnym rodem na Morawach i Śląsku jeszcze w czasach pogańskich. Ich herb przypomina nieco herb Ogończyków, a znalazłem go znacznie później na portalu zamku w Czeskim Krumlowie. Licząc sześć pokoleń wstecz od Piotra z Radzików, dochodzimy do przełomu X i XI wieku, a więc czasów Mieszka i Chrobrego. Zbyt pewne to wszystko nie jest, ale jakie budzi wrażenia i domysły!

Według prawideł genealogii każdy człowiek ma dwoje rodziców, czworo dziadków, ośmioro pra-

dziadków i tak dalej. W dziesiątym pokoleniu wstecz mamy 1 024 przodków, w dwudziestym pokoleniu – 1 048 576 przodków, a w pięćdziesiątym pokoleniu liczba ta przekracza liczbę ludzi, którzy kiedykolwiek żyli na ziemi. Oznacza to, że duża część tych przodków to te same osoby. Sprawę komplikuje dodatkowo fakt, że liczba pokoleń przodków „po mieczu” jest znacznie mniejsza niż „po kądzieli”, gdyż statystycznie mężczyźni mieli w historii dzieci znacznie później niż kobiety. Liczba pięćdziesięciu pokoleń przyjęta umownie w tej pracy wynika z kompromisu między liczbą pokoleń „po mieczu” i „po kądzieli”.

Historią średniowiecza nigdy się zawodowo nie zajmowałem. Natomiast zawsze wielkie wrażenie robił na mnie zamysł panów małopolskich, by wydać dziesięcioletniego króla Polski w osobie księżniczki Jadwigi Andegaweńskiej za wielkiego księcia litewskiego Jagiełłę. Zadawałem sobie pytanie, czy mogli oni przewidzieć, co z tego wyniknie w ciągu następnych prawie 200 lat. Wśród owych panów małopolskich kręcił się zapewne Bolko Zawisza z Roszków, jak sądzę tych sandomierskich, gdyż ożenił się ponoć z panną od Jastrzębców z Rytwian. Miejsce, czas i herb wskazywałyby, że była krewną arcybiskupa Wojciecha Jastrzębca. Jednakże o ile Zawisza wystąpił w kronice Długosza, gdzie w 1390 roku miał uratować z rzeki rycerza krzyżackiego, a potem go słusznie ubić w pojedynku, to jego utożsamienie z Bolkiem z Roszków i jego ślub z Jastrzębcówną jest częścią opowieści rodzinnej. Opowieść ta, na ile jest prawdziwa, sytuuje Bolka jako jednego z 262 144 moich przodków w osiemnastym pokoleniu po mieczu. A to moja Polska właśnie. Pamięć przodków to duża część mojej Polski.

Jadwiga Andegaweńska. Co do Jadwigi wątpliwości być nie może. Zmarła zaraz po swojej córeczce, więc z pewnością nie należy do mojego drzewa

genealogicznego. Jest ona jednak prawdziwą bohaterką mojej historii Polski. W czasach, gdy na następcę tronu szykowany był najczęściej najstarszy syn, królowi Węgier i Polski, Ludwikowi, urodziły się jedna po drugiej trzy córki. Najmłodsza z trzech sióstr, Jadwiga, przyszła na świat w lutym 1374 roku. W jej żyłach płynęła krew kilku panujących rodów. Po ojcu należała do rodu Andegawenów, po matce – do królewskiej rodziny Bośni i Piastów pomorskich, natomiast przodkami ojca, a więc dziadkami Jadwigi, byli Karol Robert Andegaweński i Elżbieta Łokietkówna z domu piastowskiego. Pradziadkami Jadwigi byli między innymi król Węgier Karol Martel Andegaweński i Klemencja z domu Habsburgów, król Polski Władysław Łokietek i Jadwiga, córka Bolesława Pobożnego i błogosławionej Jolanty z domu Arpadów. Na dworze Ludwika w Budzie przygotowywano oczywiście trzy córki króla do pełnienia ról królowych. Szczególną wagę przykładano do nauki i praktyk religijnych. Ludwik dbał o koneksje dynastyczne swego królestwa. Było tylko kwestią wyboru za kogo Jadwiga wyjdzie za mąż i jakie będzie to miało znaczenie polityczne. W czerwcu 1378 roku czteroletnią Jadwigę zaręczono z ośmioletnim wówczas Wilhelmem Habsburgiem. Odbyła się nawet formalna ceremonia zaręczyn o charakterze sponsalia de futuro, a więc związku zrywalnego za dużym odszkodowaniem. Po śmierci Ludwika, na zjeździe rycerstwa polskiego w Radomsku w listopadzie 1382 roku postanowiono, że jedna z jego córek zostanie wybrana królem Polski. Kiedy po śmierci ojca Maria została królową Węgier, w lutym 1383 roku królowa-wdowa Elżbieta Bośniaczka postanowiła wysłać do Polski Jadwigę. 13 października 1384 roku Jadwiga przybyła na Wawel, a trzy dni później została koronowana na króla Polski. Miała wtedy dziesięć i pół roku. Ze względu na jej młody wiek władzę w państwie sprawowała grupa panów małopolskich w porozumieniu z Elżbietą Bośniaczką, choć według wielu źródeł dziewczynka miała ponad wiek rozwinięty zmysł polityczny, a także kierowała się nie tyle dziewczęcymi emocjami, ile głęboką wiarą. W ciągu następnego roku rozegrała się dramatyczna walka o to, kogo Jadwiga poślubi. Wielmoże małopolscy nawiązali ponownie kontakt z dworem litewskim, zapoczątkowany jeszcze za czasów Ludwika. W sierpniu do Krakowa przybył Wilhelm Habsburg, ale stronnictwo mu nieprzychylnie nie wpuściło go na Wawel. Jadwiga spotkała się z nim jedynie na moment w klasztorze franciszkanów u stóp wzgórza wawelskiego. Tymczasem panowie małopolscy wynegocjowali plan małżeństwa Jadwigi z wielkim księciem Jagiełłą, które miało scementować unię polsko-litewską pod warunkiem chrystianizacji pogańskiej jeszcze w dużej mierze Litwy. W układzie podpisanym w Krewie 14 sierpnia 1385 roku Jagiełło dostał obietnicę małżeństwa z Jadwigą pod warunkiem nawrócenia Litwy i uwolnienia wszystkich polskich jeńców wojennych. Co więcej, Jagiełło podpisał oświadczenie, iż zwiąże swe ziemie z Polską na wieczne czasy (perpetuo applicare). Była to obietnica trwałej unii polsko-litewskiej. Z istniejących źródeł nie możemy

13 PAŹDZIERNIKA 1384
ROKU JADWIGA PRZYBYŁA
NA WAWEL, A TRZY
DNI PÓŹNIEJ ZOSTAŁA
KORONOWANA NA KRÓLA
POLSKI. MIAŁA WTEDY
DZIESIEĆ I PÓŁ ROKU

do końca poznać rozterek jedenastoletniej dziewczynki. Jej niepokój musiała budzić perspektywa małżeństwa ze starszym od siebie i zupełnie nieznanym poganinem. Można się tylko domyślać, jak trudne było to dla niej w wymiarze emocjonalnym. Wiadomo, że spędziła niejedną godzinę, modląc się pod krzyżem zachowanym do dziś w katedrze wawelskiej. Zdecydowała jednak i w dniu 11 stycznia 1386 roku postowie polscy oznajmili Jagielle, że Jadwiga zgodziła się zostać jego żoną. Jednocześnie odwołała publicznie swoje sponsalia z Wilhelmem. Jagiełło przybył do Krakowa, w dniu 15 lutego 1386 roku przyjął chrzest, a trzy dni później Jadwiga i Jagiełło wzięli uroczysty ślub w katedrze wawelskiej. Jadwiga była już in annis maturitatis, czyli ukończyła dwunasty rok życia. 4 marca tegoż roku Jagiełło został ukoronowany na króla Polski. Miał tę godność sprawować jednak na równi z królem Jadwigą.

Rządy Jadwigi były okresem rozkwitu kulturalnego Polski. Jadwiga ożywiła działalność Akademii Krakowskiej, zleciła polskie tłumaczenie psalmów, a „Psałterz floriański” był jej stałą lekturą. Ufundowała wiele nowych kościołów i finansowała liczne istniejące już klasztory oraz szpitale. Dziełem jej życia była jednak unia personalna Polski z Wielkim Księstwem Litewskim. W wyniku jej decyzji pogańska jeszcze część Litwy nawróciła się na katolicyzm. Dynastia jagiellońska, którą zapoczątkowało jej małżeństwo z Jagiełłą, stała się jedną z najpotężniejszych w Europie, a polsko-litewskie państwo stało się europejskim mocarstwem na następne trzysta lat. Niestety, małżeństwo Jadwigi z Jagiełłą zostało gwałtownie przerwane. W dniu 22 czerwca 1399 roku Jadwiga urodziła córeczkę Elżbietę, która jednak zmarła po trzech tygodniach. 14 lipca zmarła też sama Jadwiga, prawdopodobnie na skutek gorączki połogowej. Pochowanie obu we wspólnej trumnie odczytać można jako wzruszający symbol wielkości i ograniczeń ludz-

kiej egzystencji. Wedle współczesnych zapisków Jadwiga była człowiekiem głębokiej wiary i modlitwy. Uprawiała też surowe umartwienia. Na ścianach swej komnaty umieściła dwie litery MM (Maria i Marta), symbolizujące dwa aspekty życia człowieka: modlitwę i pracę. Sama wyhaftowała drogocenny „racjonal”, szatę liturgiczną dla biskupów krakowskich, do dziś używaną podczas wielkich uroczystości kościelnych. Wiele wiemy też o jej działalności charytatywnej. Kiedy Jagiełło wynagrodził krzywdy jakimś chłopom, miała powiedzieć: „a któż im łyzy przywróci?”

Wielkość Rzeczypospolitej. Przez wiele lat miałem możliwość wykładać historię Europy Środkowej, w tym oczywiście Polski, studentom amerykańskim. W oczach moich studentów, najczęściej zupełnie nieświadomych naszej historii, mogłem nieraz zobaczyć zaskoczenie i uznanie. Stanowiły one nieraz pokusę, by tę naszą historię nadmiernie gloryfikować. Duma z polskości nie może jednak opierać się na zakłamaniu. A jednak w złotym okresie Rzeczypospolitej nie można było nie pokazywać państwa wieloetnicznego i wieloreligijnego, które przez dłuższy czas utrzymywało wielkość i ustrój oparty na szlacheckiej demokracji o zakresie wolności niespotykanym nigdzie indziej. Instrumentów, które tworzyły ten ustrój, było wiele. Pamiętać trzeba o unii horodelskiej z 1413 roku, która umocniła unię polsko-litewską przez wprowadzenie możliwych rodów litewskich w polski system herbowy. Skuteczność unii ujawniła się natychmiast w wojnie z Zakonem Krzyżackim. Konflikt ten znalazł kulminację w bitwie pod Grunwaldem 15 lipca 1410 roku, w której siły zakonu zostały rozbite, a wielki mistrz Ulrich von Jungingen poniósł śmierć. Krzyżacy nie przegrali jednak całkiem wojny, gdyż na mocy pokoju zawartego w Toruniu 1 lutego 1411 roku musieli oddać Polsce zagarniętą wcześniej Ziemię Dobrzyńską, ale zachowali w swoim posiadaniu Toruń i Ziemię Chełmińską. Mimo to Zakon

wystąpił do papieża z oskarżeniem Polski o sojusz z poganami przeciw chrześcijanom. W roli obrońców krzyża przedstawili siebie, a w roli pogan – dopiero co ochrzczonych Litwinów.

Sprawę miał, między innymi kwestiami, rozpatrzyć sobór w Konstancji. Delegacja Polski i Litwy była niezwykle okazała. Na jej czele stał arcybiskup gnieźnieński Mikołaj Trąba, a w jej skład wchodził między innymi rektor Akademii Krakowskiej Paweł Włodkowic. Do debaty na temat praw pogan był Włodkowic przygotowany jak mało kto. W traktacie „O wojnie i tolerancji” pisał: „Skoro niewierni chcą żyć spokojnie wśród chrześcijan, nie należy wyrządzać im żadnej przykrości na osobach i mieniu (...) Grzeszy więc władza, jeżeli bez powodu ich tego pozbawia; nawet i papież nie powinien zabierać im mienia, lecz przeciwnie, winien ich tolerować (...) A szczególnie należy tolerować Żydów, ponieważ przez ich księgi udowadniamy prawdę i wiarę naszą”. Spór z Krzyżakami był przedmiotem debat soboru w lipcu 1416 roku. Stanowisko polskie przedstawił Włodkowic. Postawił on śmiało jak na owe czasy tezę, iż poganie mają państwa z mocy prawa naturalnego, które nie zaprzecza prawu Bożemu. Dlatego też ani papież, ani cesarz, ani inna władza ziemską nie ma moralnego tytułu, by unieważnić to przyrodzone prawo pogan, jeśli tylko chcą żyć w pokoju. Władztwo krzyżackie w Prusach – doprowadził Włodkowic – opiera się na pogwałceniu tego prawa naturalnego, a nie na zgodzie rządzonych. Po wystąpieniu Włodkowica nastąpiła burzliwa dyskusja, podczas której przedstawiciele Zakonu Krzyżackiego przekonywali o tradycji prawa panowania „wiernych” nad „niewiernymi”, do których zaliczali między innymi Litwinów. Ze strony polskiej odwoływano się do zdrowego rozsądku, prawa naturalnego i Arystotelesa. Włodkowic powtarzał, że wśród pogan może też istnieć legalna władza, zaś do prawdziwej wiary należy pogan przekonywać, a nie przymuszać. Jego formuła

fides ex necessitate esse not debet (“Wiara pod przymusem nie zobowiązuje”) przeszła do historii. Ponieważ na dodatek delegacja chrześcijan ze Żmudzi oskarżyła Krzyżaków o przemoc i podkreśliła, że Polska zaprowadziła chrześcijaństwo na Litwie metodami pokojowymi, argumentacja polskiej delegacji zwyciężyła.

Podczas panowania Kazimierza Jagiellończyka doszło do nowej wojny z Zakonem Krzyżackim. Pomyślność i swoboda panujące w Polsce i Litwie pod rządami Jagiellonów skłoniły miasta gnębione przez Zakon do szukania pomocy w unii polsko-litewskiej. W wyniku wojny trzynastoletniej, na mocy pokoju w Toruniu z 1466 roku, Gdańsk i Warmia przeszły pod panowanie Jagiellonów, dzięki czemu Polska odzyskała dostęp do Bałtyku, utracony na początku XIV wieku. Aby zachęcić szlachtę do wojowania, Kazimierz nadał jej statut z Nieszawy z 1454 roku, w którym zobowią-

zał się nie uchylać żadnych praw ani nie prowadzić żadnej wojny bez jej zgody. Był to załączek demokracji szlacheckiej, której zręby stworzono wraz z powstaniem stałego Sejmu w 1468.

Kazimierz Jagiellończyk zmarł w 1492 r. w czasie, gdy Krzysztof Kolumb odkrywał Amerykę. Jagiellonowie panowali wówczas w Czechach, na Śląsku, na Węgrzech oraz dzierżyli Prusy Książęce i Mołdawię jako swoje lenna. Zneutralizowali nawet na jakiś czas Habsburgów, gdyż Kazimierz ożenił się z Elżbietą Habsburżanką. Największy problem stanowiła Turcja, która opanowała Wołoszczyznę, a w 1497 roku zdziesiątkowała jagiellońską armię pod Koźminem. Sprzymierzeni z Turkami Tatarzy wzięli około 100 tysięcy jeńców polskich. Ceną, jaką Jagiellonowie zapłacili szlachcie za poparcie wojny, były statuty piotrkowskie z 1496 roku, gdzie szlachta otrzymała monopol na władanie ziemią, a chłopów przypisano do ziemi, oraz konstytucja Nihil Novi z 1505 roku, które utrwaliły system polityczny Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Na początku XVI wieku potęga Jagiellonów starła się ze

wzrostem znaczenia groźnych sąsiadów. Niezależnie od Turcji Moskwa zaczęła ekspandować na zachód, roszcząc sobie pretensje do ziem ruskich należących do Wielkiego Księstwa Litewskiego. W dziele tym car Wasyl III znalazł sojusznika w Habsburgach i Prusach Książęcych. W 1514 roku Moskwa zdobyła Smoleńsk. Aby rozerwać sojusz habsbursko-moskiewski, Zygmunt I zgodził się, na mocy traktatu z Wiednia z 1515 roku, by w przypadku bezpotomnej śmierci Ludwika Jagiellończyka, króla Węgier, tron tego kraju przypadłby Habsburgom. Ludwik zginął w bitwie z Turkami pod Mohaczem w 1526 roku, a większość Węgier opanowali Turcy. Jagiellonowie stracili też wkrótce tron Czech. Pewną rekompensatą za te straty było zhołdowanie Prus jako świeckiego księstwa protestanckiego w 1525 roku.

Już pod koniec XV wieku gospodarka Rzeczypospolitej osiągnęła dzięki eksportowi zboża poziom porównywalny z krainami Zachodniej Europy, a o poziomie kultury świadczył fakt, że pierwsza książka została wydrukowana w Krakowie metodą Gutenberga 20 lat po jego Biblii. Pierwszą książką w języku polskim był „Raj duszny” Biernata z Lublina. Jeśli mówimy dzisiaj po polsku, to duża w tym zasługa tych, którzy łacinę zaczęli w kulturze wysokiej zastępować polszczyzną. Jeśli mamy więc pozostać świadomymi Polakami, z obowiązkowych lektur szkolnych nikt nie powinien usuwać tekstów Jana Kochanowskiego czy Mikołaja Reja, a każdy polski uczeń powinien znać nazwiska nie tylko Mikołaja Kopernika, który „wstrzymał Słońce i ruszył Ziemię”, ale także historyków Jana Długosza i Marcina Bielskiego, matematyka Wojciecha z Brudzewa, prawników Stanisława ze Skarbimierza i Włodkowica, pisarzy politycznych Jana Ostroroga i Andrzeja Frycza-Modrzewskiego oraz wiedzieć, że poza Akademią Krakowską podobne akademie powstały w Poznaniu, Wilnie i Zamościu.

W przeciwieństwie do większości państw europejskich, gdzie w XVI i XVII wieku toczyły się krwawe wojny religijne, Polska i Litwa były oazą tolerancji. „Rozumienie różne Pisma niech miłości nie targa między nami, ani niech jeden drugiemu nie urąga, niech każdy przy swoim rozumieniu ostaje” – tymi słowami przemówił na Sejmie w 1565 roku przedstawiciel króla Zygmunta II Augusta, podkanclerzy Piotr Myszkowski, do zwaśnionych pod względem religijnym posłów. Tolerancja religijna miała zresztą w Polsce długą tradycję. Jeszcze Kazimierz Wielki zagwarantował w 1341 roku prawosławnym poszanowanie ich obrządków i zwyczajów. W praktyce wolnością religijną cieszyli się nie tylko Ormianie, Żydzi, muzułmańscy Tatarzy i karaimi, ale w większości także protestanci. Przyjmując w 1525 roku hołd pruski król, Zygmunt I Stary uznał luteranizm za oficjalną religię Prus Książęcych. W Polsce nie prześladowano także nielicznych uchodźców anabaptystycznych i mennonickich. Kiedy po śmierci Zygmunta Starego w 1548 roku tron objął jego syn Zygmunt II August, stabilność władzy osłabił

**TOLERANCJA RELIGIJNA
MIAŁA ZRESZTĄ W POLSCE
DŁUGĄ TRADYCJĘ.
JESZCZE KAZIMIERZ WIELKI
ZAGWARANTOWAŁ W 1341
ROKU PRAWOSŁAWNYM
POSZANOWANIE ICH**

konflikt między szlachtą i magnaterią gromadzącą dobra i urzędy. Pozycję króla osłabiła także dość powszechna niezgoda przedstawicieli szlachty na małżeństwo Zygmunta, wówczas już wdowca, z ukochaną Barbarą Radziwiłłówną. Po jej przedwczesnej śmierci w 1551 roku stosunki między królem i szlachtą układały się na ogół pomyślnie, co wynikało i z dużej autonomii stanu szlacheckiego i ze spolegliwego charakteru króla. „Nie chcę być królem sumień waszych” powiedział kiedyś do posłów. Różnice w interpretacji Pisma Świętego odnoszono na ogół w sposób poważny i odpowiedzialny do kwestii społecznych i moralnych, a nie wykorzystywano ich do rozgrywek politycznych. Taki właśnie charakter miało piśmarstwo i działalność publiczna Jana Łaskiego, który porzuciwszy Kościół katolicki i ożeniwszy się, stał się jednak wielkim autorytetem intelektualnym, podobnie jak Frycz-Modrzewski, autor ponadczasowego dzieła „O naprawie Rzeczypospolitej” (1551), który także zerwał z Kościołem. Z kolei polski Kościół katolicki mógł się poszczycić tak wybitną postacią, jak kardynał Stanisław Hozjusz, syn Niemca z Badenii, który osiadł w Krakowie, stał się gorliwym Polakiem i wiernym obrońcą katolicyzmu. Jako biskup chełmiński i warmiński, sekretarz króla Zygmunta Starego i sekretarz wielki korony za Zygmunta Augusta, Hozjusz przewodniczył nawet jednej z sesji Soboru Trydenckiego. Tolerancja wyznaniowa była w Polsce i Litwie koniecznością, jeśli miały one stanowić jedno, choć podwójne państwo na mocy Unii Lubelskiej z 1569 roku. Rozniecenie sporów na tle religijnym mogło bowiem zniweczyć to polityczne dzieło. Ważnym krokiem ku porozumieniu między głównymi wyznaniem w Polsce była Ugoda Sandomierska z 1570 roku, w której uzgodniły swe stanowiska główne wyznania protestanckie z wyjątkiem Braci Polskich, czyli arian, nieuznających boskości Chrystusa. Król Zygmunt August odpowiedział na ten krok „Listem króla Jego Miłości o niesądzeniu pro haeresi”, w którym zapowiedział dalsze kroki w kierunku pojednania różnych wyznań.

Po bezpotomnej śmierci Zygmunta Augusta w dniu 7 lipca 1572 roku powstał w Rzeczypospolitej problem następstwa tronu. Wprawdzie w tym momencie żyły jeszcze cztery siostry króla: Jadwiga, Zofia, Anna i Katarzyna, ale były one zamęż-

ne – odpowiednio - z elektorem brandenburskim, księciem Brunszwiku, księciem Siedmiogrodu i królem Szwecji, toteż nie miały większego poparcia jako kandydatki do tronu. Precedens Jadwigi Andegawerskiej nie był możliwy do powtórzenia. Spór o tron rozegrał się między stronnictwem pro-habsburskim i antyhabsburskim. Przeważała frakcja antyhabsburska, która wylansowała kandydaturę Henryka Walezjusza, brata króla Francji Karola IX. Był to kandydat wyjątkowo nieudany, a dodatkowym problemem był fakt, że w 1572 roku we Francji krwawo rozprawiono się z hugenotami, co wzbudziło poważne obawy wśród polskich protestantów.

Sejm „konwokacyjny” ze stycznia 1573 roku, który miał przygotować wybór następcy tronu, musiał odnieść się do tej kwestii, gdyż obawiano się, że cudzoziemski kandydat może rozpalić w Polsce ogień wojen religijnych. Dlatego Sejm przyjął formę konfederacji, czyli mógł przyjmować uchwały większością głosów, a następnie, 28 stycznia tegoż roku, przyjął specjalną uchwałę o wolności religijnej, nazwaną później Konfederacją Warszawską. W uchwale tej ustalono utrzymanie istniejącego status quo w dziedzinie wyznaniowej, a więc utrzymanie dotychczasowych wolności protestantom przy przyznaniu katolikom pozycji dominującej w państwie. Zasad tych szlachta miała bronić nawet siłą. Choć zasady te miały obowiązywać głównie szlachtę, a chłopstwo miało być posłuszne panom, Konfederacja Warszawska była dokumentem wyjątkowym w ówczesnej Europie.

Rzeczpospolita była w ówczesnej Europie oazą wolności, z czego do dziś możemy czerpać dumę. Choć wielu ignorantów na Zachodzie lekceważył potęgę kulturalną Rzeczypospolitej Obojga Narodów, znawcy przedmiotu nie mają wątpliwości, by podzielić opinie Erazma z Rotterdamu o ogromnym dorobku tej kultury, głównie tworzonej po polsku. Erazm zapisał te słowa: „Mogę pogratulować temu narodowi, którym miał niegdyś reputację barbarzyńców, a teraz (...) kwitnie rywalizując z najlepszymi narodami”. Potwierdzają to dwaj historycy amerykańscy Charles H. Haskins i Robert H. Lord: „Dawne państwo polskie było (...) pierwszym eksperymentem federalnej republiki aż do powstania Stanów Zjednoczonych. W XVI i XVII wieku było to

państwo o największym zakresie wolności w Europie (...) Tak jak dzisiejsze Stany Zjednoczone – pisali oni zaraz po I wojnie światowej – Polska była w tamtym czasie europejskim tygłem, schronieniem dla biednych i prześladowanych ze wszystkich sąsiednich krajów”. Panoramę tego państwa pięknie pokazano na wystawie Muzeum Historii Polski w budowie w 2012 roku pod hasłem „Pod wspólnym niebem”.

Po wygaśnięciu dynastii jagiellońskiej i ucieczce z Polski niestawnej pamięci króla Henryka Walecznego zasady tolerancji religijnej respektowali jego następcy: Stefan Batory i królowie z dynastii Wazów: Zygmunt III i Władysław IV. Katolicyzm pozostawał głównym wyznaniem w Polsce, ale tolerancja religijna była podstawą wieloetnicznej Rzeczypospolitej Obojga Narodów i europejskim wyjątkiem w czasach narastającego absolutyzmu i wojen religijnych. Niepokojące na dłuższą metę było głównie zwycięstwo magnaterii w walce o prawa z szeregową szlachtą. Magnaci dysponowali tak wielką siłą ekonomiczną, że coraz częściej kupowali sobie głosy szlachty.

Trudny wiek XVII. Przełom XVI i XVII był punktem zwrotnym w dziejach polsko-litewskiej Rzeczypospolitej. Jej potęgę zaczął szkodzić mechanizm nadmiernego rozciągnięcia frontu imperialnego oraz brak rodzimej dynastii. Kolejni królowie pochodzili z zagranicy i mieli własne, partykularne interesy. Wokół Rzeczypospolitej rosły zaś siły jej rywali – Szwecji, Rosji, Austrii i Turcji - i stale pojawiały się nowe wojny. Na domiar złego nastąpił kryzys gospodarki folwarcznej, związany ze spadkiem wywozu zboża.

Po nieszczęsnym Walecznym królem Rzeczypospolitej został książę siedmiogrodzki Stefan Batory, któremu udało się jeszcze zachować wielkie dziedzictwo Rzeczypospolitej. Kiedy Batory umarł w 1587 roku, szlacheccy lektorzy wybrali Zygmunta III Wazę, syna króla Szwecji Jana III i Katarzyny

**SPOŁECZNE
I GOSPODARCZE
SKUTKI WOJEN
KOZACKICH I „POTOPU”
SZWEDZKIEGO BYŁY
KATASTROFALNE. WIELE
MIAST LEŻAŁO W GRUZACH,
ZDEWASTOWANO
GOSPODARKĘ ROLNĄ NA
OGROMNYCH OBSZARACH**

Jagiellonki. Zygmunt był katolikiem, co uniemożliwiło mu objęcie tronu szwedzkiego, choć się o to starał. W 1596 roku Zygmunt przeniósł stolicę państwa do Warszawy i udało mu się zawrzeć unię brzeską, w której część cerkwi prawosławnej w Rzeczypospolitej uznała zwierzchnictwo papieża, zachowując liturgię prawosławną. Ambicje Zygmunta odnośnie korony szwedzkiej doprowadziły do wojny. W 1601 roku Szwedzi zajęli część Inflant, ale błyskotliwe zwycięstwo hetmana Jana Karola Chodkiewicza pod Kircholmem w 1605 roku uratowało polską kontrolę nad południową częścią Inflant. O koronie szwedzkiej Zygmunt mógł jednak zapomnieć. Podczas wojny ze Szwedami wybuchło pierwsze powstanie kozackie. Miały też wtedy miejsce pierwsze większe bunty magnackie. Jednak w wojnie z Rosją armia polsko-litewska pod wodzą hetmana Stanisława Żółkiewskiego odniosła kolejne wspaniałe zwycięstwo pod Kłuszynem w 1610 roku. Pojawiła się szansa, by w wojnie sukcesyjnej o tron moskiewski obsadzić tam Władysława, syna Zygmunta. Mimo że wojska polskie i litewskie zajęły Moskwę, ostatecznie frakcja antypolska przeważała i zgromadzenie bojarów wybrało Michaiła Romanowa carem.

Wkrótce nastąpiła cała seria fatalnych wydarzeń. Szwedzi ponownie najechali Inflanty, a w 1620 roku Turcy pokonali armię polską pod Cecorą, gdzie zginął hetman Żółkiewski. Rok później pod Chocimiem Polakom udało się rewanż, ale Szwedzi weszli do Prus i na Pomorze Gdańskie. Ostatecznie wojna ze Szwecją skończyła się w 1629 roku pokojem z Altmarku, na mocy którego większość Inflant przypadła Szwedom.

Gdy w 1632 roku zmarł Zygmunt III, jego syn i następca tronu Władysław IV zamiast sojuszu z Francją przeciw Habsburgom, utrzymał sojusz z Austrią w obawie przed zagrożeniem tureckim. Z perspektywy czasu może się to wydawać błędem, ale pamiętajmy, że Turcja stanowiła nadal ogromne zagrożenie. Tymczasem narastała stagnacja gospodarcza i samowola magnaterii, a wojny toczono

dotychczas na obrzeżach, przeniosły się w głąb Rzeczypospolitej. Polsko-litewska republika królewska nie potrafiła rozwiązać problemu kozackiego. Prawosławni Kozacy byli zbiegami lub wolnymi osadnikami na Dzikich Polach na Ukrainie, często wykorzystywanymi przez królów jako siłą pomocniczą przeciw Turkom, Tatarom i Rosji, ale buntującym się przeciw spolonizowanym magnatom ruskim na tych terenach. W 1647 roku doszło do wielkiego buntu Kozaków pod wodzą Bohdana Chmielnickiego, które ogarnęło ogromne połacie wschodniej Rzeczypospolitej. W następnym roku zmarł Władysław IV, a tron objął jego młodszy brat Jan Kazimierz. Gdy Kozacy stracili poparcie Tatarów, w 1649 roku zgodzili się na kompromisową ugodę w Zborowie, zgodnie z którą części Kozaków przyznano status szlachty. Dla wschodnich magnatów wyzwolenie Kozaków „rejestrowych” było problemem ekonomicznym, a dla części szlachty – prawnym upokorzeniem, toteż działania przeciw powstańcom wznowiono. Chmielnicki zwrócił się ku Rosji. W 1654 roku Rada Kozacka w Perejaślawiu przyłączyła Ukrainę Naddnieprzańską do Rosji. Panowanie rosyjskie szybko rozczarowało Kozaków, dlatego następcą Chmielnickiego, hetman Iwan Wyhowski, podpisał w 1658 roku w Hadziaczu układ z Rzeczypospolitą, na mocy którego Ukraina miała stać się Księstwem Ruskim rządzone przez hetmana w ścisłym sojuszu z Polką i Litwą. Porozumienie nie weszło w życie, gdyż interweniowała armia rosyjska i na mocy traktatu z Andruszowa z 1667 roku Ukraina została podzielona między Rzeczypospolitą a Rosję.

Rzeczypospolita nie była w stanie walczyć na dwóch frontach, bowiem w 1655 roku na jej ziemie wtargnęła armia szwedzka, a część magnatów i szlachty poparła pretensje króla Karola X Gustawa do tronu. Jan Kazimierz opuścił Polskę i udał się na Śląsk. Szwedzi zajęli Warszawę i Kraków oraz większość terytorium Rzeczypospolitej. W zamian za poparcie elektora brandenburskiego Szwecja

**SZLACHECKI NARÓD
OPAMIĘTAŁ SIĘ JEDNAK:
PRZYJĘTO NOWE PODATKI
I SFINANSOWANO
NOWĄ ARMIE, DZIĘKI
CZEMU HETMAN JAN
SOBIESKI MÓGŁ ODNIEŚĆ
BŁYSKOTLIWE ZWYCIĘSTWO
NAD TURKAMI POD
CHOCIMIEM W 1673 ROKU**

uznała suwerenność Brandenburgii nad Prusami na mocy traktatu z Labiawy z 1656 roku. Ostatnie ośrodki oporu Rzeczypospolitej na południu Litwy i wokół klasztoru jasnogórskiego w Częstochowie rozrosły się jednak do wojny partyzanckiej o wielkiej skali pod wodzą hetmana Stefana Czarnieckiego. Jan Kazimierz wrócił z wygnania, jednak, aby zneutralizować elektora brandenburskiego, uznał jego zwierzchność nad Prusami Wschodnimi na mocy traktatu z Welawy z 1657 roku. Ponieważ jednocześnie wybuchła wojna między Danią i Szwecją, Karol X Gustaw wycofał się z Polski i Litwy za cenę zrzeczenia się przez Warszawę roszczeń do Inflant na mocy pokoju oliwskiego z 1660 roku, który kończył wojnę. Społeczne i gospodarcze skutki wojen kozackich i „potopu” szwedzkiego były katastrofalne. Wiele miast leżało w gruzach, zdevastowano gospodarkę rolną na ogromnych obszarach, co dodatkowo uderzyło w handel zbożem. Jan Kazimierz ostatecznie abdykował po puczu hetmana Jerzego Lubomirskiego.

Rzeczypospolita wyszła z obu tych konfliktów niezwykle osłabiona i rozdartą wewnątrz z powodu dbania głównie o własne interesy różnych frakcji magnackich. Toteż nowy król Michał Wiśniowiecki niewiele mógł poradzić na atak Turcji i w 1672 roku podpisał upokarzający traktat w Buczaczu, oddający Turkom dużą część Ukrainy. Szlachecki naród opamiętał się jednak: przyjęto nowe podatki i sfinansowano nową armię, dzięki czemu hetman Jan Sobieski mógł odnieść błyskotliwe zwycięstwo nad Turkami pod Chocimiem w 1673 roku. Triumf chocimski zapewnił Sobieskiemu tak wielką popularność, że rok później wybrano go królem wbrew tradycyjnym

obawom szlachty przed polskim królem-szlachcicem. Sobieski planował złagodzenie zagrożeń zewnętrznych przez sojusz z Francją. W 1675 roku podpisał traktat w Jaworowie, na mocy którego Polska mogła odzyskać Śląsk i osłabić brandenburskich Hohenzollernów, a w przyszłości także presję austriacką. Plany nie podobały się jednak większości szlachty, która bardziej obawiała się Rosji i Turcji. Ponieważ Turcja była śmiertelnym za-

grożeniem dla panowania austriackiego w środkowej Europie, pod wpływem papieża i Ligi Świętej w obronie katolicyzmu, Sobieski zmienił plany i ruszył na odsiecz Wiednia w 1683 roku. W sojuszu z Austrią i Wenecją armia polska w dużej mierze przyczyniła się do odparcia Turków także z Węgier i Siedmiogrodu. Panowanie Jana III Sobieskiego kończyło się pozornymi sukcesami. W 1686 roku Rzeczpospolita zawarła „wieczysty” pokój z Rosją, a pokój z Karłowic z 1699 roku, zawarty już po śmierci Sobieskiego, zakończył wojny z Turcją. Informacje, jakie posiadam na temat mojej prywatnej historii Polski tego okresu, są dość skromne. Odnalazłem jednak wśród swych przodków w dwunastym pokoleniu wstecz Wawrzyńca Roszkowskiego, wspomnianego w różnych źródłach, który wstąpił się w swoim czasie jako rotmistrz, najpierw w służbie hospodara wołoskiego, a następnie u króla Stefana Batorego. Według zapewnień Księdza Niesieckiego, Wawrzyniec był synem Stanisława i Katarzyny. Na Sejmie w 1613 roku Wawrzyniec, jeden z 4 096 moich przodków, został zaliczony w poczet szlachty koronnej, a w 1620 roku walczył z Turkami pod Cecorą. Jego dwaj młodsi bracia, Karol i Jan, zginęli w tej bitwie. Wawrzyniec zaś został ranny i dostał się do niewoli, z której uciekł. Jeszcze przed wojną z Turkami zostawił Karolowi majątek w Roszkach, a sam gospodarował w dobrach żony Małgorzaty z Taczanowskich w Swozowicach, folwarku w parafii Czarnocin powiatu pińczowskiego. Prawdopodobnie śmierć Karola pod Cecorą spowodowała, że rodzina nie utrzymała majątku w Roszkach i odtąd męska linia rodziny zmieniała dobra rodzinne. Wędrując wstecz po swoim drzewie genealogicznym, natrafiłem też w dziesiątym pokoleniu, przechodząc sześciokrotnie przez przodków „po kądzieli”, na Mikołaja Sapiehę (1558-1638), wojewodę mińskiego, syna Bohdana, wnuka Pawła i prawnuka Iwana Semełowicza. Mikołaj Sapieha był więc jednym z 1 024 moich przodków, wiodąc moje korzenie na Ruś Białą i Bóg wie, gdzie jeszcze na wschodzie, jeśli by pociągnąć genealogię sapieżyńską. To też moja tysiącletnia Polska.

Wedle tradycji rodzinnej wspomniany Wawrzyniec i Małgorzata mieli pięcioro dzieci. Najstarszy syn Stanisław Roszkowski, urodzony w 1606 roku, został zakonnikiem i opatem benedyktynów w Siecie-

chowie, a młodszy o trzy lata Kazimierz objął po ojcu dobra swoszowickie. Urodzona w 1614 roku córka Wawrzyńca i Małgorzaty Julia miała wyjść za mąż za Zygmunta Kordeckiego, brata Augustyna, przeora Paulinów z Jasnej Góry i dzielnego obrońcy klasztoru przed Szwedami. Młodsza córka Anna, urodzona w 1617 roku, wyszła ponoć za Franciszka Łaskiego z ziemi sieradzkiej. Najmłodszy zaś syn Jan, urodzony w 1625 roku, zginąć miał w bitwie pod Wiedniem w 1683 roku. Bitwa wiedeńska kojarzy mi się zresztą nieodparcie z listem od ojca, który dostałem na imieniny w 1958 roku, a w którym opisał chyba z pamięci mi ten ostatni przypadek chwały oręża Rzeczpospolitej. Epoka saska. Kryzys Rzeczpospolitej rozpoczęty w połowie XVII wieku stał się oczywisty w dramatycznej formie już pod koniec panowania Sobieskiego, o czym często zapominamy, świętując wspaniały triumf wiedeński, a nie pamiętając o wątpliwym wyborze sojuszników przez króla Sobieskiego oraz o straszliwej prywatce magnaterii. W walce o sukcesję po Janie III zabrakło kandydatów, którzy mogliby oprzeć się pogarszającej się dla Rzeczpospolitej koniunkturze międzynarodowej.

Czy wybór Stanisława Leszczyńskiego byłby w 1697 roku lepszy niż Augusta II? Trudno powiedzieć, gdyż Leszczyński nie zdążył porządzić. Nie miał on zbyt silnego charakteru, a jego sojusznicy - najpierw szwedzcy, a potem francuscy przegrali z koalicją rozbiorową, więc i szanse na to rządzenie wielkiej Leszczyński nie miał. Wszelkie porównania Sasów z Leszczyńskim są więc dość ograniczone. Wybór elektora saskiego byłby może nienajgorszy, gdyby nie trafił na państwo szarpane konfliktami wewnętrznymi. I tu trafiamy na błędne koło: konflikty te uniemożliwiały wybór Polaka świadomego zagrożenia, a wybór Sasa, niezbyt zainteresowanego konsolidacją państwa, wcale tej konsolidacji nie sprzyjał. Czy wybór Franciszka Conti byłby lepszy? – nie wiemy. Możemy tylko spekulować, że Francuz może nie byłby tak skory do sojuszu z Rosją, ale precedens Wależjusza nie był zachęcający. Fatalny dla Rzeczpospolitej okazał jednak fakt, że August II wciągnął ją w niepotrzebną wojnę ze Szwedami w sojuszu z Rosją, która była groźnym wrogiem Rzeczpospolitej. Można Augusta II bronić przed wieloma zarzutami, ale ta jego decyzja jako króla Rzeczpospolitej była

niewybaczalna. Po pokoju karłowickim ze stycznia 1699 roku już w listopadzie tegoż roku August II zawarł „traktat preobrażeński” z Rosją i Danią w celu uzyskania od Szwecji Inflant jako swojego księstwa lennego. Skończyło się to wszystko dla Rzeczpospolitej klęską w wojnie północnej, w której formalnie nie brała udziału. Sejm „niemy” z 1 lutego 1717 roku był już prawdziwą katastrofą – zakazał konfederacji i ograniczył wydatki wojskowe do 24 tysięcy stawek żołdu.

Być może w równej mierze obciążają też Augusta II ostatnie lata jego panowania. Nawet w interesie własnym i swojej rodziny winien on więcej uwagi zwracać na rozbudowę ogromnego przecież potencjału ekonomicznego czy ludzkiego Rzeczpospolitej. W zamian dbał jednak o obudowę swojej własnej pozycji. Służyły temu drogie uciechy, które dodatkowo przyczyniały się do korupcji wśród i tak już zepsutej elity magnackiej. Tu już winne nie były zmienne koniunktury międzynarodowe, ale charakter władcy. A już uwiedzenie Urszuli Lubomirskiej to, jak powiadał cynicznie Talleyrand, więcej niż grzech czy zbrodnia, ale błąd.

Panowanie Augusta III, będące owocem porozumienia „trzech czarnych orłów” z 1733 roku, było równie tragiczne. Jeszcze trudniej było prowadzić polityczną grę z sąsiadami. Interwencja francuska z Leszczyńskim na czele nie miała większych szans, a o losach Rzeczpospolitej w coraz większej mierze decydowała już Rosja. Jej ambasador jednak niezbyt skutecznie utrzymywał pełną kontrolę nad krajem przy pomocy wojsk rosyjskich - bo nie należy mieć wątpliwości, że ambicją Petersburga było zajęcie całego kraju. August III niewiele w tym jednak przeszkadzał. Choć nie można zaprzeczyć, że podjął pewne próby reform ekonomicznych, to nie wykorzystał szansy jaką stanowiła wojna prusko-austriacka z 1740 roku, a wobec sojuszu Rosji i Austrii nawet nie zapobiegł walkom rosyjsko-pruskim na terenie Rzeczpospolitej. W tym czasie, gdzieś zapewne około 1720 roku, na ziemi Rzeczpospolitej przybył nieznan mi z imienia węgierski drobny szlachcic z komitatu Zemplen nazwiskiem Gerety, który brał udział w nieudanym powstaniu Rakoczego przeciw Habsburgom. Ów szlachcic węgierski to jeden z prawdopodobnie 256 moich przodków. Pod koniec XVIII wieku chy-

ba jego wnuk uzyskał potwierdzenie szlachectwa w Rzeczpospolitej. Następnie nazwisko to zapisywano jako Gereth, a cztery lub pięć pokoleń później spadkobierczyni tego nazwiska, moja babcia Jadwiga, wyszła za mąż za mojego dziadka Władysława. Ten kawałek historii Węgier to też moja Polska, choć korzenie szlachty węgierskiej tkwią gdzieś tysiąc lat wcześniej koło Uralu ...

Polsko-litewska Rzeczpospolita Obojga Narodów znalazła się w połowie XVIII wieku w potrzasku. Ustrój tego państwa, zwany potocznie „złotą wolnością szlachecką”, oparty był na wolnej elekcji królów i zasadzie jednomyślności w Sejmie (liberum veto). System ten zakładał, że formalnie równi przedstawiciele szlachty wybierali najlepszego kandydata do tronu, a w kwestiach największej wagi musieli się zgodzić. Praktyka rządów w Rzeczpospolitej była jednak coraz dalsza od tego ideału, bowiem morale szlacheckich obywateli, wysokie jeszcze w XVII wieku, stopniowo się pogarszały. Magnaci nie tylko kupowali sobie głosy posłów, ale sami często otrzymywali ogromne sumy ze stoli sąsiadów. Nie mogąc wyłonić kandydata z własnego grona, szukali pretendentów do tronu za granicą. Zasada liberum veto, słuszna w kwestiach takich jak racja stanu, została odniesiona do praktyki stanowienia praw. Istniała wprawdzie instytucja konfederacji, czyli przyjmowania ustaw większością głosów, ale na jej zastosowanie trzeba było zgody posłów. Powstało błędne koło paraliżu ustawodawczego. „Złota wolność szlachecka” była dumą szlachty, a jednocześnie świetnym instrumentem ingerencji mocarstw ościennych: Austrii, Prus i Rosji, które uzgadniały między sobą, kto ma panować w Rzeczpospolitej. Za panowania królów saskich, Augusta II i Augusta III, wybranych pod naciskiem tych mocarstw, powstały próby przeciwstawienia się ich woli, ale skutkiem tego były dwie wojny domowe, w których kandydat wspierany przez Szwecję i Francję, Leszczyński, musiał uznać porażkę na polu bitwy i uchodzić z kraju. Sytuację pogarszało stacjonowanie na terenie Rzeczypospolitej wojsk rosyjskich, które nie opuściły jej terytorium po III Wojnie Północnej.

Jedyną szansą przezwyciężenia tego impasu był „sejm konwokacyjny”, odbywający się przed elekcją króla, podczas którego ustalano kandydatów,



warunki jakie miał spełnić oraz zasady głosowania większościowego. Sejm taki mógł uchwalić konstytucję większością głosów, bez możliwości jego zerwania jednym głosem. W drugiej połowie XVIII wieku wzrosła wśród szlachty świadomość konieczności zmiany ustroju państwa, jednak stronnictwo reformatorskie nie widziało szansy wyzwolenia kraju spod protektoratu rosyjskiego, a stronnictwo antyrosyjskie, kierowane przez inną grupę magnatów, opierało się na konserwatywnej szlachcie, popierającej „złotą wolność”. W 1764 roku królem wybrano kandydata rosyjskiego, Stanisława Augusta Poniatowskiego. Pierwsza próba wykorzystania osłabienia Rosji wojną z Turcją w 1768 roku skończyła się zbrojną klęską stronnictwa antyrosyjskiego w postaci tak zwanej „konfederacji barskiej” i pierwszym rozbiorem państwa przez trzy mocarstwa ościenne w 1722 roku, po którym tysiące konfederatów trafiło na Syberię.

Drugą szansę stwarzała kolejna wojna rosyjsko-turecka, która wybuchła w 1787 roku. Król Stanisław August uzyskał od carycy Katarzyny zgodę na zwołanie Sejmu Czteroletniego (1788-1792). Stał się on areną walki licznych partii od optujących za pełną zależnością od Rosji poprzez różne odłamy republikanów, mniej lub bardziej zainteresowanych reformą ustroju, aż po radykałów, dążących do jego zmiany i uniezależnienia od mocarstw ościennych. Dzięki osłabieniu Rosji udało się reformatorom doprowadzić do przyjęcia zasady sejmu konwokacyjnego, ale o konsensus ustrojowy było bardzo trudno aż do wyborów uzupełniających z 1790 roku, gdy podwojono liczbę posłów. Wobec rysującego się sojuszu angielsko-pruskiego przeciw Rosji, reformatorzy uzyskali poparcie Prus dla reform, a dzięki chytremu zabiegowi przyspieszenia obrad w związku z przerwą wielkanocną, zdołali przegłosować 3 maja 1791 roku konstytucję, podpisaną też przez króla. Konstytucja 3 maja, pierwsza na kontynencie europejskim, wprowadzała dziedziczną monarchię konstytucyjną, odbierała prawo wyborcze szlachcie nieposiadającej ziemi, częściowo zrównywała prawa osobiste mieszczan i szlachty, znosiła liberum veto i ograniczenia liczebności armii oraz brała chłopów pod obronę państwa. Te dość umiarkowane zmiany były wyrazem determinacji i zdolności elity narodowej do obrony interesu państwa. Stanowiły w istocie rewolucję, gdyż wyzwalały Rzeczpospolitą z potrzasku ustrojowego. Konstytucja była na tyle niebezpieczna dla Rosji i jej klientów w Rzeczpospo-

**AUSTRIA, PRUSY
I ROSJA DOKONAŁY
BEZPRECEDENSOWEJ
ZBRODNI, A W NASTĘPNYCH
DEKADACH USILNIE
PRACOWAŁY NAD TYM,
BY JĄ ZATUSZOWAĆ,
UTRWALAJĄC W OPINII
MIĘDZYNARODOWEJ
OPINIĘ, ŻE POLACY NIE
POTRAFIĄ SIĘ RZĄDZIĆ
I ŻE SAMI SPROWADZILI
NA SIEBIE KATASTROFĘ. TA
FAŁSZYWA WERSJA NASZEJ
HISTORII POKUTUJE DO
DZIŚ WŚRÓD SZEROKICH
KRĘGÓW OPINII
MIĘDZYNARODOWEJ**

litej, że założyli oni w Petersburgu konfederację, którą ogłoszono w Targowicy, do której ostatecznie przystąpił król i której zwolennicy z pomocą wojsk rosyjskich obalili konstytucję i dokonali II rozbioru państwa. Gwarancje pruskie okazały się fikcją, a w 1795 roku, po zdławieniu przez Rosję powstania pod wodzą Tadeusza Kościuszki, trzy mocarstwa ościenne zlikwidowały resztki Rzeczypospolitej. Klęska polskiego powstania była klęską demokracji w całej Europie”.

Myśląc o trzecim rozbiorze, trudno pozostać przy tych prostych twierdzeniach. Kiedy po klęsce maciejowickiej i dostaniu się Tadeusza Kościuszki do niewoli losy powstania kościuszkowskiego były już przesądzone, wojska pruskie podeszły do linii Bzury, a armia generała Aleksandra Suworowa uderzyła na Warszawę od wschodu. W obronie Pragi, którą dowodził gen. Józef Zajączek, zginęło parę tysięcy żołnierzy polskich, a po jej zdobyciu kilkanaście tysięcy ludności cywilnej, w tym kobiet i dzieci, zostało bestialsko wymordowanych przez Rosjan. Austriacki redemptorysta, O. Klemens Hofbauer, który był świadkiem rzezi Pragi, wspominał: „Ciężkie nieszczęścia napełniły nas trwogą (...) Po zdobyciu przedmieścia (Praga, 4 listopada) zostało wymordowanych ponad 16 tysięcy ludzi – mężczyzn, kobiet i dzieci. Musieliśmy patrzeć na te okrutne sceny, gdyż działo się to naprzeciw naszego domu”. Rzeź Pragi przypieczętowała klęskę I Rzeczypospolitej. 9 listopada 1794 roku wojska Suworowa weszły do Warszawy. W wyniku upadku insurekcji kościuszkowskiej około 11 tysięcy jeńców polskich uwięziono lub zesłano na Syberię.

Austria, Prusy i Rosja dokonały bezprecedensowej zbrodni, a w następnych dekadach usilnie pracowały nad tym, by ją zatuszować, utrwalając w opinii międzynarodowej opinię, że Polacy nie potrafią się rządzić i że sami sprowadzili na siebie katastrofę. Ta fałszywa wersja naszej historii pokutuje do dziś wśród szerokich kręgów opinii międzynarodowej.

Kiedy w 1795 roku nastąpił III Rozbiór Rzeczypospolitej, w Gąskach koło Tarczyna w powiecie grójeckim gospodarował na rodzinnym folwarku Jan Stefan Roszkowski (1764-1845), syn zmarłego niedawno Mikołaja. Jan Stefan, mój przodek w szóstym pokoleniu, a więc jedna z 64 osób, którym zawdzięczam życie, miał za sobą początki dobrze zapowiadającej się kariery. Po ukończeniu nauki przez dziesięć lat wykładał w szkołach pijarskich w Górze Kalwarii, Łomży i Warszawie. Jędrzej Kitowicz zanotował, że wbrew jezuitom pijarzy przyjęli w swoich szkołach „neoteryzm”, czyli „naukę recentiorum, według której ziemia się obraca koło słońca, nie słońce koło ziemi, tak jak pieczenia obraca się koło ognia, nie ogień koło pieczeni”. Ścisłość naukowa nie była więc obca ani pijarom ani Kitowiczowi, który już w XVIII wieku stwierdzał, że „sposób przychodzenia na świat ludziom jeden jest i będzie od początku aż do skończenia tegoż świata, każdemu wiadomy, z bestyjami pospolity”. Dziś niektórzy by się z tym nie zgodzili, ale może to właśnie oznaka końca świata?

Ponieważ Jan Stefan Roszkowski znał dobrze język francuski, z polecenia króla Stanisława Augusta Poniatowskiego zajmował się przekładem „Historii podróży” Jean-François de La Harpe’a. Tom piąty pracy w jego przekładzie ukazał się drukiem w 1794 roku. Dalsze tomy, gotowe do wydania, pozostały w rękopisie z braku funduszy po trzecim rozbiorze Polski. Miał też przełożyć na polski „Dziekiego człowieka” Louisa Sebastien Merciera oraz „Polaka na wyspie św. Dominika”. Gąski, w których gospodarował Jan Stefan, były wsią i zarazem folwarkiem położonym około 4 kilometrów od Grójca. W 1827 roku notowano tu 10 dymów i 52 mieszkańców. Folwark miał 338 mórg powierzchni (210 hektarów), w tym gruntów ornych 293 morgi, łąk 31 mórg, a nieużytków 14 mórg. Druga część rodziny żyła na Podlasiu. W czasie gdy I Rzeczpospolita schodziła w 1795 roku z areny dziejowej, gospodarujący w Roszkach Wodźkach w parafii Płonka Kościelna inny z 32 moich przodków w prostej linii „po mieczu”, Jan Roszkowski miał już 50 lat. Jego najstarszy syn z pierwszego małżeństwa, Szymon, miał 20 lat. Synami Jana z Roszków Wodzków i jego drugiej żony, Marianny z Jabłonowskich byli: mój prapradziadek Dominik, który miał lat 20, Franciszek Ksawery – 12 lat, a najmłodszy Andrzej – dziewięć lat. Ich status społeczny można określić jako drobna szlachta podlaska. Nie zachował się niestety żaden zapis tego, jak żyli i co myśleli w chwili upadku Rzeczypospolitej.

W wyniku trzech rozbiorów ziemie Rzeczypospolitej zostały podzielone przez trzech zaborców. Rosja zajęła 62% obszaru Polski z 45% jej ludności, przy czym były to ziemie względnie mniej rozwinięte gospodarczo i zamieszkane w większości przez chłopstwo białoruskie i ukraińskie. Prusy zagarnęły 20% terytorium i 23% ludności, w tym ziemie stosunkowo dobrze zagospodarowane. Austria zajęła 18% powierzchni z 32% mieszkańców Rzeczypospolitej. Katastrofa rozbiorowa przyniosła załamanie gospodarcze ziem polskich. Podział terytorium Rzeczypospolitej utrudnił wymianę towarową między bliskimi nawet regionami, które znalazły się po różnych stronach granic. Upadły niektóre banki warszawskie i manufaktury. Na wsi zahamowano, a nawet cofnięto czynszowanie chłopów. Wysokie podatki płynęły teraz do skarbów trzech państw zaborczych. Nastąpił upadek szkolnictwa oraz roz-

proszanie środowisk naukowych i artystycznych. Świadome polskich ambicji niepodległościowych, absolutystyczne rządy zaborcze starały się im przeciwdziałać, wprowadzając ostrą kontrolę polityczną i cenzurę.

Krótkotrwałą nadzieję na odzyskanie państwowości polskiej dały sukcesy Napoleona i powstanie legionów polskich we Włoszech. Inicjatywa gen. Henryka Dąbrowskiego u boku Republiki Lombardzkiej pozostawiła ślad w postaci pieśni „Jeszcze Polska nie umarła, póki my żyjemy”, ułożonej przez Józefa Wybickiego do melodii znanego mazurka. Epopeę legionów zakończył Napoleon, wysyłając legionistów na Haiti, by tłumili tam powstanie tubylców przeciw władzy kolonialnej. Żałosny koniec legionów pozostawił jeszcze jeden ślad: wioskę na wyspie, której czarnoskórzy mieszkańcy uważają się za potomków legionistów. Kolejna wojna Napoleona z Prusami przyniosła utworzenie marionetkowego Księstwa Warszawskiego, poszerzonego po zwycięstwie Francji nad Austrią w 1809 roku o część zaboru austriackiego. Napoleon chciał od Polaków najwięcej, ale dawać wiele nie chciał. Rozumiał to dobrze przebywający na emigracji w Szwajcarii Tadeusz Kościuszko. Zażądał on od Francji przywrócenia Polski w granicach sprzed rozbiorów, ustanowienia rządów konstytucyjnych i uwłaszczenia chłopów. Kościuszko nie wierzył najwyraźniej w intencje cesarza, nie wziął udziału w tworzeniu częściowo niepodległego państewka polskiego, a jedynie kreślił program niepodległości na przyszłość. Z inspiracji Kościuszki Józef Pawlikowski napisał sławną broszurę „Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość?” (1800), w której stwierdził, iż jest to możliwe, i to bez oglądania się na obcą pomoc, ale tylko wówczas, gdy naród zerwie się do walki w całej swojej masie. Choć w ówczesnej sytuacji trudno było na to liczyć w najbliższym czasie, broszura nakreśliła program łączenia walki o niepodległość z przemianami społecznymi. Powstanie Księstwa Warszawskiego nie zaspokoilo więc ambicji Polaków. Powstała co prawda armia polska i odbudowano polskie szkolnictwo, ale kraj ponosił duże ofiary ludzkie i materialne ku pożytkowi francuskiemu.

Księstwo Warszawskie stanowiło kluczowy element w grze między Francją a Rosją. Nowe na-

dzieje pojawiły się wraz z francuskimi planami wojny z Rosją, wspaniale opisane przez Adama Mickiewicza w „Panu Tadeuszu”. Uderzając na Rosję w czerwcu 1812 roku Napoleon ogłosił, że rozpoczyna „drugą wojnę polską”. W Warszawie zawiązano Konfederację Generalną, która w dniu 28 czerwca 1812 roku ogłosiła przywrócenie Królestwa Polskiego. W Wilnie powstała Komisja Rządu Tymczasowego, której celem była organizacja administracji polskiej oraz pobór dalszych tysięcy rekrutów. Wojska polskie w liczbie prawie 100 tys. żołnierzy, w dużej mierze chłopskich, stanowiły największe siły sojusznicze Francji w wojnie przeciw Rosji. Wojska polskie przeszły wszystkie okropności załamania się akcji francuskiej i odwrotu spod Moskwy. Osiągały też cofające się oddziały francuskie i samego Napoleona w czasie dramatycznej przeprawy przez Berezynę. Straty polskie w zabitych, rannych i wziętych do niewoli sięgały 70% pierwotnych stanów. Wraz z klęską armii napoleońskiej nastąpiła katastrofa Księstwa Warszawskiego.

Powstałe w 1815 roku, w wyniku kongresu wiedeńskiego, Królestwo Polskie było drugą namiastką państwowości polskiej, tym razem pod kuratelą rosyjską. Państwu nadano konstytucję, odtworzono jego armię, stworzono instytucje o charakterze rządowym, w tym Ministerstwo Skarbu Franciszka Ksawerego Druckiego-Lubeckiego, które zaczęło realizować ambitny plan industrializacji kraju. Starsze pokolenie, pamiętające nikłe efekty walk u boku Francji, ceniło sobie kadłubową autonomię Królestwa Polskiego. Młodszym coraz bardziej doskwierała arogancja caratu, który gwałcił jego konstytucję. Spisek podchorążych, który zapoczątkował powstanie listopadowe 1830 roku, można krytykować, ale ostatecznie wyzwolił on energię wojskową, która w nowych warunkach międzynarodowych miała pewne szanse powodzenia, choć na ostatecznej klęsce powstania zaważyły błędy dowództwa.

SPISEK PODCHORAŻYCH, KTÓRY ZAPOCZĄTKOWAŁ POWSTANIE LISTOPADOWE 1830 ROKU, MOŻNA KRYTYKOWAĆ, ALE OSTATECZNIE WYZWOLIŁ ON ENERGIĘ WOJSKOWĄ, KTÓRA W NOWYCH WARUNKACH MIĘDZYNARODOWYCH MIAŁA PEWNE SZANSE POWODZENIA

W historii mojej rodziny ważne miejsce zajmują trzy osoby związane z tym okresem. Syn wspomnianego już Jana Stefana z Gąsek, Antoni Roszkowski (1804-1870), który służył w armii Królestwa Polskiego, awansował w czasie postania listopadowego do stopnia majora w pułku grenadierów gwardii. Za zasługi na polu bitwy w dniu 19 marca 1831 roku został odznaczony złotym Krzyżem Virtuti Militari, który jako jedyny „skarb” rodzinny zachował się po spaleniu mieszkania dziadka Władysława przez Niemców w 1944 roku. Z kolei syn gospodarującego w Roszkach Wodźkach na Podlasiu Dominika imieniem Franciszek (1811-1889) wstąpił do tej armii nieco później, bo był młodszy. Podczas powstania służył w 4 pułku piechoty liniowej armii Królestwa Polskiego. Obydwaj przekroczyli granice pruską wraz z wycofującymi się oddziałami gen. Rybińskiego pod Brodnicą. Nie posiadam jednak żadnych informacji o tym, by obaj dalecy kuzyni się tu ze sobą kontaktowali. O tym końcowym epizodzie powstania świadczy tablica pamiątkowa na ścianie klasztoru franciszkanów w tym mieście. Wincenty Pol, który był podchorążym wśród powstańców internowanych przez Prusaków, napisał:

*Pod Brodnicą, jak woda stoi wojsko na błoni;
Szkoda Polski, oj, szkoda, takiej działwy i broni!
Jak ją ludzie zobaczą, to w Poznańskiem zapłaczą;
Będzie klątwa żalu tam na ciebie, Moskalu.*

W chwili upadku powstania listopadowego w Roszkach Wodźkach gospodarował Dominik Roszkowski (1775-1839), jeden z 16 moich przodków. Ostatnie lata jego życia nie były zbyt wesołe. Po śmierci piętnastoletniej córki Tekli i pierwszej żony, Marianny z Jabłonowskich, ożenił się powtórnie z Anną z Kraszewskich, ale dwaj ich synowie Stanisław i Kazimierz zmarli w dzieciństwie. Najstarszy syn Franciszek uszedł niewoli rosyjskiej pod Brodnicą za granicę i przez następne 20 lat mieszkał we Francji. Im bliżej naszych czasów, tym grono przodków się zawęża. Mój pradziadek Franciszek Roszkowski to już jeden z ośmiorga. Nieobecny na

Podlasiu był także brat Dominika, Andrzej (1786-1860). W 1810 roku przyjął on święcenia kapłańskie, a w 1824 roku objął stanowisko proboszcza parafii Płonka Kościelna. Pod koniec powstania listopadowego ks. Roszkowski skarżył się dziekanowi tykocińskiemu, że żandarmi rosyjscy wtargnęli do kościoła w Płonce, dokonując grabieży dokumentów i majątku proboszcza. Kiedy próbował dochodzić swych praw, został obwiniony o sprzyjanie „buntownikom” i „namawianie swych parafian do zabicia podoficera wojsk rosyjskich”. Skazany na dwa lata więzienia, w 1833 roku ks. Roszkowski został usunięty z probostwa i zesłany do Wierchnieudyrńska na Syberii szlakiem konfederatów barskich i powstańców kościuszkowskich. W grudniu 1837 roku przybył etapem do Bałagańska nad Angarą. Po upływie czasu trwania kary musiał pozostać na zesłaniu, gdyż dopiero w maju 1843 roku uzyskał zgodę na przeniesienie do guberni mohylewskiej z utrzymaniem dozoru policyjnego. W październiku 1843 roku zamieszkał w miejscowości Szczawry w powiecie kopyskim na Mińszczyźnie, bez pensji od skarbu państwa. Ponieważ odprawiał Mszę Świętą w okolicznych parafiach, między innymi w powiecie sieńskim, pod koniec 1850 roku konsystorz rzymsko-katolickiej archidiecezji mohylewskiej zakazał mu nawet tego, ograniczając jego prawo posługi duszpasterskiej do kościoła w Bobrze. W decyzji tej widać ogromną presję administracji carskiej na Kościół katolicki w Rosji w epoce mikołajowskiej. Do 26 sierpnia 1856 roku ks. Roszkowski pozostawał pod dozorem policyjnym na Mińszczyźnie. W wyniku klęski Rosji w wojnie krymskiej, w państwie carów zapoczątkowano wówczas tak zwaną „odwilż posewastopolską”. Na mocy amnestii z końca 1856 roku zezwolono ks. Roszkowskiemu powrócić w rodzinne strony. Przybył do swej parafii w Płonce na początku 1857 roku i zamieszkał u rodziny. Można sobie wyobrazić radość z tego powrotu Franciszka Roszkowskiego, który sam wrócił jakieś dwa lata wcześniej. Ks. Roszkowski powrócił do kraju jako schorowany starzec, zastając parafię w stanie rozkładu, o czym donosił do kurii diecezjalnej. Niecałe cztery lata po powrocie z zesłania zmarł w dniu 4 grudnia 1860 roku i został pochowany przy kościele w Płonce.

II Rzeczpospolita. Podczas niedawnych obchodów stulecia odzyskania niepodległości przypominano

radosne sceny z listopada 1918 roku. Po tym, jak okupacja austriacka załamała się w Małopolsce, na początku listopada 1918 roku w Warszawie oczekiwano już kapitulacji Niemiec. Marian Romeyko wspominał: „W nocy z 9 na 10 listopada cała Warszawa wyległa na ulice w nieprawdopodobnym podnieceniu. Zapomniano o wszystkich waśniach (...) Tłumy urządziły polowania na Niemców. Każdy chciał powrócić do domu z bagnetem, szablą, rewolwerem, a już w najgorszym razie z pasem niemieckim lub bączkiem od czapki wojskowej (...) Nie stosowano siły, zresztą nie było potrzeby. Rozbrajaniu towarzyszył ogólny śmiech tłumów, ogólna radość, ogólny entuzjazm, a rozbrajany przy takim akompaniamencie Niemiec najczęściej nie krył swego zadowolenia”. Chyba głównie z tego, że nic mu się nie stało. 10 listopada powrócił do Warszawy zwolniony z Magdeburga Piłsudski. Wszystkie stronnictwa polskie, z wyjątkiem lewicy rewolucyjnej, zażądały od Rady Regencyjnej przekazania mu władzy. Dekretem z 11 listopada Rada Regencyjna oddała Piłsudskiemu naczelne dowództwo na tworzącym się wojskiem. W ciągu pierwszych trzech miesięcy urzędowania Piłsudski dokonał rzeczy niezwykłych, choć nie można zapominać o doniosłej roli przywódcy endecji Romana Dmowskiego, lidera chłopów Wincentego Witosa, socjalistów Ignacego Daszyńskiego czy chadecji Wojciecha Korfatego. Ukoronowaniem gry strategicznej Piłsudskiego w zapobieżeniu oporu Niemców w Warszawie, rewolucji bolszewickiej, zjednoczeniu dążeń rywalizujących polskich ugrupowań politycznych i uzyskaniu uznania Polski przez zwycięską Ententę, było otwarcie Sejmu Ustawodawczego, który zebrał się w lutym 1919 roku. W owych kluczowych trzech miesiącach Piłsudski poruszał się między młotem rewolucyjnej lewicy oraz kowadłem narodowej demokracji, między Scyllą państw centralnych i Charybdą Ententy, jednak skutecznie przeprowadził nowy polski statek do przystani względnej stabilizacji roku 1919 oraz portu pokoju ryskiego z 1921 roku. Rola Piłsudskiego w czasie wojny polsko-sowieckiej była również ogromna, ale stabilizacja budżetu i waluty w 1924 roku odbyła się już po jego odejściu z czynnej polityki. Wrócił do niej wraz z majowym zamachem stanu z 1926 roku, za który trudno go pochwalać. Nie zmienia to jednak faktu, że rola Piłsudskiego w odbudowie niepodległej Polski

w omawianym tu okresie była fundamentalna i że winniśmy mu wdzięczność za tę rolę.

W odbudowie niepodległej Polski pewien udział miał też mój dziadek Władysław Roszkowski (1866-1942), absolwent Szkoły im. Leopolda Kronenbrega, który ożenił się z Jadwigą z domu Gereth, potomkiem Roszkowskich sandomierskich. Kiedy w listopadzie 1918 roku ówczesny minister skarbu Stanisław Karpiński przejmował Polską Krajową Kasę Pożyczkową, do kierowania jej oddziałami terenowymi zapraszał często ludzi sobie znanych. Koledze ze Szkoły Kronenberga, Władysławowi Roszkowskiemu, zaproponował oddział PKKP w Białymstoku, lecz ostatecznie wybrał on dyrekturę oddziału w Łomży. Po reformie Władysława Grabskiego i powołaniu Banku Polskiego dziadek Władysław kontynuował pracę jako dyrektor łomżyńskiego oddziału tego banku aż do emerytury w 1930 roku.

Podczas wakacji 1939 roku czuło się niepokój wywołany agresywną polityką Hitlera, chociaż łudzono się jeszcze, że nic złego się nie stanie. Polska była krajem na dorobku. Oczywiście trzeba pamiętać o milionach bezrolnych chłopów biedujących na wsi, o biedzie w wielu osiedlach robotniczych czy też niezadowoleniu mniejszości, zwłaszcza ukraińskiej. Dla większości Polaków jednak Polska była ich dumą i nadzieją. Po straszliwych zniszczeniach związanych z I wojną światową i najazdem bolszewickim, a także trudnościami związanych z tworzeniem nowego organizmu gospodarczego, inflacją, hiperinflacją i Wielkim Kryzysem, poziom aktywności ekonomicznej przekroczył pod koniec lat trzydziestych stan sprzed wojny, między innymi dzięki aktywnej polityce ministra Eugeniusza Kwiatkowskiego. Po dwudziestu latach tworzenia nowej państwowości Polacy mogli poszczycić się wieloma sukcesami. Trwała rozbudowa Centralnego Okręgu Przemysłowego, Gdynia stała się największym portem na Bałtyku. Działo wiele nowych szkół wyższych, z których wychodziło już

**JAKIM PAŃSTWEM
BYŁABY DZIŚ POLSKA
BEZ TEJ KOSZMARNEJ
HEKATOMBY OFIAR,
KOLEJNYCH ZNISZCZEŃ
I KOMUNISTYCZNEJ
REWOLUCJI, KTÓRA
OPÓŹNIŁA NASZ ROZWÓJ
NA DWA POKOLENIA?**

pokolenie specjalistów, dojrzewające w niepodległym kraju. Szkolnictwo średnie, na które narzekała opozycja narodowo-demokratyczna i ludowa, wykształciło nowe pokolenie odpowiedzialnych obywateli. Jak na biedny kraj, polska nauka, literatura i sztuka kwitły. Wspomnijmy choćby nazwiska polskich matematyków i logików, projektantów samolotów, kryptologów czy wynalazców. Polskie Radio, dysponujące największym masztem nadawczym w Raszynie, jednoczyło mieszkańców wokół idei niepodległego państwa. Majowe przemówienie ministra Józefa Becka, transmitowane przez radio, zelektryzowało miliony obywateli.

Trudno oprzeć się refleksji, co by było z nami, gdyby nie barbarzyński najazd III Rzeszy, a zaraz potem Związku Sowieckiego? Jakim państwem byłaby dziś Polska bez tej koszarnej hekatomby ofiar, kolejnych zniszczeń i komunistycznej rewolucji, która opóźniła nasz rozwój na dwa pokolenia? Przypomnijmy, że w latach trzydziestych polski dochód narodowy na jednego mieszkańca był wyraźnie wyższy niż w Portugalii i Grecji, a podobny do dochodów Finlandii i Hiszpanii. W PRL pracowano i rozwijano wprawdzie gospodarkę na sposób ekstensywny, ale zostaliśmy wyraźnie w tyle za Zachodem. Gdzie byłaby Polska dziś bez tych straszliwych doświadczeń?

Wiele polskich rodzin może się zastanawiać, jaki byłby ich los, gdyby tej dumy i nadziei Polaków nie zniszczył Hitler na spółkę ze Stalinem. Kim mógłby stać się mój ojciec Andrzej, który w 1939 roku uzyskał dyplom inżyniera architekta, a potem ledwie przeżył wojnę i mimo posiadania potrzebnych po wojnie umiejętności, był w niej obywatelem drugiej kategorii i zmarł przedwcześnie? Kim byłaby moja mama Jadwiga, która w 1939 roku zdała maturę i marzyła o studiach polonistycznych? Jaki byłby ich dom, gdyby ich mieszkania nie spalili Niemcy podczas Powstania Warszawskiego, a oni sami nie byli o krok od śmierci z rąk własowców? Kim zostałby brat mojej mamy, Andrzej, który zginął w Powstaniu Warszawskim w szeregach „Basz-

ty”? Oczywiście na takie pytania nie ma odpowiedzi, choć w prawie każdej polskiej rodzinie można by zadać podobne. Uświadamiają one, czym była dla Polski i Polaków makabra wywołana przez Niemcy i Sowiecką Rosję.

Rozważając straszliwe konsekwencje niemieckiego i sowieckiego najazdu na Polskę w 1939 roku, nie sposób nie pomyśleć o przemianach, jakie zaszły w polskiej historii w ostatnich trzech lub czterech pokoleniach. Moje osobiste świadectwo obejmuje raczej biedne choć dumne dzieciństwo w PRL, stałe unikanie czołowego zderzenia z totalitarną władzą, pamięć o obchodach Millenium Chrztu Polski w 1966 roku, gdy władze gomułkowskie za wszelką cenę starały się dowieść, że nie chodziło o chrzest, a także niezwykłą przygodę „Solidarności” i przełom 1989 roku. To by jednak była historia dość długa i na ogół znana.

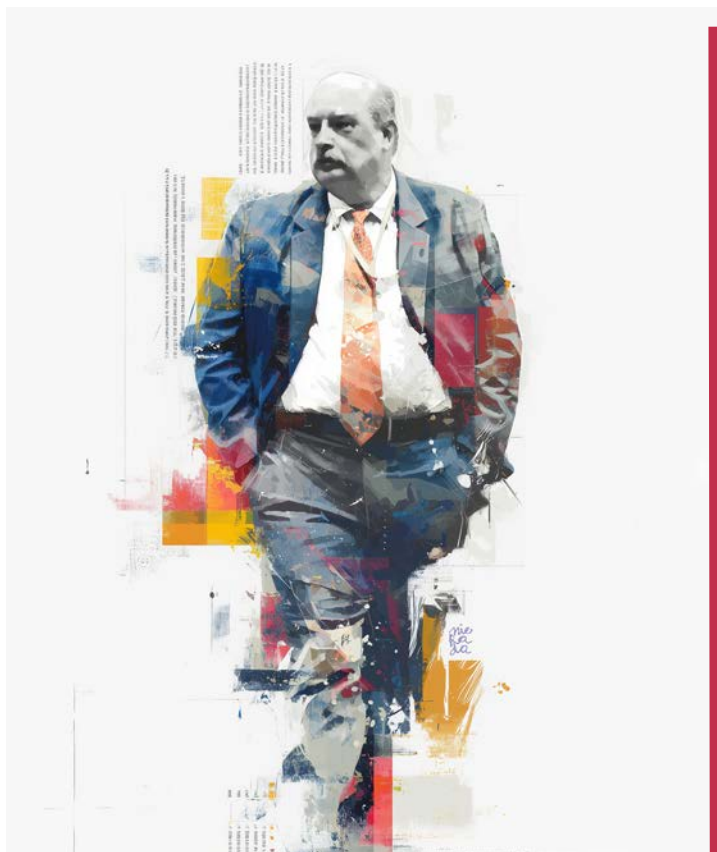
W wyniku wojny i przesunięcia granic społeczeństwo polskie stało się bardziej homogeniczne etnicznie, ale jednocześnie dużej jego części wyrwano korzenie. Po dziesięcioleciach widać to wyraźnie w rozkładzie głosów na mapie wyborczej Polski. W dużej mierze znikły dawne elity, a nowe powstały w warunkach politycznych PRL z przyzwolenia obcych. Nie są one pewne swej roli i dlatego tak często nadrabiają minę agresją. Zaraziły też swoimi kompleksami niedobitki dawnych elit. Szary człowiek patrzy na te wybryki albo stukając się w głowę albo używając sobie na „tym kraju” bez opamiętania. Czasem jakiś nadzwyczajny czynnik, jak głupota ekipy gierkowskiej, wybór papieża-Polaka, jego śmierć, sukces sportowy, katastrofa smoleńska lub epidemia korona wirusa, jednoczą Polaków. W codziennym życiu jesteśmy jednak niezwykle rozdarci. Zapominamy, że jesteśmy częścią 38-milionowego narodu o burzliwej, choć wspaniałej historii. Zapominamy, że gdyby nie niektóre katastrofy, które na nas spadły – niezależnie od stopnia własnych win – w wyniku rozbiorów, narodowych powstań i dwóch wojen światowych, byłoby nas pewnie dwa razy więcej. Być może nie wyjechałyby z Polski miliony emigrantów zarobkowych lub politycznych, którzy do kraju nie wrócili. Pamiętać też powinniśmy o milionach zesłańców po konfederacji barskiej, trzecim rozbiorze, po powstaniach narodowych, I wojnie światowej, „akcji polskiej NKWD” z lat trzydziestych XX wieku, któ-

rzy często bezimiennie zaginęli w ostępach Rosji, o Polakach wynarodowionych za czasów carskich i sowieckich, którzy jeszcze często przyznają się do polskości gdzieś w Kazachstanie. Oni wszyscy też są częścią naszego tysiąclecia. Każdy mieszkaniec Polski jest potomkiem jakiegoś ciągu przodków. Może czasem jakieś „dobre chęci” brukowały nasze sekcje piekła. Może było wiele cierpień bez happy endu, może coś z tej historii rodzinnej chciałoby się zapomnieć. W pamięci pokoleń pozostają jednak na ogół wspomnienia pozytywne. Każdy mieszkaniiec Polski powinien umieć odpowiedzieć na pytanie: co wynika z tej ponad tysiącletniej historii dla mnie – Polki, Polaka. Zacieranie pamięci lub relatywizowanie postaw niszczy wspólnotę tak samo, jak kłamstwa i beładne połajanki. Tysiąc lat po koronacji Bolesława Chrobrego historia ciągle daje nam szansę. Nie wolno jej zmarnować.



WOJCIECH POLAK
PRZEDMURZE
CHRZEŚCIJAŃSTWA





Prof. dr hab. Wojciech Polak, ur. w 1962 r. w Olsztynie. Historyk, pracownik naukowy Uniwersytetu Mikołaja Kopernika (UMK) w Toruniu. W 1980 r., podczas studiów na UMK, został członkiem komitetu założycielskiego Niezależnego Zrzeszenia Studentów na Wydziale Humanistycznym, później wchodził w skład zarządu wydziałowego i uczelnianego. Po wprowadzeniu stanu wojennego prowadził działalność podziemną w NZS, był członkiem tajnego zarządu uczelnianego NZS UMK. Współpracował ze strukturami podziemnymi „Solidarności”. Od 1985 r. zatrudniony na etacie naukowym na UMK. Tytuł profesora uzyskał w 2008 r. Od 2021 r. jest dyrektorem Centrum Badania Historii „Solidarności” i Oporu Społecznego w PRL na UMK. Obecnie prowadzi badania dotyczące głównie dziejów PRL (stan wojenny w Polsce, działalność Służby Bezpieczeństwa, relacje państwo-Kościół, historia opozycji demokratycznej i „Solidarności”). Ich owocem jest ponad 30 książek autorskich na ten temat, a także wiele artykułów, wydawnictw źródłowych i prac zbiorowych pod redakcją. Redaktor naczelny rocznika naukowego „Copernicus. Czasy Nowożytne i Współczesne”. Od roku 2016 jest członkiem Kolegium IPN. W latach 2018-2021 i obecnie pełni funkcję przewodniczącego tego ciała. W 1989 r. wstąpił do Stronnictwa Pracy, w 1990 r. został jednym z założycieli Porozumienia Centrum (PC) w Toruniu. W 2004 r. dołączył do Prawa i Sprawiedliwości. W 2010 r. stał na czele toruńskiego społecznego komitetu poparcia Jarosława Kaczyńskiego w trakcie kampanii prezydenckiej. W 2020 r. odznaczony przez Prezydenta RP Andrzeja Dudę Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski za wybitne zasługi w pracy naukowo-badawczej, dydaktycznej i publicystycznej, za upowszechnianie wiedzy o najnowszej historii Polski.

PRZEDMURZE CHRZEŚCIJAŃSTWA

W czasach starożytnych miasta otoczone były często murem obronnym, zaś mury wzmacniano nierzadko umocnieniami, zwanymi przedmurzem (antemurale). Z czasem określenia „przedmurze” zaczęto używać w sensie metaforycznym. W średniowieczu, gdy największym zagrożeniem dla Europy i chrześcijaństwa stała się muzułmańska Turcja, określenie Antemurale Christianitas używane było początkowo w odniesieniu do europejskich państw frontowych wobec Turcji. Były to: Republika Wenecka, Republika Dubrownika (Raguzy), Malta, Kreta, potem zaś przede wszystkim Cesarstwo Bizantyjskie (do upadku w 1453 r.), Mołdawia i Wołoszczyzna. Z czasem jednak określenie „Przedmurze Chrześcijaństwa” zaczęło obejmować dwie wielkie monarchie, które wzięły na siebie największy ciężar walki z Imperium Tureckim: Polskę i Węgry.

Katarzyna Niemczyk-Wiśniewska pisze:

Szczególną rolę w upowszechnieniu tego sformułowania odegrali w okresie późnego średniowiecza humaniści. Najlepiej zaś rozumienie idei Antemurale Christianitatis w dobie XV wieku oddał włoski humanista Francesco Filelfo, pisząc 25 stycznia i 5 listopada 1444 roku do Władysława Warneńczyka. W drugim z listów, napisanym już po klęsce warneńskiej, kiedy jednak wiadomość o śmierci władcy nie dotarła jeszcze do Italii, Filelfo zwrócił się do młodego króla Władysława Warneńczyka następującymi słowami: „Już zadrżała przed tobą cała barbaria i stoi w załęku. Dziwne to jest, jaką u wszystkich chrześcijan wzbudziłeś nadzieję i otuchę w twą wielkoduszość i niesłychaną twoją wytrwałość. Podążaj dalej królu Władysławie, najśmielej, jak zaczęłeś. Wszystkie narody i króle chrześcijaństwa

Z CZASEM JEDNAK OKREŚLENIE „PRZEDMURZE CHRZEŚCIJAŃSTWA” ZACZEŁO OBEJMOWAĆ DWIE WIELKIE MONARCHIE, KTÓRE WZIEŁY NA SIEBIE NAJWIĘKSZY CIĘŻAR WALKI Z IMPERIUM TURECKIM: POLSKĘ I WĘGRY

proszą dziś Boga o twoje zdrowie i zwycięstwo. Tyś jest przedmurzem całej chrześcijańskiej Europy”. Tym samym dał włoski poeta wyraz idei, która miała się przyjąć w XV wieku pod pojęciem *Antemurale Christianitatis*. Było to geograficznie rozumiane chrześcijaństwo, bronione na wschodzie Europy przed »niewiernymi«, głównie przez państwa takie jak Polska i Węgry. W takim kontekście nasz kraj stawał się jednym z bastionów chroniących całą chrześcijańską Europę. Niemiecki humanista Sebastian Brant w swej pracy „*Thurcorum terror et potentia*”, napisanej w roku 1498, określił Koronę mianem bastionu dla całej Europy. Jednakże to również zasługą polskiej dyplomacji było utrwalenie w Europie Zachodniej oraz kurii rzymskiej przekonania o szczególnym znaczeniu Królestwa Polskiego dla obronności i bezpieczeństwa Europy (K. Niemczyk-Wisniewska, *Ideologia „przedmurza chrześcijaństwa” jako przykład propagandy w walce z Imperium Osmańskim*, Średniowiecze Polskie i Powszechne, t. 14, 2022).

Polska już w 966 r., gdy przyjmowała chrzest, stała się w jakimś sensie Przedmurzem Chrześcijaństwa. Przecież większość obszarów, z którymi graniczyła, była jeszcze pogańska - Wieleci, Prusowie, Rusini, Jaćwingowie, a nawet plemiona zamieszkujące Małopolskę i Śląsk to krainy chrześcijańskie tylko nominalnie. Bardzo szybko książęta piastowscy rozpoczęli własną działalność misyjną. Wyprawa chrystianizacyjna św. Wojciecha do Prus była inspirowana, finansowana i organizowana przez Bolesława Chrobrego. Na Zjeździe Gnieźnieńskim w 1000 roku Otton III i Bolesław Chrobry uzgodnili, że polski książę będzie prowadził dalszą działalność misyjną z terytorium swojego państwa. Jej elementem było przygotowywanie się zakonników benedyktyńskich pod Kazimierzem Biskupim do pracy misyjnej wśród Wieleców. Zamordowanie zakonników (Pięciu Braci Polskich) przez zbójów powstrzymało tę misję, ale już w 1009 r. do Jaćwingów wyruszył z wyprawą chrystianizacyjną św. Bruno z Kwerfurtu

wraz z gronem towarzyszy. Także to przedsięwzięcie zakończyło się tragicznie. Działalność misyjną polscy władcy prowadzili zarówno w następnych latach jak i wiekach. Przykładem może być św. Otton z Bambergu, apostoł Pomorza Zachodniego, działający przy wsparciu Bolesława Krzywoustego. Wielką pracę wykonali Polscy w dziele chrystianizacji Litwy, poczynawszy od 1385 r.

Kłeska Węgier w bitwie pod Warną w 1444 r. dała Polsce szczególną możliwość prezentowania się w czasie działań dyplomatycznych w charakterze głównej zapory chroniącej Europę przed niewiernymi Turkami. Podkanclerzy i biskup krakowski, Jan Lutek z Brzezia, jeden z najwybitniejszych dyplomatów polskich XV stulecia, w latach 1454-1455 dwukrotnie uczestniczył w sejmach Rzeszy w Ratyzbonie, poświęconych krucjacie antytureckiej, gdzie bronił praw Polski do Prus. Jan Lutek mocno podkreślał też fakt, że Polska chroni całą Europę przed Turkami i ma prawo wzmacniać swoje wpływy w Mołdawii. Wypowiedzi te miały swoją wagę, zwłaszcza po upadku Konstantynopola i Cesarstwa Bizantyńskiego w 1453 r. Argumentację tę, powielaną często przez polską dyplomację, przyjmowała Stolica Apostolska. W 1462 r. przebywał w Polsce nuncjusz papieski (wysłannik Piusa II), biskup Krety Hieronim Lando. Przybył on do naszego kraju w sprawie mediacji pomiędzy Koroną a Zakonem Krzyżackim. Podczas mowy wygłoszonej w Krakowie nuncjusz nazwał Polskę tarczą, murem i przedmurzem (scutum, murus, antemurale) całego chrześcijaństwa.

Jan Ostroróg (1436-1501), doradca królów Kazimierza Jagiełłończyka i Jana Olbrachta, znany komity publicysta polityczny, w swoim dziele pt. „Memoriał o urządzeniu Rzeczypospolitej” postulował, aby Polska nie płaciła żadnych zwyczajowych danin pieniężnych papieżowi, gdyż pełni rolę przedmurza państw chrześcijańskich: *Chociaż papież może mieć najśluszniejszy powód wymagania takich opłat od innych narodów pod pozorem obrony wiary powszechnej przeciw nie-*

**KŁESKA WĘGIER W BITWIE
POD WARNA W 1444 R.
DAŁA POLSCE SZCZEGÓLNA
MOŻLIWOŚĆ PREZENTOWANIA
SIE W CZASIE DZIAŁAŃ
DYPLOMATYCZNYCH
W CHARAKTERZE GŁÓWNEJ
ZAPORY CHRONIĄCEJ EUROPE
PRZED NIEWIERNYMI TURKAMI**

wiernym, wszelako że Polska od tych danin wolną być powinna, tak słuszość jako i rozumna zasada wymaga, albowiem od dawien dawna na ciągłe boje wystawiona, walcząc przeciw Turkom, Tatarom, Moskwie, Wołochom, dla obrony kraju stanowiącego przedmurze wszystkich państw chrześcijańskich, tak jest z pieniędzy i skarbów wycieńczona i wyszana, iż jej prawie nie dostaje w tem potrzebnego zasobu na obronę sprawiedliwości i utrzymanie spokojności domowej. Ponieważ tedy Polska graniczy z takimi nieprzyjaciółmi, od których nie tylko swych mieszkańców, ale i Szląsk, Morawy, Czechy i całe prawie Niemcy kosztem własnym nieustannie zaślania i broni, słuszny jest, aby papież miał to na uwadze, i nie wymagając nadal z Polski takowych annatów, jakie po śmierci biskupów dla jego dworu mogłyby przypadać, skarbowi królestwa oneż owszem zostawiał, aby, bez uciemiężenia ubogiego ludu, można pokój mieszkańców i spokojność domową i publiczną utrzymać dla wzrostu nawet innych państw wyżej wymienionych (Jana Ostroroga żywot i pismo o naprawie Rzeczypospolitej, wyd. A. Pawiński, Warszawa 1884, s. 137-138).

W 1526 r. armia węgierska, dowodzona przez Ludwika II Jagiełłończyka, poniosła wielką klęskę w walce z wojskami tureckimi podczas bitwy pod Mohaczem. Młody władca zginął, a rezultatem dalszych wydarzeń był podział Węgier na trzy części: tereny środkowe kraju z Budą i Pesztem zajęte przez Turcję, zależne od Turcji księstwo na wschodzie zwane Siedmiogrodem i tereny zachodnie ze Słowenią i Chorwacją, opanowane przez Habsburgów (noszących tytuł królów Węgier). Upadek Węgier ustanowił Polskę najważniejszym, kluczowym wręcz elementem Przedmurza Chrześcijaństwa.

W XVII wieku Polskę nazywano Przedmurzem Chrześcijaństwa w całej Europie, określenie to było też bardzo popularne wśród szlachty polskiej (ale w formie łacińskiej). Większość panów braci sądziła, że Pan Bóg specjalnie umieścił nas na krańcach Europy, ze względu na naszą odwagę i poświęcenie w ratowaniu świata chrześcijańskiego przed zniszczeniem. Opinia taka rozpowszechniona była zresztą także i w innych krajach. O szczególnej roli Polski w dziele obrony chrześcijańskiej Europy pisali m. in. Niccolò Machiavelli i Erazm z Rotterdamu. W XVII wieku Polska dwukrotnie uratowała Europę przed ogromnym najazdem tureckim: pod Chocimiem (1621 r.) i pod Wiedniem (1683 r.).

O obronie Chocimia w 1621 r. przeciętny Polak nie może niestety zbyt wiele powiedzieć. Ze zbiorowej pamięci historycznej zniknęła ona prawie zupełnie. A przecież jeszcze na początku XX wieku często podkreślaliśmy, że jesteśmy potomkami bohaterów spod Chocimia i Wiednia.

**WIEKSZOŚĆ PANÓW BRACI
SADZIŁA, ŻE PAN BÓG
SPECJALNIE UMIEŚCIŁ NAS
NA KRAŃCACH EUROPY,
ZE WZGLĘDU NA NASZĄ
ODWAGĘ I POŚWIĘCENIE
W RATOWANIU ŚWIATA
CHRZEŚCIJAŃSKIEGO
PRZED ZNISZCZENIEM**

Leżące nad Dunajem Księstwa Mołdawskie i Wołoskie były w XVII wieku obszarem ścierania się wpływów polskich i tureckich, a czasami także austriackich. Polska (bezpośrednio lub przy pomocy sił i środków magnackich) wielokrotnie wkraczała zbrojnie na ich terytoria, aby ustanowić przyjaznych sobie władców (hospodarów). Wprawdzie zawarty przez hetmana Stanisława Żółkiewskiego w 1617 r. traktat w Buszy oddawał księstwa nad-dunajskie pod zwierzchnictwo tureckie, ale nikt w Polsce nie traktował go zbyt poważnie.

23 maja 1618 r. przez okno Zamku Królewskiego na Hradczanach w Pradze wyrzucono dwóch cesarskich namiestników – Jarosława Borżitę z Martinic i Wilhelma Slavatę – oraz ich sekretarza Fabriciusa. Spadli wprawdzie na kupę resztek jedzenia, usuwanych niechlujnie po ucztach przez okno, i nie odnieśli obrażeń, ale wydarzenie to stało się symbolem konfliktu, który doprowadził do buntu stanów czeskich przeciwko władzy cesarskiej (popartego przez protestantów niemieckich) i wybuchu wojny trzydziestoletniej. W 1619 r. książę Siedmiogrodu, Gábor Bethlen, sprzymierzył się z Czechami i wystąpił zbrojnie przeciwko cesarzowi i królowi węgierskiemu – Ferdynandowi II. W listopadzie 1619 r. armia siedmiogrodzka stanęła pod Wiedniem. Zygmunt III zdecydował o udzieleniu cesarzowi pomocy. Na odsiecz ruszyli polscy żołnierze ze słynnej, niezwykle bitnej formacji lisowczyków. Odnieśli oni wielki sukces. Około dziesięciotysięczne oddziały lisowczyków pod dowództwem Walentego Rogowskiego pokonały w dniach 22–23 listopada 1619 r. wojska Jerzego I Rakoczego (wówczas dowódcy na służbie księcia Gábora Bethlena) w bitwie pod Humiennem i Zavidą, na terenie dzisiejszej Słowacji. Książę Gábor Bethlen na wieść o wyprawie i zwycięstwie lisowczyków zwinął oblężenie Wiednia. Interwencja polska w tej wojnie stała się główną przyczyną wojny z Imperium Osmańskim. Turcja uznała bo-

RZECZPOSPOLITA POPIERAŁA W TYM CZASIE HOSPODARA MOŁDAWSKIEGO GASPARA GRAZZIANIEGO. OTRZYMAŁ ON W KWIECNIU 1619 R. NOMINACJĘ Z RAK TURECKICH. SZYBKÓ JEDNAK ZROZUMIAŁ, ŻE JEŚLI CHCE ZACHOWAĆ JAKĄS DOŻĘ NIEZALEŻNOŚCI OD PORTY, MUSI DAŻYĆ DO PRZYJAŹNI Z RZECZPOSPOLITĄ

wiem, że Polska poważnie naruszyła interesy jej lennika Gábora Bethlena. W dodatku sułtana wy-prowadzały z równowagi nieustanne brawurowe najazdy rabunkowe Kozaków na jego terytorium. Rzeczpospolita, mimo czynionych wysiłków, nie była w stanie im zapobiec.

Napięte relacje z Turcją Rzeczpospolita próbowała rozładowywać drogą dyplomatyczną. Pod koniec 1619 r. do Turcji ruszyło poselstwo z dyplomata, sekretarzem królewskim, Hieronimem Otwinowskim na czele. Nie dało ono żadnych rezultatów. Poselstwo było bardzo źle traktowane w Stambule, m. in. dlatego, że podczas jego trwania kolejny wypad kozacki spustoszył okolice tureckiej stolicy.

Rzeczpospolita popierała w tym czasie hospodara mołdawskiego Gaspara Grazzianiego. Otrzymał on w kwietniu 1619 r. nominację z rąk tureckich. Szybko jednak zrozumiał, że jeśli chce zachować jakąś dozę niezależności od Porty, musi dążyć do przyjaźni z Rzeczpospolitą. Zaczął więc przesyłać Żółkiewskiemu informacje o ruchach wojsk tatarskich i działaniach księcia siedmiogrodzkiego Gábora Bethlena. Turcy, gdy zorientowali się, że Grazziani zajmuje stanowisko propolskie, wysłali do niego w 1620 r. czausza z zawiadomieniem o zdjęciu z tronu. Hospodar kazał go zabić, wywołał w Jassach powstanie antytureckie (w wyniku którego wymordowano około dwa tysiące Turków), a sam z wojskiem udał się pod granicę z Polską, do Chocimia. Hetman wielki koronny Stanisław Żółkiewski obiecał mu pomoc.

Niepokojące wieści od szpiegów, których Stanisław Żółkiewski wysyłał do Imperium Osmańskiego, świadczyły wyraźnie, że Turcy szykują się do wojny z Polską. W Rzeczypospolitej panowało ogromne zaniepokojenie. Historycy prowadzą do dziś polemikę na temat przyczyn wojny rozpoczętej w 1619 r. i rzeczywistych intencji tureckich. Wydaje się, że najtrafniej ujął ówczesną sytuację Jerzy Besala

w swojej biografii Stanisława Żółkiewskiego: *Tymczasem okazało się, że z groźnie wyglądającej chmury spadnie mały deszcz, do którego południowo-wschodnia Polska zdążyła się już przyzwyczaić: lokalny najazd ord tatarskich wsparty przez armię turecką Skindera (Iskandera) paszy. Imperium Otomańskie w 998 roku hidżry nie zdążyło jeszcze zmobilizować swych olbrzymich sił po ciężkiej walce z Persją. Dla tego król na tajnej radzie tak zwanego małego senatu 15 lipca zaproponował rzecz nieoczekiwaną: uderzenie uprzedzające na Mołdawię. Miało to podnieść prestiż militarny Polski, utrzymać władzę sprzyjającego Rzeczypospolitej Grazzianiego, odwrócić umysły od nabrzmiałych spraw krajowych. Decyzję w kwestii wkroczenia do Mołdawii pozostawiono jednak w rękach hetmana wielkiego koronnego: człowieka znającego przecież doskonale realia mołdawskie i tureckie, utrzymującego i wspierającego od miesięcy hospodara Grazzianiego (J. Besala, Stanisław Żółkiewski, Warszawa 1988, s. 352).*

Hetman Stanisław Żółkiewski zdecydował więc o wkroczeniu do Mołdawii. Jego armia liczyła ok. 8 tysięcy żołnierzy. Hetman postanowił udać się do starych okopów pod Cecorą, w których w 1595 r. roku hetman Jan Zamoyski walczył z chanem tatarskim Gazi Girejem. Jednak bitwa stoczona 19 września 1620 r. zakończyła się porażką. Jej przyczynami, według historyka Ryszarda Majewskiego, było z pewnością nieudolne dowodzenie, brak odwodów, niedbałe rozpoznanie pola walki przed bitwą, brak dyscypliny wśród żołnierzy (nie przeprowadzono poważniejszego uderzenia w celu ratowania taboru, bo wojsko odmówiło), słaba odporność psychiczna polskiej jazdy. Po przegranej bitwie część oddziałów próbowała uciekać na własną rękę, inni dokonywali rabunku łupów w obozie. Dnia 20 września 1620 r., nazajutrz po bitwie, hetman Żółkiewski zwołał naradę i zaproponował ponowne wydanie bitwy przeciwnikowi. Sprzeciwili się temu: książę Samuel Korecki, starosta halicki

NIESTETY, ATAK DWUSTU TATARÓW ROZBIŁ KONNY TABOR. CZĘŚĆ ŻOŁNIERZY UCIEKŁA Z POGROMU NA KONIACH. WOKÓŁ HETMANA STANISŁAWA ŻÓŁKIEWSKIEGO I HETMANA STANISŁAWA KONIECPOLSKIEGO ZOSTAŁO JEDENASTU ŻOŁNIERZY

Mikołaj Struś oraz starosta kamieniecki Aleksander Kalinowski, a także inni dowódcy, tłumacząc to upadkiem ducha bojowego. Podjęto natomiast decyzję o przebijaniu się taborom do Rzeczypospolitej, w kierunku miasteczka nad granicznym Dniestrem – Mohylowa. Uformowanie taboru zlecono zdolnemu dowódcy Stefanowi Chmieleckiemu. Nieustannie atakowany przez Turków i Tatarów tabor dotarł w pobliże granicznego Dniestru. Tam 7 października doszło jednak w wojsku do paniki. Część „swawolników” zaczęła rabować wozy i wypręgać, a nawet zabierać siłą konie, aby uciekać wierzchem. Nastąpił tumult, tabor został rozerwany. Zamieszanie wykorzystali wspierający Turków Tatarzy, pod dowództwem Kantymira mirzy, którzy uderzyli na rozsypującą się armię. Hetman Żółkiewski i hetman polny koronny Stanisław Koniecpolski próbowali jeszcze zapanować nad sytuacją. Gdy okazało się to niemożliwe, podjęli decyzję o utworzeniu taboru z samych koni. Za nim skryło się około trzystu żołnierzy, ostrzeliwując się przed nieprzyjacielem. Stanisław Żółkiewski, żeby udowodnić, że nie zamierza uciekać konno z tego taboru, przebił szablą swojego konia. Pożegnał się też synem Janem i wypowiedział u jezuitę, księdza Szymona Wybierskiego. Niestety, atak dwustu Tatarów rozbił konny tabor. Część żołnierzy uciekła z pogromu na koniach. Wokół hetmana Stanisława Żółkiewskiego i hetmana Stanisława Koniecpolskiego zostało jedenastu żołnierzy. Byli wśród nich między innymi: porucznik husarski Abraham Złotopolski, Herman Denhoff, Kurzawski i Zbigniew Silnicki. Świadek ostatnich chwil Stanisława Żółkiewskiego, Abraham Złotopolski, pisał w liście do Wojciecha Miaskowskiego (żołnierza, dyplomaty i pamiętnikarza związanego z hetmanem) dnia 25 października 1620 r. z Trembowli: *Szliśmy z nim pieszo na kilkoro strzelenia z łuku, prosząc go, aby na koń wsiadł i równo z drugimi uchodził, ale nie chciał mówiąc te słowa: » Nie wsiądem. Miło mi będzie z wami umrzeć. Niechaj Pan Bóg nade mną wyrok swój kończy, który uczynił «. Mało co postąpiwszy poczęliśmy znowu go*

prosić, aby wsiadł i uchodził, ale konia już nie było. Jam wtedy towarzysza jakiegoś z konia zbił i pana hetmana wsadził nań. Zatem z boku naszych kilkaset koni przypadło, między których on wpadł i jużem go potem nie widział (aneksy do: T. Szemberg, Relacja o wyprawie cecorskiej 1620, opr. B. Królikowski, Lublin 2009, s. 115).

Następnego dnia około 5 kilometrów na południe od Mohylowa Turcy znaleźli ciało hetmana. Miał odciętą prawą rękę i głęboką ranę na skroni. Jak widać, walczył do końca. Odciętą głowę hetmana, nabitą na pikę, Iskander pasza odesłał sułtanowi do Stambułu. Przez dwa lata znajdowała się nad wejściem do jego pałacu. Wysłannicy wdowy po Stanisławie Żółkiewskim odnaleźli natomiast resztę ciała.

Z ludzi, którzy do końca wytrwali przy Stanisławie Żółkiewskim, zginął jeszcze nieszczęśliwie młody Herman Denhoff. Abraham Złotopolski, Zbigniew Silnicki i Kurzawski przepłynęli Dniestr i uratowali się. Pozostali, z hetmanem polnym Stanisławem Koniępcolskim, dostali się do niewoli tureckiej.

Po klęsce cecorskiej czambuły tatarskie grasowały po Polsce, docierając aż pod Lwów i Jarosław. Nikt nie stanął w obronie łupionej i porywanej w jasyr ludności. Jednak na sejmie rozpoczętym 3 listopada 1620 r. uchwalono podatki na armię w liczbie sześćdziesięciu tysięcy żołnierzy.

Pod koniec kwietnia 1621 r. ruszyła na Polskę armia sułtana Osmana II, licząca co najmniej sto tysięcy ludzi. Naprzeciwko niej wysłała armia polska, dowodzona przez hetmana wielkiego litewskiego Jana Karola Chodkiewicza, która okopała się pod Chocimiem. Liczyła ona 35 tysięcy żołnierzy. Natomiast hetman rejestrowy kozacki Piotr Konaszewicz-Sahajdaczny przywiódł ze sobą 30-40 tysięcy żołnierzy. Obrona obozu polskiego pod Chocimiem trwała od 2 września do 9 października 1621 r. Formalnie dowódcą był królewicz Władysław, obecny w obozie, ale ciężko chory. Faktycznie dowodził Jan Karol Chodkiewicz.

Obóz pod Chocimiem, zbudowany po mołdawskiej stronie Dniestru, w oparciu o zajęętą przez Polaków twierdzę chocimską, rozciągał się na powierzchni około 8 km². Otaczały go nowoczesne fortyfikacje, dzieło Holendra Wilhelma Appelmana, który służył w artylerii koronnej. Wkrótce pod obozem znalazła się wielka armia turecka. Tak opisuje przybycie Turków historyk Adam Naruszewicz: *Dnia drugiego września począł się w poranku z dala okazywać niezmierny tuman, z wzniecone od tłumy ludzi i bydła kurzawy a ten pomykając się coraz bliżej ku Chocimiowi, i rozlewając się szeroko po górach, równinach, i padołach, oznaczał, jak się wojska pogańskie dzieliły i stanowiły. Opanowali Turcy o milę od nas toż samo stanowisko, na którym wczoraj spoczy-*

NASTĘPNEGO DNIA OKOŁO 5 KILOMETRÓW NA POŁUDNIE OD MOHYLOWA TURCY ZNALEŻLI CIAŁO HETMANA. MIAŁ ODCIĘTĄ PRAWĄ REKĘ I GŁĘBOKĄ RANĘ NA SKRONI. JAK WIDĄĆ, WALCZYŁ DO KOŃCA. ODCIĘTĄ GŁOWĘ HETMANA, NABITĄ NA PIKE, ISKANDER PASZA ODESŁAŁ SUŁTANOWI DO STAMBUŁU

wali Zaporozcy, nim się z naszymi złączyli. Około południa, gdy mgła owa piaszczysta opadła; zabielały na kształt spadłego śniegu wszystkie wzgórki, a mianowicie trzy okazalsze namiotami, które z niewymowną prędkością, gdzie któremu wyznaczono, za danym znakiem rozbito. Cesarski czerwony w pośrodku taboru, nad samym Dniestrem, większe miał do pałacu niż do namiotu podobieństwo: pełno w nim było sal, pokojów drogiemi kobiercami obitych i wysłanych. Baszowie przesadzali się w swoich. Całe to płocienne miasto jaśniało utkwionemi po wierzchołkach gałkami pozłocistemi, albo proporcami i chorągwiemi różnych kolorów, do strachu i podziwienia. Przed namiotem cesarskim stały owe cztery słonie z uwieszonemi na grzbietach dzwonami, dla dania znaku do ruszenia się wojskom. Zbudowano też przy nim wysoką wieżę, a by z niej sułtan mógł patrzeć na obroty swoich, w czasie harców i bitew, gdyby na nie sam nie wjeżdżał (A. Naruszewicz, Historia Jana Karola Chodkiewicza wojewody wileńskiego, hetmana wielkiego Wielkiego Xięstwa Litewskiego, t. II, Warszawa 1805, s. 249-250).

Po zbliżeniu się pierwszych sił tureckich do obozu hetman wyprowadził armię na otwarte pole i wygłosił do żołnierzy płomienne przemówienie. Potem tysiące żołnierzy odśpiewały „Bogurodzicę”. Jeszcze 2 września Turcy zaatakowali obóz kozacki, zostali jednak skutecznie odparci ze sporymi stratami. Ataki tureckie na Kozaków miały miejsce także 3 i 4 września. Bitni Zaporozcy nie tylko je odparli, ale przeprowadzili kontratak, który zbliżył się do namiotów tureckich. Po tych niepowodzeniach Turcy zmienili taktykę i rozpoczęli systematyczne oblężenie obozu, połączone z bombardowaniem. Jednak 7 września głównymi siłami uderzyli znowu na obóz kozacki. Równocześnie zaatakowali siły polskie i litewskie, aby uniemożliwić wspieranie wojsk zaporoskich. Leszek Podhorodecki tak opisywał wydarzenia tego dnia:

Czterokrotnie Turcy zbliżali się do stanowisk kozackich, za każdym razem byli jednak zmuszani do odwrotu. W południe ruszyli na nie atakowany dotąd styk skrzydła litewskiego i pułku królewicza Władysława. Strzegące tego miejsca rotę koronne dały się zaskoczyć i szybko uległy. Turcy wdarli się na szaniec, dotarli do wału głównego, zdobyli wiele łupów, ale zachęceni łatwym suk-

cesem, rozbiegli się za zdobyczą. Hetman widząc niebezpieczeństwo w porę przeprowadził jednak kontratak i wyparł napastników. Wieczorem ruszyło na ten odcinek nowe natarcie tureckie. Hetman przewidział to uderzenie, ukrył za głównym wałem znaczną liczbę piechurów, a za bramą litewską - jazdę. Turcy nie widząc obrońców śmiało zaatakowali, a wtedy ukryci żołnierze wyszli na wały i otworzyli gwałtowny ogień. Jednocześnie hetman wyprowadził bramą litewską pięć wyborowych chorągwi husarii i uderzył na przeciwnika z flanki. Pierwsza ruszyła do szarży chorągiew hetmańska z samym Karolem na czele, za nimi następne (L. Podhorodecki, Dzieje rodu Chodkiewiczów, Warszawa 1997, s. 88).

Skutki szarży były dla Turków straszliwe. Poległo 500 żołnierzy i dwóch znacznych paszów. Po tej bitwie aż do 12 września, gdy Turcy podjęli kolejny nieudany atak na obóz kozacki, zapanował względny spokój.

14 września Turcy ponownie zaatakowali polski obóz siłami 30 tysięcy żołnierzy. Pomimo przejściowego sukcesu i wdarcia się na centralny odcinek wału napastnicy zostali odparci. Po tej porażce Turcy zaprzestali na jakiś czas szturmów, licząc, że wygłodzeni żołnierze Rzeczypospolitej i tak będą musieli skapitulować. Rzeczywiście głód w obozie był straszliwy. Wielu żołnierzy z tego powodu chorowało, padały też konie. Na szczęście podobna sytuacja panowała także w obozie tureckim. To skłoniło Turków do skorzystania z pośrednictwa hospodara mołdawskiego i zaproponowania rozmów w sprawie pokoju. Część polskich dowódców uważała, że trzeba zawrzeć pokój za wszelką cenę. Ciężko chory hetman był jednak innego zdania. Na Radzie Wojennej w dniu 14 września 1621 r. przekonywał, że tylko wytrzymała obrona obozu doprowadzi do pokoju korzystnego dla Rzeczypospolitej. Przyznano mu rację i zadeklarowano walkę do końca. W następnych dniach dochodziło tylko do drobnych starć. Polscy żołnierze kilkakrotnie napadali na obóz turecki, rabując broń, tkaniny, konie, wielbłądy i kosztowności. Stan zdrowia hetmana pogarszał się z dnia na dzień. W Radzie Wojennej, zwołanej 21 września przez królewicza Władysława, nie mógł już brać udziału. Adam Naruszewicz tak opisywał ostatnie chwile hetmana:

Już się przybliżał zgon Chodkiewicza. Przez kilka dni nieustającą chorobą zmęczony, kazał się wieść z obozu do Chocimia, ażeby wolny już od rzeczy doczesnych o wieczności pomyślił. Gdziekolwiek ten wóz fatalny przechodził, cisnęło się do niego żołnierstwo z niewymownym płaczem. Przywieziony do zamku, złożył buławę z władzą najwyższego hetmaństwa w rękę kolegi [Stanisława] Lubomirskiego dnia 23 września. A sam nazajutrz, w piątek o drugiej godzinie z południa, opatrzony świętymi sakramentami, po długim i ciężkim konaniu Bogu duszę oddał (A. Naruszewicz, *Historia Jana Karola Chodkiewicza*, t. II, s. 297).

Na wieść o śmierci hetmana Turcy przypuścili szturm na polski obóz w dniu 25 września 1621 r. Został on jednak po krwawych walkach odparty. Ostatni szturm Turcy podjęli 28 września. Żołnierze Rzeczypospolitej i z nim sobie poradzili, aczkolwiek w obozie pozostała już tylko jedna beczka prochu. Na szczęście również i Turcy byli zupełnie wyczerpani - chętnie przystąpili do rozmów pokojowych. Ze strony polskiej prowadzili je dworzanin królewski Jakub Sobieski (ojciec króla Jana III Sobieskiego) oraz kasztelan bełski Stanisław Żórawiński.

Duże trudności wywoływały kwestie językowe. Polacy nie mieli tłumacza języka tureckiego. Ich wypowiedzi tłumaczył na rumuński jeden z dworzan hospodara mołdawskiego, a sam hospodar dokonywał przekładu z rumuńskiego na turecki.

9 października 1621 r. podpisany został traktat pokojowy. Rzeczpospolita uznała zwierzchność turecką nad Mołdawią, Polacy zobowiązywali się powstrzymać Kozaków od najazdów na Turcję, a Turcy powstrzymywać Tatarów od najazdów na Polskę. Armia turecka opuściła swoje pozycje 10 października i ruszyła w drogę powrotną (na co polskie wojsko zareagowało odśpiewaniem *Te Deum laudamus*), a 13 października przeszli za Dniestr Polacy i Kozacy. Żołnierze Rzeczypospolitej utrzymali pole bitwy i zgodnie z zasadami sztuki rycerskiej byli zwycięzcami. Sławę obrońcy chrześcijaństwa zdobył nie za bardzo w tym wypadku zasłużony królewicz Władysław. Jednak podczas podróży po Europie w latach 1624-1625 Władysław wszędzie był witany jako triumfator. Znakomity historyk Adam Przyboś pisał:

Można zaryzykować twierdzenie, że źródła traktujące o tak udanej podróży Władysława świadczą



o wysokim autorytecie dynastii Wazów, Rzeczypospolitej i jej obywateli, skoro cesarz, papież, liczni książęta okazywali polskiemu królewiczowi takie uznanie, witali go muzyką i wierszami, papież wyróżniał mieczem i czapką zwycięzcy, a doświadczeni wodzowie, jak ów Ambrogio Spinola, ofiarowali dowództwo nad hiszpańską armią, a papież Urban VIII nad gotowaną wyprawą ogólnoeuropejską przeciw Turkom (A. Przyboś, Podróż królewicza Władysława Wazy do Europy Zachodniej w 1624 i 1625 roku, Wiadomości Historyczne, nr 2/5, 1959, s. 104).

Cała chrześcijańska Europa podziwiała triumf Rzeczypospolitej. Wdzięczność dla Polski, jej króla i żołnierzy powszechna była w wielu krajach.

Powszechna była jednak także pamięć o zasługach Jana Karola Chodkiewicza. Leszek Podhorodecki pisał: *Diariusz o wojnie chocimskiej i roli w niej hetmana, opowiadania i poematy o niej przepisywano i tłumaczono od Armenii do Dubrownika, Rzymu i Madrytu. Tak np. diariusz Tytlewskiego opublikowany był w Mediolanie i Madrycie, a kronika Aksenta, napisana w języku kipczackim (tatarskim), przetłumaczona została na ormiański i czytowana w ujarzmionej przez Turków Armenii. Hetman zdobył sobie powszechnie miano obrońcy chrześcijaństwa, toteż w dalekiej Florencji Medyceusze wznieśli mu okazały pomnik* (L. Podhorodecki, Jan Karol Chodkiewicz, 1560-1621, Warszawa 1982, s. 387).

Warto dodać, że Zygmunt III Waza poprosił papieża o ustanowienie święta liturgicznego dziękczynienia za zwycięstwo pod Chocimiem, które do dzisiaj w formie nadzwyczajnej rytu rzymskiego obchodzone jest 10 października. Słynny poeta chorwacki, Ivan Gundulić (1589-1638), związany z miastem Ragusa (Dubrownik) w Dalmacji, obronie Chocimia poświęcił

cały rozdział swojego poematu pt. „Osman”. Cały poemat jest pochwałą polskiego męstwa i bohaterstwa, a główna postać utworu to królewicz Władysław (późniejszy król Polski Władysław IV). Na poemacie „Osman” oparło się chorwackie odrodzenie narodowe, ustalając na podstawie tego utworu kanon języka literackiego.

Trzeba więc podkreślić, że w 1621 r. narody Europy Zachodniej nie udzieliły nam wprawdzie żadnej pomocy, ale polski wysiłek wojenny odpowiednio doceniono, uznano umiejętności i poświęcenie żołnierzy Rzeczypospolitej oraz nadzwyczajne kwalifikacje polskich dowódców.

W 2023 roku minęło 340 lat od Wiktorii Wiedeńskiej. Na czele stutysięcznej armii koalicyjnej (w tym 22-25 tysięcy żołnierzy polskich), która ruszyła, aby uratować Wiedeń przed Turkami, stanął 3 września 1683 r. król Polski Jan III Sobieski. To on, wraz z księciem Karolem Lotaryńskim, stworzył plan uderzenia na Turków. A wspaniała szarża polskiej husarii w dniu 12 września 1683 r. ze stoków wzgórza Kahlenberg zadecydowała o triumfie.

Austriacy od początku umniejszali wkład Polski i polskiego króla w zwycięstwo pod Wiedniem. Jan III Sobieski objął dowództwo nad całą armią sprzymierzonych jako jedyny obecny na miejscu suwerenny władca, zgodnie z zapisami układu sojuszniczego. Domagał się tego stanowczo, mając za sobą także wielowiekowy obyczaj, ale Austriacy stawiali początkowo opór. Pikanterii sytuacji dodawał fakt, że cesarz Leopold I, którego poseł błagał polskiego króla o pomoc, sam przebywał w Passawie w odległości 350 km od Wiednia. Trudno więc mówić o odwadze austriackiego cesarza czy też o jego wyjątkowym bohaterstwie. Trudno też przypisać mu jakieś szczególnie godne naśladowania zachowanie na polu walki. A mimo to wielu austriackich historyków

dowództwo polskiego króla oceniło jako niepożądane i niekonieczne, a czas, który poświęcono na omówienie tej kwestii podczas rokowań, uznano za stracony.

Te bezpodstawne opinie powtarza nawet słynny austriacki historyk sztuki Ernst Gombrich (większość życia spędził w Wielkiej Brytanii), autor niezwykle popularnej historii świata dla dzieci pt. „Godziny wieków”, tłumaczonej na wiele języków (w tym na polski – pierwsze wydanie w 1938 r.).

13 września, a więc najutrz po zwycięskiej bitwie, próbowano nie wpuścić króla Polski do uratowanego miasta, aby jako pierwszy uczynił to cesarz Leopold (przypomnijmy: oddalony o ponad 300 kilometrów). Na szczęście Jan III Sobieski, niewiele sobie robiąc z prób powstrzymania go, triumfalnie wkroczył do Wiednia, witany entuzjastycznie przez prostych mieszkańców miasta. Niestety – austriaccy urzędnicy i wojsko wykazywali wobec Polaków jawną niechęć.

Sam cesarz, gdy dotarł w końcu do Wiednia, nie okazał polskiemu królowi należytego szacunku. Król Jan Sobieski tak opisywał spotkanie z Leopoldem I dnia 17 września 1683 r.: *W obozie pod wsią Szenauna gościńcu preszowskim nad Dunajem, mil trzy od Wiednia [...]. Przyjechał cesarz z samym tylko elektorem bawarskim, bo już saskiego nie było; kilkadziesiąt z nim kawalerów dworskich, urzędników i ministrów, drabanci za nim, trębacze przed nim, et des valets de pied [i pieszych] sześć albo ośm. Son portrait [jego wizerunku] nie opisuję, bo jest znajomy. Siedział na koniu gniadym, snadź hiszpańskim. Justaucorps [kaftan] na nim bogato broderowany, kapelusz francuski z zaponą i piórami białawymi i ceglasty-mi, zaponą – szafiry z diamentami, szpada także. Przywitaliśmy się tedy dosyć ludzko: uczyniłem mu komplement kilką słów po łacinie; on tymże*

AUSTRIACY NIE OKAZYWALI ŻADNEJ WDZIĘCZNOŚCI ANI POLAKOM, KTÓRZY PRZELEWALI KREW ZA ICH OJCZYZNĘ, ANI RZECZPOSPOLITEJ, KTÓRA PRZYSZŁA IM Z POMOCĄ. WARTO PODKREŚLIĆ, ŻE ODSIECZ WIEDEŃSKA KOSZTOWAŁA POLSKĘ TYLE, ILE WYNOŚIŁ ROCZNY BUDŻET PAŃSTWA

odpowiedział językiem, dosyć dobrymi słowami. Stanąwszy tedy przeciwko sobie, prezentowałem mu syna swego, który się mu zbliżywszy uklonił. Nie osiągnął cesarz nawet ręką do kapelusza; na co ja patrząc, ledwom nie zdrętwiał. Toż uczynił i wszystkim senatorom i hetmanom, i swemu allie [sojusznikowi], księciu p. wojewodzie bełskiemu. Nie godziło się jednak inaczej (aby się świat nie skandalizował, nie cieszył albo nie śmiał), jeno jeszcze kilka słów mówić do niego; po których obróciłem się na koniu, pokłoniwszy się wspólnie, i w swą pojechałem drogę. Jego zaś p. wojewoda ruski poprowadził do wojska, bo sobie tego życzył; i widział wojsko nasze, które okrutnie było żałosne i głośno narzekało, że im przynajmniej kapeluszem tak wielkiej ich pracy i straty nie nagrodzono (Jan III Sobieski, Listy do Marysieńki, https://www.intratext.com/IXT/POL0129/_P2N.HTM0).

W następnych dniach wojska polskie ruszyły w pościg za Turkami. Oddziały austriackie i niemieckie trzymały się od Polaków na dystans, unikając wręcz starcia z wrogiem. Wbrew umowom nie dostarczano naszym wojskom żywności a koniom paszy. Rannych Polaków nie przyjmowano do austriackich szpitali i umierali bez opieki. Nie pozwalano nawet grzebać zmarłych i poległych polskich żołnierzy na austriackich cmentarzach. W mijanych miastach nie można było dostać ani żywności, ani noclegów.

Austriacy nie okazywali żadnej wdzięczności ani Polakom, którzy przelewali krew za ich ojczyznę, ani Rzeczypospolitej, która przyszła im z pomocą. Warto podkreślić, że odsiecz wiedeńska kosztowała Polskę tyle, ile wynosił roczny budżet państwa. Ta „niewdzięczna” historia ma też niestety swój dalszy ciąg. W XVIII wieku Austria stała się inicjatorem pierwszego rozbioru Polski. Sygnał do zajmowania ziem Rzeczypospolitej daje jeszcze w latach 1769-1770, wkraczając na Spisz i do starostw nowotarskiego, sądeckiego i czorszyńskiego. Opowieść, że cesarzowa Maria Teresa płakała, podpisując

traktat pierwszego rozbioru Polski, to ckliwa bajeczka dla naiwnych, w celu tuszowania zbrodni popełnionych przez Austriaków. W 1795 r. Austria wzięła też udział w III rozbiorze Polski, pozbawiającym nasz kraj bytu państwowego. Monarchii habsburskiej przypadł wtedy królewski Kraków. Ranga dokonanej przez Polaków odsieczy wiedeńskiej jest do dzisiaj nad Dunajem skrajnie minimalizowana, polski wysiłek zbrojny lekceważony, a gotowy, ufundowany przez Polaków, pomnik Jana III Sobieskiego nie może stanąć na Kahlenbergu, w wyniku sprzeciwu władz Wiednia.

Jako Antemurale Christianitatis Polska broniła Europę przed Turkami oraz ich groźnymi wasalami – Tatarami. Jednakże szlachta podkreślała, że misja obronna naszego kraju ma szerszy charakter. Jędrzej Jabłoński w znakomitym wnikliwym szkicu „Antemurale Christianitatis - Przedmurze Chrześcijaństwa”, opublikowanym na stronie Instytutu Hetmana Żółkiewskiego, pisał:

[...] donosząc w styczniu 1525 roku Leonowi X o zwycięskiej bitwie pod Orszą, Zygmunt I chętnie przypominał, że Polska sama toczy wojny nie tylko przeciwko Turkom, Tatarom oraz »innym Scytom zza Donu«, ale walczy również z wielkim księciem moskiewskim, owym sarmacko-azjatyckim tyranem, bluźniercą i schizmatykiem, działającym na zgubę »Kościoła rzymskiego«. Król polski podkreślał, iż nie czyni tego we własnym lub państwa swego interesie, ale dla dobra całej »chrześcijańskiej Rzeczypospolitej«. O tym samym Erazm Ciołek starał się przekonać cesarza Maksymiliana w roku 1518. Gdy Leon X wystąpił w tymże roku z kolejnym, bardzo konkretnym projektem krucjaty antytureckiej (tzw. »świętego związku«), Zygmunt I oświadczył, że od dawna pragnie zorganizowania podobnej wyprawy krzyżowej. Może się jednak do niej przyłączyć nie wcześniej »aż Polska upora się z Tatarami, Moskwą oraz z innymi wrogami«. Jak widać, już wtedy władcy Polski zdawali sobie sprawę, że misja Polski jako krzewiciela i obrońcy Christianitas nie odnosi się tylko do muzułmanów i pogan, lecz również do schi-

zmatyków. Wkrótce miało to znaleźć wyraz w unii brzeskiej z 1596 roku.

Starania władców Polski o uznanie jej wyjątkowego statusu jako obrońcy i tarczy Christianitas wprawdzie nie od razu zyskały aprobatę Rzymu, dość szybko jednak wpłynęły na imaginariusz polityczny samych Polaków. »O, królestwo sarmackie, przedmurze chrześcijaństwa, jego zaporo i obrono od wrogów«, pisał w 1521 r. Jost Ludwik Decjusz, pochodzący z Alzacji krakowski dyplomata, historyk, ekonomista, finansista i sekretarz króla Zygmunta Starego, jego późniejszy doradca i zwierzchnik mennic koronnych, ubolewając, że kiedy Polska zatrzymuje swą pierś »ataki najgorszych nieprzyjaciół«, nie brak takich, co »przez intrygi« dążą do jej zguby i nasytają

na nią »najgorszych wrogów chrześcijaństwa«. Jeden z pierwszych polskich poetów, Marcin Bielski, pisał w swoim poemacie satyrycznym »Sen majowy pod gajem zielonym jednego pustelnika«, wydanym w 1566 roku: Za nami jak za murem drudzy pokój mają, A wždy im to niewdzięczno, a naszym złem radzą.

Natomiast Stanisław Orzechowski, ksiądz i kanonik przemyski, jeden z najpopularniejszych wśród szlachty pisarzy politycznych, w mowie pogrzebowej ku czci Zygmunta I podkreślał, że wszystkie wojny, jakie zmarły król prowadził, miały na celu obronę »religii chrześcijańskiej przeciwko Tatarom i Turkom, a przeciwko Moskwie i Wołoszczyźnie imienia rzymskiej Stolicy Świętej, której te ludy są zaciętymi wrogami wskutek sporu pomiędzy Grekami a Rzymem«. I nie powinno wobec tego dziwić, że w roku 1573 Jan Franciszek Commendone, legat papieski i nuncjusz apostolski w Rzeczypospolitej, pragnąc zachęcić szlachtę do elekcji katolickiego władcy, tłumaczył wyborcom, że jedynie król tego wyznania jest w stanie zabezpieczyć to »przezacne i zawsze za całego chrześcijaństwa przedmurze uważane królestwo« przed inwazją pogan czy też heretyków (<https://zolkiewski.org/>

opinie-i-analizy/opinia/antemurale-christianitatis-przedmurze-chrześcijaństwa/)

Elementy religijne odegrały ważną rolę w czasie wojen polsko-moskiewskich zapoczątkowanych oblężeniem Smoleńska w latach 1609-1611. Zarówno Zygmunt III Waza, jak i jego syn królewicz Władysław podczas wypraw na państwo moskiewskie nawiązywali do tradycji krzyżowców i poważnie myśleli o unii Rzymu z tamtejszym prawosławiem na wzór unii brzeskiej (1595-1596). Związanie z Rzeczpospolitą państwa moskiewskiego miało zapewnić bezpieczeństwo nie tylko Polsce, ale i całej chrześcijańskiej Europie. Planów tych jednak nie udało się zrealizować. Rezultatem wojen był tylko przejściowy znaczny przyrost terytorialny Rzeczypospolitej.

Trzeba podkreślić, że pojęcie Antemurale Christianitatis miało od momentu pojawienia się podwójne znaczenie. Z jednej strony oznaczało ono obronę wiary chrześcijańskiej i państw chrześcijańskich przed Turkami, z drugiej strony chodziło w nim o obronę wspólnoty chrześcijańskiej, nazywanej Christianitas. Jej założeniem, bardziej postulowanym niż realizowanym, była w średniowieczu forma funkcjonowania chrześcijańskich społeczeństw, narodów i państw Europy jako ponadnarodowej struktury zjednoczonej w wierze, której przewodzić mieli papież i cesarz. Christianitas stanowiła pewien atrakcyjny model cywilizacyjny. Pisał o nim profesor Grzegorz Kucharczyk:

Łacina jako język liturgii i nauki, architektura rzymska bądź gotycka, etos rycerski oraz instytucja uniwersytetu – zasięg ich występowania wyznaczał limes cywilizacji Christianitas; cywilizacji, która wyrosła jako uboczny efekt ewangelizacyjnej pracy Kościoła. Christianitas nie była równoznaczna z Kościołem, ale jej powstanie i kondycja były ściśle uzależnione od duchowej i moralnej kondycji, w której Kościół się znajdował. Analogicznie jak siła i czystość nurtu rzeki jest związana z siłą, z jaką bije źródło oraz z tym, czy płynie z niego krystalicznie czysta woda (G. Kucharczyk, Christianitas a edukacja współczesna, Edukacja, 2024, numer specjalny, <https://www.ibe.edu.pl/images/EDUKACJA/NUMERY/2024/PDF/3%20Kucharczyk%20-%20Christianitas%20a%20edukacja%20wspczesna.pdf>).

Trzeba jednak podkreślić, że owa cywilizacyjna wspólnota, chociaż w pewnych relikwach trwa do dzisiaj, zaczęła ulegać rozmyciu z końcem średniowiecza, a szczególnie z początkiem reformacji. Zniknęła powszechna przynależność do jednej wspólnoty wyznaniowej, pojawiły się kościoły protestanckie niezależne od papieża, mające w niektórych krajach status oficjalnej religii państwowej. Za tym szło zanikanie wielu elementów związanych z cywilizacją Christianitas. Proces ten pogłębił się jeszcze w epoce oświecenia, w XVIII stuleciu. Użycia pojęcia Przedmurza Chrześcijaństwa pojawiały się co raz rzadziej. Polacy pod zaborami, prześladowani zwłaszcza przez

ZWIĄZANIE
Z RZECZPOSPOLITĄ
PAŃSTWA MOSKIEWSKIEGO
MIAŁO ZAPEWNIĆ
BEZPIECZEŃSTWO NIE
TYLKO POLSCE, ALE
I CAŁEJ CHRZEŚCIJAŃSKIEJ
EUROPIE. PLANÓW TYCH
JEDNAK NIE UDAŁO SIĘ
ZREALIZOWAĆ



prawosławną Rosję i protestanckie, ale równocześnie prześlągnięte bizantyzmem Prusy, mówili częściej o obronie cywilizacji łacińskiej.

W ramach tej obrony Polacy walczyli zbrojnie. Walczyli o wolność ojczyzny najpierw u boku Napoleona I, potem w kolejnych powstaniach zbrojnych, w końcu w rozmaitych formacjach zbrojnych podczas I wojny światowej. Hasło obrony cywilizacji łacińskiej szczególnie mocno wybrzmiało w Manifestie Tymczasowego Rządu Narodowego, który rozpoczynał działania zbrojne powstania styczniowego. Autorka tego Manifestu, Maria Ilnicka, była poetką, pisarką, tłumaczką i publicystką, a w latach 1865–1896 redaktorką naczelną tygodnika „Bluszcz”. We fragmencie Manifestu czytamy:

A teraz odzywamy się do Ciebie Narodzie Moskiewski: tradycyjnem hasłem naszym jest wolność i braterstwo Ludów, dla tego też przebaczymy Ci nawet mord naszej Ojczyzny, nawet krew Pragi i Oszmiany, gwałty ulic Warszawy i tortury lochów Cytadelli. Przebaczymy Ci, bo i Ty jesteś nędzny i mordowany, smutny i umęczony, trupy dzieci Twoich kołyszą się na szubienicach carskich, prorocy Twoi marzną na śniegach Sybiru. Ale jeżeli w tej stanowczej godzinie nie uczujesz w sobie zgryzoty za przeszłość, świętszych pragnień dla przyszłości, jeżeli w zapasach z nami dasz poparcie tyranowi, który zabija nas a depcze po Tobie – biada Ci! bo w obliczu Boga i świata całego, przeklniemy Cię na hańbę wiecznego poddaństwa i mękę wiecznej niewoli, i wyzwiemy na straszny bóg zagłady, bóg ostatni Europejskiej Cywilizacji z dziekiem barbarzyństwem Azji.

Równocześnie z walką zbrojną prowadzono zmagania o charakterze cywilizacyjnym. Przecistawiano się germanizacji i rusyfikacji, organizując tajne nauczanie i stowarzyszenia samokształceniowe. Na Kresach Wschodnich setki księży katolickich przy okazji nauczania religii uczyło dzieci czytać i pisać po polsku. Chłopi polscy podczas nauki czytania i pisanja posiłkowali się znakomitą elementarzem Konrada Prószyńskiego „Promyka”, który umożliwiał samodzielną naukę, z niewielką tylko pomocą innej osoby. Za nauką czytania i pisanja szło szybkie wyrabianie się polskiej świadomości narodowej. Orężem w walce o polskość była kultura polska: wspaniała poezja romantyczna (Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Zygmunta Krasińskiego, Cypriana Kamila Norwida, Wincentego Pola i in.), powieści historyczne

Henryka Sienkiewicza czy Józefa Ignacego Kraszewskiego, powieści obyczajowe Bolesława Prusa, malarstwo Jana Matejki, Stanisława Wyspiańskiego czy Jacka Malczewskiego, dociekania klasyków naszej historiografii itp. Znakomicie rozwijała się polska nauka.

Walka o charakterze cywilizacyjnym polegała także na obronie Kościoła katolickiego przed prześladowaniami z rąk zaborców (niszczenie i prześladowanie unii w zaborze rosyjskim, represje przed powstaniem styczniowym i w czasie jego trwania, Kulturkampf w zaborze niemieckim itp.). W 1886 r. rząd pruski utworzył Komisję Kolonizacyjną, która zajmowała się wykupywaniem ziemi z rąk polskich i osadzaniem na niej Niemców. Utworzono także w 1894 r. Towarzystwo dla Popierania Niemczyzny na Kresach Wschodnich, które pod koniec XIX wieku zmieniło nazwę na Niemiecki Związek Kresów Wschodnich, zwany Hakatą. Symbolem oporu Polaków przeciwko posunięciom germanizacyjnym stał się rolnik Michał Drzymała, który nabył ziemię we wsi Podgradowice, ale władze niemieckie nie chciały mu dać zezwolenia na budowę domu. Zamieszkał więc w wozie cyrkowym.

Po upadku powstania styczniowego wielu polskich patriotów zaczęło wątpić w szybkie odzyskanie niepodległości. Część z nich doszła zatem do wniosku, że należy poświęcić się pracy organicznej. Tego typu działania podejmowane były już wcześniej w zaborze pruskim. Warto w tym miejscu wymienić najważniejsze postacie związane z nimi na terenie Wielkopolski: Karol Marcinkowski, Hipolit Cegielski, Augustyn Szamarzewski, Piotr Wawrzyniak, Maksymilian Jackowski, Dezydery Chłapowski. Społecznicy ci głosili i realizowali hasła wzmocnienia polskiej tożsamości narodowej poprzez rozwój polskiego przemysłu, rolnictwa, rzemiosła, wolnych zawodów. Spełnianie tych celów powinno następować poprzez tworzenie polskich szkół, towarzystw, banków, spółek zarobkowych, przedsiębiorstw, firm handlowych i ubezpieczeniowych, rozmaitych organizacji kulturalnych, budowę gmachów dla polskich instytucji, udzielanie stypendiów polskiej młodzieży. Trzeba podkreślić, że w Wielkopolsce działania tego typu podjęto na ogromną skalę i przynosiły one znakomite efekty, mimo przeciwdziałania władz niemieckich. Polacy, walcząc w XIX wieku z rosyjskim barbarzyństwem i niemieckim bizantyzmem, stawali wyraźnie po stronie cywilizacji europejskiej i chrześcijańskiej. W wielu krajach (np. Francji lub Wielkiej Brytanii) walka ta cieszyła się sympatią, chociaż rzadko szło za nią realne poparcie.

W 1918 r. Polska odzyskała niepodległość. Naczelnik Państwa, Józef Piłsudski widział przyszłą Polskę w układzie federacyjnym z innymi krajami Europy Środkowo-Wschodniej: Białorusią, Ukrainą, Litwą, Łotwą, Estonią, Krymem Tatarskim. Taka federacja stanowiłaby wielką siłę i byłaby w stanie oprzeć się zakusom zarówno rosyjskim, jak i niemieckim. Józef Piłsudski postanowił zacząć realizację tego

planu od wyzwolenia Ukrainy, zajętej w dużym stopniu przez bolszewików. 25 kwietnia 1920 r. wojska polskie pod dowództwem Józefa Piłsudskiego, w sojuszu z wojskami Ukraińskiej Republiki Ludowej, dowodzonymi przez atamana Semena Petlurę, rozpoczęły ofensywę na bolszewików. 4 maja Polacy wkroczyli do Kijowa. Kontrofensywa bolszewicka w dniach 10-13 czerwca zmusiła jednak wojska polskie do ewakuacji. Rozpoczął się odwrót. Front przesunął się daleko w głąb Polski. Oddziały sowieckie wysunięte najbardziej na zachód przedarły się przez obronę w północnej części frontu, docierając do przedmieść Torunia.

Na południu nie zdołali zdobyć Lwowa, do czego przyczyniła się bohaterska obrona stacji kolejowej Zadwórze, gdzie nieco ponad 300 młodych polskich żołnierzy zatrzymało całą Armię Konną Siemiona Budionnego (prawie wszyscy zginęli). Gdy wydawało się, że nic już nie uratuje Warszawy przed zajęciem przez bolszewików, doszło do wspaniałego zwycięstwa wojsk polskich (dowodzonych przez Józefa Piłsudskiego) w bitwie warszawskiej (określanej jako Cud nad Wisłą) w dniach 12-25 sierpnia 1920 r. Oddziały sowieckie wycofywały się w panice. Drugie decydujące zwycięstwo polskie to bitwa nad Niemnem w dniach 20-26 września 1920 r. Polska, walcząc z bolszewikami w 1920 r., uratowała nie tylko swój byt państwowy, ale także całą Europę przed najazdem barbarzyńskich hord, które doprowadziłyby do upadku cywilizacji na Starym Kontynencie. Traktat Ryski podpisany 18 marca 1921 r. przyniósł Polsce ogromny przyrost terytorialny w postaci szerokiego pasa ziem kresowych. Granica polsko-sowiecka przebiegała w zasadzie wzdłuż linii II rozbioru z 1793 r. z dodaniem części Wołynia, Polesia i miasta Pińska. Jednak plany federacyjne Józefa Piłsudskiego pozostały niezrealizowane.

Historia niestety bywa często bardzo złożona i skomplikowana. II wojna światowa to okres heroicznej walki narodu polskiego o wolność i pokonanie dwóch totalitarnych systemów, które odebrały nam normalny byt państwowy: niemieckiego nazizmu i sowieckiego komunizmu. Niemiecki nazizm został wprawdzie rozgromiony, ale sowiecki komunizm opanował pół Europy i różne kraje na całym świecie. Polska, sprzedana przez wielkie

mocarstwa, aż do 1989 r. pozostawała pod totalitarnymi rządami komunistycznymi. Zmagania Polaków z totalitaryzmami podczas II wojny światowej i z systemem komunistycznym po II wojnie światowej miały charakter walki o ocalenie tożsamości narodowej, chrześcijańskiego oblicza narodu oraz cywilizacji europejskiej. Ponosiliśmy wielkie ofiary. Blisko 6 milionów obywateli oddało życie w czasie II wojny światowej. Trudno opisać cierpienia więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych, czy syberyjskich łagrów. Trudno też oddać w słowach bohaterstwo polskich żołnierzy, partyzantów, konspiratorów, Polaków ratujących swoich żydowskich braci. Wielkimi bohaterami byli też żołnierze wyklęci, walczący w zbrojnych oddziałach leśnych lub w ramach walki cywilnej (ulotki, napisy na murach, druk podziemnych gazetek) z komunistycznymi okupantami. Musimy też pamiętać o bohaterach późniejszych wystąpień antykomunistycznych w PRL: w czerwcu 1956 r. w Poznaniu, w kwietniu 1960 r. w Nowej Hucie, w 1966 r. w wielu miastach podczas obchodów Tysiąclecia Chrztu Polski, w 1968 r. w rozlicznych ośrodkach akademickich, w 1970 r. w Gdańsku, Gdyni, Elblągu, Szczecinie i innych miastach, w 1976 r. w Radomiu, Ursusie, Płocku i wielu innych miejscach.

Szczególnym okresem były dla Polaków lata osiemdziesiąte XX wieku. Niezależna i podziemna aktywność Polaków w latach osiemdziesiątych miała charakter głęboko chrześcijański. Solidarność dała nazwę związkowi zawodowemu (związanemu po wielkich strajkach lipca i sierpnia 1980 r.) i ruchowi społecznemu, którego powstanie w 1980 r. stało się jednym z najważniejszych wydarzeń w dziejach najnowszej historii Polski. Pojęcie solidarności stało się dzięki temu obiektem analiz, refleksji i rozważań. Papież Jan Paweł II tak mówił do ludzi morza w Gdyni 11 czerwca 1987 r.: *Solidarność musi iść przed walką. Wówczas ludzkość może przetrwać. I może przetrwać i rozwijać się każdy naród w wielkiej ludzkiej rodzinie. Bo co to znaczy solidarność? Solidarność to znaczy sposób bytowania w wielości ludzkiej, na przykład narodu, w jedności, w uszanowaniu wszystkich różnic, wszystkich odmienności, jakie pomiędzy ludźmi zachodzą, a więc jedność w wielości, a więc pluralizm, to wszystko mieści się w pojęciu solidarności. Sposób bytowania ludzkiej wielości,*

**SPOŁECZNICY CI GŁOSILI
I REALIZOWALI HASŁA
WZMACNIANIA POLSKIEJ
TOŻSAMOŚCI NARODOWEJ
POPRZECZ ROZWÓJ
POLSKIEGO PRZEMYSŁU,
ROLNICTWA, RZEMIOSŁA,
WOLNYCH ZAWODÓW**

mniejszej lub większej, całej ludzkości poszczególnego narodu bytowania w jedności godnej człowieka.

Powiedziałem: solidarność musi iść przed walką. Dopowiem: solidarność również wyzwala walkę. Ale nie jest to nigdy walka przeciw drugiemu. Walka, która traktuje człowieka jako wroga i nieprzyjaciela – i dąży do jego zniszczenia. Jest to walka o człowieka, o jego prawa, o jego prawdziwy postęp: walka o dojrzały kształt życia ludzkiego. Wtedy bowiem to życie ludzkie na ziemi staje się »bardziej ludzkie«, kiedy rządzi się prawdą, wolnością, sprawiedliwością i miłością.

Następnego dnia, podczas mszy św. na gdańskiej Zaspie, Ojciec Święty rozwijał jeszcze swoje rozważania na temat solidarności:

„Jeden drugiego brzemiona noście” – pisze św. Paweł do Galatów (6,2), a słowa te mają wielką nośność. „Jeden... drugiego”. Człowiek nie jest sam, żyje z innymi, przez innych, dla innych. Cała ludzka egzystencja ma właściwy sobie wymiar wspólnotowy – i wymiar społeczny. Ten wymiar nie może oznaczać redukcji osoby ludzkiej, jej talentów, jej możliwości, jej zadań. Właśnie z punktu widzenia wspólnoty społecznej musi być dość przestrzeni dla każdego. Jednym z ważnych zadań państwa jest stwarzanie tej przestrzeni tak, aby każdy mógł przez pracę rozwinąć siebie, swoją osobowość i swoje powołanie. Ten osobowy rozwój, ta przestrzeń osoby w życiu społecznym jest równocześnie warunkiem dobra wspólnego. Jeśli człowiekowi odbiera się te możliwości, jeśli organizacja życia zbiorowego zakłada zbyt ciasne ramy dla ludzkich możliwości i ludzkich inicjatyw – nawet gdyby to następowało w imię jakiejś motywacji »społecznej« – jest, niestety, przeciw społeczeństwu. Przeciw jego dobru – przeciw dobru wspólnemu. »Jeden drugiego brzemiona noście« – to zwięzłe zdanie Apostoła jest inspiracją dla międzyludzkiej i społecznej solidarności. Solidarność – to znaczy: jeden i drugi, a skoro brzemię, to brzemię niesione razem, we wspólnocie.

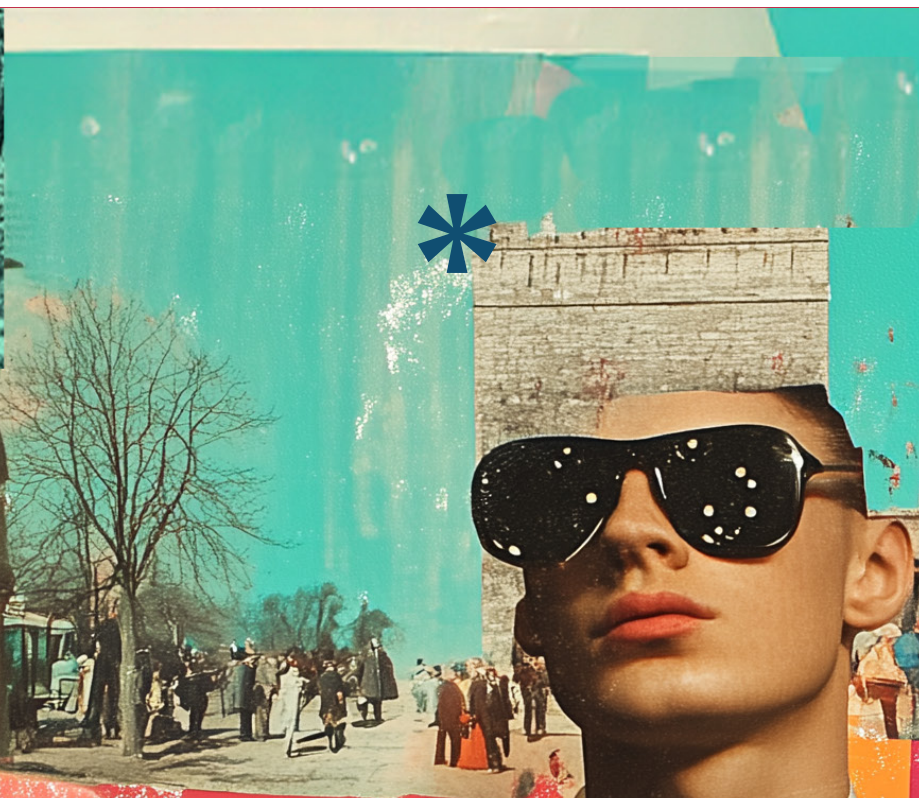
A więc nigdy: jeden przeciw drugiemu. Jedni – przeciw drugim. I nigdy »brzemię« dźwigane przez człowieka samotnie. Bez pomocy innych. Nie może być walka silniejsza nad solidarność. [Właśnie chcę o tym mówić, więc pozwólcie wy-

powiedzieć się papieżowi, skoro chce mówić o Was, a także w pewnym sensie za Was.] Nie może być program walki ponad programem solidarności. Inaczej – rosną zbyt ciężkie brzemiona. I rozkład tych brzemion narasta w sposób nieproporcjonalny.

Gdy papież wypowiadał te słowa, Polska znajdowała się jeszcze w okowach dyktatury komunistycznej. Upominając się o przestrzeń społeczną dla każdego, Ojciec Święty domagał się praw dla milionów ludzi wykluczonych przez totalitarny reżim. Pokojowa walka o wolną Polskę, o „Solidarność” i prawa człowieka wymagała wielkiej odwagi, gdyż władze odpowiadała na nią okrutnymi represjami. Polacy walczący o wolność dla swojej ojczyzny i przeciwstawiający się bezbożnemu komunizmowi, stawali się wówczas najważniejszym liderem w walce o chrześcijański wymiar całej Europy i wolność narodów ciemnionych przez komunizm. Triumf wolności i cywilizacji łacińskiej, który nastąpił w Europie w latach 1989-1990, był przede wszystkim dziełem narodu polskiego.

Polacy przez ponad dziesięć wieków stali na straży cywilizacji zachodniej i chrześcijańskiej. I stoją nadal, historia bowiem wcale się nie skończyła (jak twierdził amerykański politolog Francis Fukuyama), a siły zła nieustannie zagrażają Polsce, Europie i całemu światu. Dzisiejszym zadaniem Polski jest także przypomnienie Europie o jej korzeniach i światowym wymiarze europejskiej roli cywilizacyjnej. Dzisiejsi Europejczycy często zapominają bowiem o swojej chwalebnej tożsamości, a koncentrują się na płytkich i szkodliwych ideologiach przynoszących szkody wspomniałym narodom naszego kontynentu.





BRONISŁAW WILDSTEIN
TOŻSAMOŚĆ
POLSKA

BRONISŁAW WILDSTEIN



Bronisław Wildstein, pisarz i publicysta, pisuje do tygodnika „Sieci”. Działacz opozycji antykomunistycznej. Autor licznych artykułów oraz programów w radio i telewizji. Odznaczony m.in. Orderem Orła Białego, nagrodą im. Lecha Kaczyńskiego i Laurem SDP. Autor siedmiu powieści, trzech tomów opowiadań, dramatów i dziesięciu książek eseistycznych. Tłumaczony na wiele języków.

W październiku 2015 został członkiem powołanej przez prezydenta Narodowej Rady Rozwoju. Postanowieniem prezydenta Andrzeja Dudy z 27 czerwca 2016 został powołany w skład Kolegium Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. W czerwcu 2023 został przez Prezydenta RP powołany w skład Kolegium IPN

TOŻSAMOŚĆ POLSKA A IDEOLOGIA EMANCYPACJI

Tożsamość jako problem pojawia się dopiero w nowoczesności. Wcześniej była pojęciem niekontrowersyjnym. W oczach innych, a więc i własnych, człowieka definiowało miejsce społeczne: rodzina, w której się urodził; ród, do którego ona przynależała; klan, w którym ten znajdował swoje miejsce; stan w jakim człowiek miał realizować swoje powołanie; aż po najszerszą wspólnotę, z którą się identyfikował, czyli plemię albo naród. Naturalnie, zdarzały się wypadki hybrydalne czy napięcia między indywidualną a nawet społeczną tożsamością czy aspiracjami reprezentujących je osób. Wywoływały one konflikty, ale były to raczej stany wyjątkowe. Pierwotnie ta wspólnotowa tożsamość pokrywała się mniej więcej z religijnymi wierzeniami, które nakładały się na etniczną przynależność. Z czasem jednak wyobrażenia metafizyczne wykraczać zaczęły poza partykularne horyzonty. Zasadniczym przełomem było pojawienie się chrześcijaństwa, jakkolwiek posiadało ono antecendencje w judaizmie, filozofii greckiej czy wschodnich religiach o uniwersalnych perspektywach. Niemniej to dopiero chrześcijaństwo jednoznacznie wyakcentowało metafizyczną tożsamość ludzi, którzy, bez względu na wszelkie przynależności: stanowe, narodowe, czy nawet płciowe, są dla siebie bliźniami i są równi w najważniejszym zakresie istnienia człowieka, czyli relacji z Bogiem.

Chrześcijaństwo nie było projektem politycznym („królestwo moje nie jest z tego świata” – mówi Chrystus) i przyjmowało potrzebę ziemskiego porządku: „każda władza pochodzi od Boga”. Nie miało oznaczać to – wbrew karykaturalnym interpretacjom, które zdominowały nowoczesność – że religia uświęca każdy reżim, ale, że hierarchia społeczna i potrzeba organizacji, a zatem i zarządzania, wpisana

**PIERWOTNIE TA
WSPÓLNOTOWA
TOŻSAMOŚĆ
POKRYWAŁA SIĘ MNIEJ
WIĘCEJ Z RELIGIJNYMI
WIERZENIAMI,
KTÓRE NAKŁADAŁY
SIĘ NA ETNICZNA
PRZYNALEŻNOŚĆ**

jest w każde przedsięwzięcie oraz całe bytowanie człowieka skażonego ułomnością, dziedzictwem pierwotnego grzechu. Dlatego ludzie tożsami w najgłębszym wymiarze swojej egzystencji, różnią się od siebie w swoich ziemskich wcieleniach, żyją w odmiennych wspólnotach i skazani są na zróżnicowany, zależny od historycznych okoliczności, los. Gatunkowa tożsamość człowieka wpisana jest w jego duchowy rdzeń, nad którym nie ma zwierzchności żadna świecka władza. Poczucie boskiego źródła prawa,

które przewyższa ludzkie normy istniało i wcześniej w innych religiach, a kanoniczny wyraz znalazło w „Antygonie” Sofoklesa. Niemniej to dopiero chrześcijańska świadomość wyjątkowo wyeksponowała wolność osoby ludzkiej, która wynika z jej duchowej autonomii i winna być odgradzona od ingerencji

wszelkich doczesnych instancji. Stan ten tworzył napięcie między religijną perspektywą człowieka a jego ziemską kondycją, co prowadziło do napięć między władzą polityczną i duchową. W średniowieczu najbardziej znaczącym przejawem tego był konflikt papieża i cesarstwa. Antynomia ta generowała również rozmaite herezje, które, wbrew słowu Ewangelii, dążyły do zaprowadzenia królestwa Bożego na ziemi. Położenie nacisku na autonomię człowieka, który stworzony został „na obraz i podobieństwo Boga”, prowokowało pokusę jego deifikacji. Pierwszym tak konsekwentnym jej manifestem jest „Mowa o godności człowieka” Jana Pico della Mirandoli z 1486 roku. W tekście tym czytamy, że Bóg wyposażył człowieka, jako jedyny byt, w samostwórcze kompetencje, powodując, że jest on tym, czym sam siebie uczyni, a jego natura nie tylko w niczym go nie ogranicza, ale stanowi właśnie autokreacyjną potencję. Dość oczywistą konsekwencją powołania tak pojmowanego istnienia powinno być wycofanie się Boga i pozostawienie świata człowiekowi jako nowemu kreatorowi. Wnioski te do pewnego stopnia wyciągnęli deści, uznając, że po akcie stworzenia Bóg przestał ingerować w naszą rzeczywistość. Kolejną odsłoną takiego podejścia była myśl Hegla, która ewolu-

cję ducha upatrywała w ludzkiej historii. Filozofię tę radykalizowała lewica heglowska, uznając wyobrażenie Boga za efekt alienacji człowieka na określonym etapie jego rozwoju. Musi być ona przewyżczona, aby byt ludzki rozkwitł i przyjął przyrodzoną sobie boską rolę. Wprost pisze o tym w „O istocie chrześcijaństwa” Ludwig Feuerbach. Ideologie rewolucyjne z marksizmem na czele stanowią konsekwencje tego podejścia do człowieka i jego stosunku do świata. Deifikacja człowieka

wyrasta z gnozy, w polemice z którą formowała się myśl chrześcijańska. Ten złożony system wierzeń łączyło uznanie istotowej nieprawości świata stworzonego przez złego demiurga i przeciwstawienie mu iskry boskości, w którą wyposażył człowieka jego stwórca, dobry Bóg. Boski pierwiastek osoby ludzkiej pozwala jej w oparciu o wiedzę (gnozę) dokonać aktu wyzwolenia ze zła świata i samozbawienia. Gnostyckie wierzenia

pokonane przez chrześcijaństwo wegetowały na jego marginesach, choć niektóre jak kataryzm uzyskiwały znaczącą rolę. Można uznać, że legły u podstaw świeckich ideologii, które zdominowały nowoczesność. Łączy je z gnozą wyobrażenie fundamentalnego zła ludzkiego świata, który jednak, zwykle rewolucyjnym, zbawczym aktem człowiek jest w stanie przewyżczyć i powołać nowy, zupełnie odmienny i optymalny, jeśli nie doskonały, porządek na ziemi. Swoista deifikacja, a w każdym razie zasadnicze przewartościowywanie wyobrażenia o człowieku, leży u podstaw narodzin liberalizmu, chociaż jego twórcy wpisani w ciągle jeszcze mocną religię i osadzoną na niej integralną kulturę, zwykle nie zdawali sobie z tego sprawy. .



Kamieniem węgielnym liberalizmu jest założenie, że to jednostka ludzka stanowi podmiot społeczny. Istotnym założeniem tej orientacji, co nie znaczy, że podzielanym przez wszystkich liberałów, był pogląd, że tylko porozumienie indywidualów stanowić może podstawę i legitymację politycznego porządku. Stąd idea umowy społecznej, która od Tomasza Hobbesa przez Johna Locke’a i Jeana Jacquesa

Rousseau aż po Johna Rawlsa traktowana jest jako fundament ludzkiego ładu. Wspomniani filozofowie nie byli naiwni i raczej nie przyjmowali, że w odległej epoce ludzkość na polanie dogadała się, co do zasad, jakie określać mają jej współżycie. Umowa społeczna była porozumieniem hipotetycznym, zatem miała być racjonalną dedukcją tego, jak ludzie porozumieć się powinni, aby optymalnie ułożyć swoją egzystencję. Pomysł hipotetycznej, acz obowiązującej umowy, jest dość karkołomny. Dodatkowo zakłada on szczególne kompetencje formułującego ją filozofa i jednoznacznie racjonalny charakter rzeczywistości, co stosunkowo wcześniej sfalsyfikowane zostało przez fakt, że projekty owych umów różniły się istotnie w zależności od spisujących je myślicieli. Nie stąpiło to ich gorliwości w konceptualizowaniu, a raczej projektowaniu optymalnego porządku ludzkich urządzeń. Gdyż wprawdzie wspomniani filozofowie deklarowali, że dedukują jedynie właściwy porządek z natury człowieka i warunków w jakich przyszło mu funkcjonować, w rzeczywistości jednak planowali optymalny ich zdaniem ustrój. W tym sensie idea umowy społecznej sąsiaduje z utopią, co wyraźnie ujawnia się w wypadku jej najgłośniejszego współczesnego wariantu jakim jest „Teoria sprawiedliwości” Rawlsa. Idea kontraktu społecznego wyrasta z antropologicznego błędu, na którym ufundowany został liberalizm. Swoje ludzkie kompetencje osiągamy w kulturze. Czym byłby człowiek bez języka, wiedzy i orientacji w świecie, bez rozumienia innych i dzielenia z nimi podstawowych odczuć? Czym byłby bez kształtujących go nawyków i zdolności? A wszystko to nabywa on w szeroko rozumianym procesie wychowawczym rozpoczynającym się od kontaktu z rodzicami, na który składa się całość jego zbiorowego bytowania, czyli akulturacja. To w ten sposób aktualizowane zostają ludzkie potencje. Człowiek to wykwit i twórca kultury. Staje się dzięki interakcji z cywilizacyjnym środowiskiem. Jego aktywność wyznaczana jest przez skłonności ludzkie, ale dopiero kultura umożliwia ich rozwinięcie. Pisząc człowiek, mam na myśli jego gatunkowe istnienie. Cywilizacja – pojęcie to traktuję zgodnie z duchem języka polskiego jako synonim kultury – to dzieło długiego trwania, w którym indywidualne osiągnięcia, nawet największych geniuszy, stanowią tylko element niepomniernie przekraczającej je całości, bez której dokonania te nie byłyby możliwe. A kultura funkcjonuje w swoich partykularnych wariantach. Stanowią ją odmienne języki, kody porozumiewania się i wyobrażenia rzeczy, obyczaje, które wyrastają ze wspólnych wielopokoleniowych doświadczeń, normy i zasady – wszystko to w większym lub mniejszym stopniu różnicuje ludzkie zbiorowości, buduje ich odmienne tożsamości i określa wspólnoty, które są naturalnym środowiskiem człowieka. Możemy zgodzić się, że indywidualna jaźń nie wyczerpuje się bez reszty w cywilizacyjnych strukturach, ale bez nich trudno by o niej mówić. Idea umowy społecznej zakłada istnienia pozbawione właściwości, gdy realnie ludzie ukształtowani są przez społeczne warunki swojego bytowania i nie mogą dowolnie określić ich na nowo. Nie mogą ad hoc planować swojej zbiorowej egzystencji, bo ta została dla nich w głównej mierze wyznaczona

CZŁOWIEK TO WYKWIT I TWÓRCA KULTURY. STAJE SIĘ DZIĘKI INTERAKCJI Z CYWILIZACYJNYM ŚRODOWISKIEM. JEGO AKTYWNOŚĆ WYZNACZANA JEST PRZEZ SKŁONNOŚCI LUDZKIE, ALE DOPIERO KULTURA UMOŻLIWIA ICH ROZWINIĘCIE

już w momencie ich urodzenia i uformowała ich losy, a więc tożsamość. Nie ma ludzi w stanie natury, którzy aktem woli powołaliby do życia swój świat, bo on wyprzedza ich egzystencję i został zbudowany przez długie pokolenia tworzenia się cywilizacji a potem jej historycznych dziejów. I to on ukształtował ludzkie jednostki, które wyabstrahowane z niego są bytami fikcyjnymi, a pomysł, że porozumienie owych wymyślonych istot ma być fundamentem ich realnego istnienia, wydaje się pozbawiony sensu. Nie odwołuję się w tym miejscu do szerszego, przerastającego ludzką kulturę – tak jak ona przerasta ludzkie indywiduum – kosmicznego ładu świata, o którym traktuje religia. Wypływają z niego ramowe warunki egzystencji człowieka, jego kondycja i natura oraz jej wspólnotowy charakter. Nie akcentuję tej perspektywy nie dlatego, że kosmiczne usytuowanie człowieka nie narzuca się jako oczywiste, choćby ze względu na to, że tylko ono umożliwia nam poznanie jako takie i prowadzenie w miarę racjonalnej, to znaczy także świadomej swoich ograniczeń egzystencji oraz wyznacza jej formy. Nie robię tego, gdyż mentalność współczesna w dużej mierze wyegzorcyzmowała szerszy, religijny wymiar pojmowania świata, co powoduje redukcję samorozpoznania człowieka i wywołuje alergię wobec tego typu pełniejszych wyjaśnień. Nie muszę tego akceptować i pozwolę sobie zaznaczyć, że uznaję taki samoograniczający się stosunek do życia i świata za chorobę nowoczesności. Niemniej muszę ją brać pod uwagę. Dlatego chciałbym zaznaczyć, że nawet bez odwołania do przekraczającego nas porządku, w którym powinniśmy postrzegać istnienie człowieka i ograniczając się wyłącznie do wyizolowanej ludzkiej perspektywy, posiadamy wystarczającą ilość uzasadnień dla zrozumienia wspólnotowego charakteru naszej tożsamości. Pomysł „umowy społecznej” zakłada kontraktualny charakter zbiorowości ludzkiej, jest więc zaprzeczeniem naturalnej wspólnoty, która integruje jej uczestników poza doraźnym interesem. Pojęcie umowy sugeruje wręcz rodzaj handlowego

porozumienia, które zawiera się ze względu na interes stron ją sygnujących i winno być przeformułowane albo rozwiązane w momencie, gdy przestaje się im lub choćby którejs z nich opłacać. Prowadzi to do atomistycznego ujęcia społeczeństwa, które stanowić ma zbiór połączonych jedynie indywidualną, siłą rzeczy doraźną – wyjście poza doraźność stawiałoby już pod znakiem zapytania indywidualizm ludzkiej perspektywy – korzyścią jednostek. Wynika z tego, choć rozumowanie to rzadko jest formułowane wprost, że ludzie mogą odstąpić od umowy zbiorowej jaką stanowi społeczeństwo (czy naród), jeśli jej warunki uznają za niesatysfakcjonujące. Społeczeństwo przy tym podejściu okazuje się bytem nietrwałym, a człowiek nie funkcjonuje we wspólnotach, ale w układach, których modelem jest umowa handlowa. Osoba ludzka zostaje zredukowana do podążającego za korzyścią udziałowca przedsięwzięć, w których uczestniczy on, dopóki postrzega w nich zysk. Podejście takie generuje podstawowe przypadłości zachodniego świata. Jest źródłem anomii i problemów tożsamości współczesnego człowieka. To znamienne, że ludzie umieją dziś wskazać choroby psychiczne, które są efektem rozpadu tożsamości człowieka, a jednocześnie nie dostrzegają do pewnego stopnia analogicznych zjawisk, które trapią ich egzystencję w wymiarze społecznym. Mało tego, próbują wartościować je pozytywnie jako objaw emancypacji, która wprawdzie postrzegana jest jako połączona z problemami, ale generalnie prowadzić ma do pozytywnego przekształcenia człowieka i jego ewolucji w wyższe stadium rozwoju. Przeczy temu nasze elementarne doświadczenie, ale ideologia jest na nie odporna. .



Liberalizm, który odślania się w idei umowy społecznej jest oderwany od ludzkiej rzeczywistości w niezwykle ważnym, etyczno-afektywnym wymiarze. Moralność liberalna, która wyabstrahowu-

je jednostki ludzkie ze wspólnoty, prowadzi do utilitaryzmu czyli postrzegania ich dobra wyłącznie w horyzoncie jednostkowego spełnienia. Koncentracja na nim prowadzi do radykalnej redukcji człowieka i uniemożliwia rozpoznanie tego, że pełnię swej egzystencji osiąga on w istnieniu wspólnotowym, które pozwala przekroczyć indywidualność ludzkiej monady; buduje życie oparte o relacje z innymi, a więc zakorzenione w sferze moralnej i etycznej. Rozróżniam te porządki na zasadzie Hegla. Pierwszy z nich ma zasięg uniwersalny, opiera się głównie na zakazach, czyli wyszczególnieniu tego, czego nie wolno czynić innemu bliźniemu. Każdemu innemu. Z natury rzeczy ma zatem raczej abstrakcyjny charakter, gdyż dotyczy nie konkretnych, ale wszystkich istniejących ludzi, a więc figur sprowadzonych do swoich uniwersalnych jakości. Inaczej jawi się etyczność nakierowana na zbiorowość, do której przynależę. Związki z nią wskazują pozytywny sens zobowiązań wobec mojej wspólnoty i określają, co czynić powinienem, a nie tylko to, czego czynić mi nie wolno. Zobowiązania te są otwarte i od działającego podmiotu zależy, jak dalece za nimi podąży. Ale to zaangażowanie na ich rzecz wyznacza jego format i znaczenie. O ile negatywne zakazy moralności są stosunkowo proste i nieliczne, to etyczność, czyli pozytywny stosunek do znanych mi ludzi oraz konkretnej społeczności, w której funkcjonuję, nie zamyka się w zestawie gotowych formuł i otwiera horyzonty ludzkiej wartości, jest złożony i nieskończony. Wykracza poza doraźne bytowanie pokolenia, obejmuje przodków, którzy wypracowali dobrostan naszego świata oraz potomków, których los także od nas zależy. Jednym z fetyszy dominującej dziś ideologii jest walka z wykluczeniem. Wspólnota z natury rzeczy musi mieć granice, a więc dzielić ludzi na tych, którzy do niej należą i innych, obcych, których do niej nie zaliczamy. W szerszym ujęciu każdy akt poznawczy polega na dzieleniu i różnicowaniu strumienia zjawisk, bo tylko w ten sposób możemy rozpoznawać konkretne byty, wyróżniać formy i określać ich granice. A granica z kolei stanowi jedno z tabu

ROZRÓŻNIAM TE PORZĄDKI NA ZASADZIE HEGLA. PIERWSZY Z NICH MA ZASIĘG UNIWERSALNY, OPIERA SIĘ GŁÓWNIEM NA ZAKAZACH, CZYLI WYSZCZEGÓLNIENIU TEGO, CZEGO NIE WOLNO CZYNIĆ INNEMU BLIŹNIEMU



Już etymologicznie polityka odwołuje się do wspólnoty (polis) i byłaby bez niej niemożliwa. Nieprzypadkowo współcześnie jest ona w dużej mierze dyskredytowana. Ma ją zastąpić system racjonalnych norm wywiedzionych z praw człowieka. Oznacza to, że system zbiorowej wolności jaką konstituuje polityka zostanie zmieniony na zestaw norm stanowionych, ową żelazną klatkę racjonalności, o której pisał Max Weber. Zasadnie stawiać można pytanie, czy racjonalność ta nie stanowi pozor w przeciwieństwie do realności klatki. W imię walki z wykluczeniem, etyczność trafia na ławę oskarżonych. Zgodnie z postulatami współczesnego humanizmu nie możemy ograniczać swojej troski i wynikających z niej działań do własnej zbioro-

ści naszych klasyfikacji, która wynika ze złożoności świata i naszych poznawczych limitów, każe podchodzić nam refleksyjnie do aktów percepcji, ale w żadnym sensie nie rezygnować z nich, co byłoby absurdem i realnie po prostu nie jest możliwe. Można przyjąć, że społeczna rzeczywistość stanowi szczególny obiekt postrzegania, niemniej zmuszeni jesteśmy nazwać ją jakoś i rozpoznać. Praktycznie czynimy

tak bez względu na to, czy odwołujemy się do teoretycznego myślenia czy nie. A teoria to tylko próba syntetycznego ujęcia naszej praktyki.

wości, ale winniśmy rozszerzyć je na wszystkich. Akcentowanie powinności wobec wspólnoty musi przecież wiązać się z wyłączeniem tych, którzy do niej nie należą. To prawda. Ale rezygnacja z tego elementarnego podziału poza zupełnie wyjątkowymi egzystencjami świętych, nie prowadzi do uniwersalizacji etyki, ale służy uzasadnieniu rezygnacji z naszych naturalnych zobowiązań: wobec bliskich, rodziny czy wspólnoty. Nie jest możliwe objęcie jednakową troską wszystkich żyjących. Postulat taki paraliżuje. Nie znaczy to, że cechować nas powinien plemienny egoizm. Wykluczają go zasady moralne, ale imperatyw takiego samego zaangażowania na rzecz wszystkich jest nie do udźwignięcia przez człowieka. Innymi słowy: ten, kto deklaruje, że wszystkich kocha jednakowo, zwykle nie kocha nikogo. Kosmopolita to przeważnie nie wyjątkowo wrażliwa i moralnie uczulona wobec wszystkich jednostka, ale nakierowany na własny interes egoista, który obojętność wobec wspólnotowych zobowiązań przesłania uniwersalistyczną frazeologią. Postawa taka odsłania jeden z uwodzących powabów nowoczesnych ideologii. Walka o zbawienie świata nie tylko zwalnia z codziennych obowiązków, ale i usprawiedliwia wszystko. Rewolucyjne przedsięwzięcia, które wyeliminować mają ze świata zło, nie tylko uzasadniają, ale i uświęcają zło, które czynione jest w imię tego zbawczego zadania. W wypadkach skrajnych dochodzi do perwersyjnej pochwały nieprawości, egzaltacji nią, naturalnie w imię wyższych celów. Za pierwszą egzemplifikację takiej postawy uznać można w kulturze zachodniej „Księcia” Machiavellego. Dzieło to nie prezentuje wprawdzie rewolucyjnych rozwiązań ustrojowych, ale szczyci się tym, że odrzuca tradycyjną moralność w analizie polityki na rzecz jej „realizmu”. Cel Florentyńczyka był szczytny, wyznaczał go pokój wewnętrzny i siła państwa, ale opisując działania podejmowane w tym kierunku niekiedy wręcz zachwyca się on zbrodniami swoich bohaterów i trudno oprzeć się podejrzeniu, że uzasadnienie ich dobrem ogółu ma tylko instrumentalny charakter. Podobne egzaltacje odnajdujemy u rzeczników ideologii rewolucyjnych, teoretyków takich jak Gyrogy Lukcs czy pisarzy - zwłaszcza Bertolda Brechta, ale także Ernesta Hemingwaya czy Andre Malraux i legionu innych. Towarzyszy temu pogarda dla zwykłych ludzi i ich „mieszczańskiej” etyki. To bezgraniczne poczucie rewolucyjnej wyższości pozwala akceptować nikczemności czynione owym istotom, kształtowanym przez klasowe warunki i „nieświadomym” swego „realnego” statusu. Jest to jedna z przyczyn faktu, że nieprawdopodobna skala okrucieństw i destrukcji, jaką przyniósł komunizm, jest ciągle, jeśli nie usprawiedliwiana, to w każdym razie relatywizowana przez reprezentantów sporej części współczesnej lewicy. Kolejnym modelem zanegowania realnego porządku etycznego, który wyrasta ze wspólnotowej natury człowieka, jest racjonalizm Immanuela Kanta. Inna sprawa, że mentalność rewolucyjna odwołuje się także do racjonalnego konstruktywizmu, którego skrajnym wyrazem jest utopia. Wywodząc z czystej rozum-

KOSMOPOLITA TO PRZEWĄŻNIE NIE WYJĄTKOWO WRAŻLIWA I MORALNIE UCZULONA WOBEC WSZYSTKICH JEDNOSTKA, ALE NAKIEROWANY NA WŁASNY INTERES EGOISTA, KTÓRY OBOJĘTNOŚĆ WOBEC WSPÓLNOTOWYCH ZOBOWIĄZAŃ PRZESŁANIA UNIWERSALISTYCZNA FRAZEOLOGIA

ności pełną autonomię człowieka, Kant konstruuje nieludzką moralność, której nie sposób człowiekowi unieść. Gdyby jednak, zgodnie z jej projektem, udało się przetworzyć świat społeczny, oznaczałoby to również przekształcenie ludzi w obce nam i odstręczające istoty. Autonomia według autora „Krytyki praktycznego rozumu” nie pozwala nawet cieszyć się z czynionego dobra, gdyż wskazuje to odmienne niż moralne pobudki naszych działań. Wprawdzie Kant zaznacza, że woli ludzi czyniących dobro z innych niż moralne przyczyn, niż tych, którzy tego nie robią, ale to nie oni, jego zdaniem, wyznaczają ten właściwy, moralny standard. W jego moralności nie ma miejsca na różnicowanie podejścia do osób bliższych i dalszych, a więc po prostu nie ma tego podziału. Nie ma miejsce na etykę, o której pisałem wcześniej, gdyż nie istnieje u autora „Metafizyki moralności” idea wspólnoty, a racjonalny podmiot, do którego się on odwołuje, to tylko postulatywna abstrakcja, byt wyposażony wprawdzie we wzniosłą godność, ale z realnym człowiekiem nie mający nic wspólnego. Kant wręcz deklaruje, że jego koncepcja moralności nie ma związku z empirią. Projekt ten potraktować można jako egzemplifikację wniosku, że nie sposób budować ludzkiego świata w oparciu o czystą racjonalność. W jakimś sensie uznać można, że współczesna ideologia emancypacji, która chce „wyzwolić” człowieka z przyrodzonego mu, nieracjonalnego wpisania w hierarchię wspólnot, wywodzi się także od Kanta. Ludzkie życie nie może opierać się wyłącznie na racjonalnych rachunkach, ale musi wyrastać z wyprzedzającego je poczucia przynależności i związku. Współczesny świat coraz bardziej dojmującym czyni napięcie między bezosobowymi, racjonalnymi regułami nowoczesnej cywilizacji a ludzką potrzebą zakorzenienia. Te pierwsze są niezbędne dla powołania sprawnie działających instytucji, które nieuchronnie budują dla nas „klatkę racjonalności”. Wymagania współczesnej gospodarki muszą odwoływać się do uniwersalnych, abstrakcyjnych reguł rekrutacji i traktowania pracowników. To na nich musi być oparta wewnętrzna polityka państwa, zwłaszcza sądownictwo, chociaż i ono zawiera wentyle, które wskazują, że nie wszystko da się zmieścić w abstrakcyjnych normach przepisów; odwołuje się do tego prawo łański, ongiś nieomal boska prerogatywa, w którą wyposażony był monarcha, obecnie uprawnienie

niektórych instytucji. Również sędzia, który ma wprawdzie działać wedle jednolitych reguł prawa, posiada jednak uprawnienia do częściowego od nich odstępowania w konfrontacji z nieprzewidywalnymi wypadkami ludzkiego losu. To jak bardzo te głębokie intuicje zachodniej kultury zostały dziś zdeprawowane, to już osobny temat. Racjonalizacja ludzkich stosunków, ewolucja cywilizacji od gorących relacji wspólnoty (gemeinschaft) do zimnych układów społeczeństwa (gesellschaft) powodują anomie, o której pisali klasycy socjologii – w dużej mierze cała ta dziedzina wiedzy koncentruje się wokół wspomnianego zjawiska. Wywołuje ono uprzedmiotowienie człowieka, który wpisany zostaje w mechanizm materialnej efektywności i staje się jej trybem. „Dzisiejsze czasy” Charlie Chaplina, film z lat 30. minionego wieku, który pokazuje m.in. odczłowieczające warunki pracy ówczesnej fabryki, jest przypowieścią o zderzeniu realnego człowieka z coraz bardziej obcymi mu warunkami nowoczesnego świata. Bezosobowe reguły nowoczesnej cywilizacji i warunki życia, które one kreują wchodzą w konflikt z naturą człowieka, który, jako istota społeczna, potrzebuje zakorzenienia i przynależności. Tęskni za wspólnotą, w której dopiero może realizować pozytywny wymiar swojej wolności, a więc kształtować ją zgodnie ze swoimi głębszymi nastawieniami. Ta coraz trudniej zaspokajalna tęsknota przybierać potrafi perwersyjne formy. Liberalizm i ufundowana na nim nowoczesność nie tyle pomija ów etyczny wymiar ludzkiej kondycji, co buntują się przeciw niemu. Nasze osadzenie we wspólnocie i wynikające z tego etyczne zobowiązania mają niejako organiczny charakter, są nam dane już w momencie naszego pojawienia się na świecie i nie od nas zależą. Rodzimy się w określonym miejscu oraz czasie i fakty te wyznaczają nasz los. Nasza wolność to wybór postawy wobec historycznych wyzwań, które są nam narzucone przez czas. Tak samo nie od nas zależy nasza zbiorowa tożsamość wyznaczana przez wspólnoty, do których przynależymy już w momencie naszego przyjścia na świat. Od rodziny począwszy, a na narodzie skończywszy. Można także mówić o szerszych przynależnościach: cywilizacyjnych czy religijnych. Mają one jednak zwykle inną swoistość i nie wiążą nas w ten losowo-organiczny układ, w który wpisuje nas naród – najszerza zbiorowość, z jaką potrafimy się identyfikować.

Zachodnia cywilizacja rozwijała się w swoich narodowych wcieleniach. Wyznaczała ich ramowe kształty, ale nie powoływała tej wspólnoty losu, która wiąże się z narodową przynależnością. Cechą dystynktywną Europy był tworzony przez odmienne narody wewnętrzny pluralizm, który kreował jej kulturowy dynamizm. Wyobrażenie, że stosunkowo łatwo da się zbudować tożsamość europejską, która występuje na innym poziomie i ma inny charakter niż narodowe przynależności oraz założenie, że ta cywilizacyjna identyfikacja zastąpi narodowe wspólnoty grzeszy co najmniej naiwnością, a tak naprawdę jest przejawem konstruktywistycznej pychy elit, które wyobrażają sobie, że w dowolny sposób są w stanie modelować ludzką rzeczywistość. Wolność pozwala zbuntować się przeciw swojemu losowi i zerwać wspólnotowe więzi. Waga tego wyboru wskazuje jednak na elementarne znaczenie zbiorowej tożsamości, a obserwacja losów tych, którzy aktu takiego dokonali, pokazuje, że naznaczył on ich dalszą egzystencję. Nie do końca zatem udało się uciec przed danymi im przynależnościami i przypisanym losem. Idea umowy społecznej, która ma być fundamentem porządku społecznego, odśladania model liberalnych relacji społecznych. Jest to redukcja ich złożoności do formalnego układu, kontraktu, który zawierany jest ze względu na pożytek stron. Sprowadza więzi ludzkie do jednoznacznie pojętego interesu i w efekcie atomizuje społeczeństwo. Stajemy się samotnymi jednostkami w pogoni za korzyścią, która w tym wypadku zredukowana zostaje do indywidualnego zysku, co stanowi zasadę utilitaryzmu. W ten sposób zanegowany zostaje etyczny-afektywny wymiar ludzkiego istnienia. Dokonywane jest to w imię wolności. Jeśli podstawową determinantą ludzkiej egzystencji, miarą jej godności jest nieograniczony wolny wybór, to, aby go osiągnąć, zaniegować trzeba wszystkie dane człowiekowi, naturalne przynależności.



Wolność stała się fetyszem naszych czasów. I jak zawsze eksponowanie jej jako naczelnej idei liberalizmu wiąże się z uproszczeniem do stopnia, na którym przekształca się ona w swoje zaprzeczenie. Zjawisko to ujął Ryszard Legutko w „Traktacie o wolności”. Jego angielska wersja „The Cunning of Freedom” („Chytrość wolności”) może nawet bardziej niż polski pierwowzór odśladania tę prawidłowość. Liberalną



sumą na ten temat są „Dwie koncepcje wolności” Isaiaha Berlina. Jej autor, zgodnie z klasycznym ujęciem, przeciwstawia jej dwa oblicza - wolność negatywną: od wszelkiego typu zewnętrznych nakazów i pozytywną: do realizacji określonych ideałów i przedsięwzięć. Pierwszą perspektywę uznaje Berlin za właściwą, w stosunku do drugiej prezentuje daleko idącą rezerwę jako do próby narzucenia człowiekowi modeli myślenia i życia. To podejście stało się wyznaniem wiary nowej ideologii i kształtowanego przez nią światopoglądu. To z tego stosunku do wolności wyrasta liberalno-lewicowa ideologia emancypacji, o której, tak jak i większości spraw poruszanych w tym tekście, bardziej wyczerpująco piszę w eseju „Bunt i afirmacja”.

W przeciwieństwie do swoich poprzedniczek nie ma ona oficjalnej nazwy, a jej wyznawcy odżegnują się od uznania swojej doktryny za ideologię. Ich światopogląd ma być wyrazem czystej rozumności. Wynika z tego, że jest on bezalternatywny. Bo jeśli rzeczywistość jest racjonalna, nasze cele są określone - a są nimi wolność i dobrobyt człowieka - to istnieją rozumne procedury dla ich osiągnięcia, algorytmy, które zaaplikować trzeba w życiu społecznym, aby zbudować właściwy kształt ludzkiej rzeczywistości. Rozumowanie takie leży u podstaw wyobrażenia „końca historii”. To z tego powodu następuje dezawuowanie i wypieranie polityki na rzecz prawnych rozwiązań, które ostatecznie i właściwie rozstrzygnąć mają ludzkie problemy. Dominująca ideologia nie ma nazwy, jednego proroka czy świętej księgi – ma ich legion i biblioteki w kółko to samo powtarzające, a jej założenia łatwo odczytać zarówno z wyszukanych uniwersyteckich elukubracji, jak i z płodów kultury masowej. Proponuję nazwę ideologia emancypacji, gdyż wg znaczenia oznacza ona wyzwolenie, które jest dla niej kluczem i najlepiej opisuje jej zasadę. Wyzwolenie – nie wolność.



Idea autonomii każe wyzwalać się człowiekowi z wszystkich konstytuujących go, a więc i, siłą rzeczy ograniczających form. Każda forma okre-

ślając – ogranicza. Po to, aby nazwać i wydobyć z magmy wrażeń określone zjawisko, musimy naznaczyć jego zasięg i formę. Wyobrażenie, że człowiek w imię wolności winien wyzwolić się z wszelkich tożsamości, jest efektem jego deifikacji. Znamienne, że autoproklamujący się materialiści, którzy odrzucają Boga i jakkolwiek transcendencję, usiłują opisywać człowieka w boskich kategoriach, jako samostwarzający się i nie posiadający żadnych ograniczeń byt, co z zasady

przeczy materialistycznej perspektywie. Zaprotestowaliby przeciw tego typu identyfikacji, ale brak samoświadomości nie zmienia istoty rzeczy. Liberalna ideologia emancypacji, próba przekroczenia wszelkich ludzkich tożsamości, zmierza w tym kierunku i wyrasta z przypisania

człowiekowi boskich dyspozycji. Ideologia neguje realny, empiryczny byt człowieka na rzecz postulowanego istnienia, które przekracza wszystkie ludzkie ograniczenia i znane nam warunki życia człowieka. Liberalna ideologia głosi wyzwolenie z mitycznego światopoglądu. Dekonstruuje wspólnotę wyobrażoną, jaką jest według niej naród, ale dokonuje tego w oparciu o w pełni wymyśloną i nie przystającą do rzeczywistości ideę człowieka. Mówi o dojrzałości osoby ludzkiej, a powraca do infantylnego egocentryzmu, który nie rozpoznaje warunków jej egzystencji. Jednostkowa podmiotowość jest czymś elementarnym i pierwotnym w doświadczeniu człowieka. Potrzeba głębszej refleksji, aby zrozumieć, jak bardzo uwikłany wspólnotowo jest nie tylko indywidualny los, ale i konstrukcja naszego wyrastającego z kultury istnienia. Pod pretekstem krytycznego myślenia, cały intelektualny bagaż, który kultura przekłada na symboliczne formy, zostaje w liberalnej perspektywie zanegowany w imię powrotu do bezproblemowego, jednostkowego horyzontu. Podejście to kreuje bezrefleksyjnego egocentryka, nieodpowiedzialnego za świat, który ten świat prowadzi beztrąsko do katastrofy. Figura ta znajduje teoretyczno-normatywne uzasadnienie w dominującej ideologii. Deifikacja człowieka demonstruje, jak kluczowe idee formujące ludzką cywilizację, wypychane z niej, powracają w innym kształcie zwykle bez rozpoznania źródła swoich poglądów przez ich rzeczników. Często

przekształcają się w swoją karykaturę. Realna, wspólnotowa tożsamość człowieka jest „demitologizowana” i egzorcyzmowana w imię uniwersalnej perspektywy, która odwołuje się do gatunkowej istoty i objawia na elementarnym poziomie jednostkowej egzystencji. To człowiek zredukowany, bytujący poza społeczeństwem i kulturą. Oparcie na nim uniwersalności ludzkiej kondycji sprowadza ją do rudymentalnych cech i ogranicza człowieka do jego najprostszej, fizycznej vegetacji i to ona, z liberalnej perspektywy, stanowić ma dla nas punkt odniesienia. Nic więc dziwnego, że przekraczając wspólnotowe uwarunkowania, produkujemy nakierowanych na siebie egocentryków. Ambitny uniwersalizm przekształca się w trywialny indywidualizm.



Podważanie polskiej tożsamości jest elementem szerszego ideologicznego procesu, który wyzwalać ma człowieka z jego naturalnych wspólnot i kwestionuje w ogóle ich „naturalność”. Zgodnie z obiegową opinią, ukształtowaną dziś przez opinotwórcze środowiska, a prezentowaną jako naukowe rozstrzygnięcie, tożsamość narodowa została wynaleziona w czasie Rewolucji Francuskiej i uformowała się później jako skutek działania ideologów nacjonalizmu. Jest „wspólnotą wyobrażoną”, jak ujął to w tytule wydanego w latach 80. minionego wieku, najbardziej wpływowego dzieła na ten temat, Benedict Anderson. Określenie to wskazywać ma arbitralność pojęcia narodu i sytuuje je polemicznie wobec tradycyjnych jego ujęć. W rzeczywistości podejście takie abstrahuje od całego doświadczenia ludzkości i jego pierwszych pisanych świadectw, które postrzegają człowieka w określonych, narodowych wspólnotach. Jeden z pierwszych spisanych utworów literackich, „Iliada” to opowieść o wojnie Greków z Trojanami. Ci pierwsi żyją w licznych państwach, ale mają świadomość swojej szerszej, greckiej tożsamości. Pierwszy uznany hi-

**DEIFIKACJA CZŁOWIEKA
DEMONSTRUJE, JAK
KLUCZOWE IDEE FORMUJĄCE
LUDZKA CYWILIZACJĘ,
WYPYCHANIE Z NIEJ,
POWRACAJĄ W INNYM
KSZTAŁCIE ZWYKLE BEZ
ROZPOZNANIA ŹRÓDŁA
SWOICH POGLĄDÓW PRZESZŁYCH
ICH RZECZNIKÓW**

storyk, Herodot z V w. p.n.e., odmalowuje szerokie tło wojen Greków z Persami, przy okazji opisując narody inne. Również w Biblii podział na narody jest czymś oczywistym. W dokumentach starożytnego Egiptu Egipcjanie przeciwstawieni są innym ludom czy narodom. I tak dalej. We wszystkich znanych nam przekazach ten stan rzeczy jawi się jako coś oczywistego. Rzecznicy nowożytnego rodowodu narodu wskazują na jego ewolucję i odwołują się do tego, że nie wszyscy ludzie zamieszkujący terytorium określonych państw i zaliczani do reprezentowanych przez nie narodów, utożsamiali się z tak szerokimi identyfikacjami. Dowody na to bywają kontrowersyjne. To, że ludzie dużo mocniej związani z miejscem swojego zamieszkania i posiadający niezwykle ograniczone w stosunku do nas możliwości komunikacji, bardziej utożsamiali się ze swoją lokalną wspólnotą, nie znaczy, że nie odczuwali związków ze zbiorowością szerszą. Ujawniało się to zwykle w czasie konfliktów i wojen. Na co dzień ani demonstracje narodowej przynależności, ani nawet refleksja nad nią, nie były potrzebne z powodu jej oczywistości i naturalności. Ludzie zwykle nie stykali się z odmiennymi wspólnotami. Jeśli do tego dochodziło, kompleks

relacji między „swoimi” a „obcymi” okazywał się niezwykle podobny do tego, jaki obserwujemy obecnie. Stosunki między Hellenami a tubylcami w dobie kolonizacji greckiej czy później, po podbojach Aleksandra Macedońskiego w państwach hellenistycznych, pokazują to dobitnie. To, że jedni członkowie wspólnoty mocniej się z nią identyfikują, a inni słabiej, również nie dowodzi niczego i jest wyłącznie świadectwem typowego różnicowania postaw nawet w ramach

jednej zbiorowości. Wzorcotwórcze zawsze są elity, które mocniej uświadamiają sobie konsekwencje własnych stanowisk. To, że dzisiejsze narody nie są tożsame z określanymi tymi samymi nazwami w przeszłości również nie jest na nic dowodem. Narody żyją, rozwijają się i mogą (prawdopodobnie muszą) umrzeć. Przekształcają się w trakcie swojej egzystencji. Czy indywidualizm ludz-

kie nie ulega istotnym zmianom w trakcie swojego (ograniczonego) życia i czy z tego powodu mamy kwestionować jego osobniczą tożsamość? Teoretycy, którzy uznają, że historię narodów datuje się od Rewolucji Francuskiej, wskazują, że wcześniejsze identyfikacje miały pionowy charakter, a tożsamość narodowa osadzona była na feudalnej drabinie stanowej z królem jako jej gwarantem i łącznikiem z transcendentnym łańcem. Rewolucja obaliła tę hierarchię i wprowadziła egalitarny model wspólnoty, a zakorzeniony w metafizycznej strukturze układ zastąpiła hipostazą realnego bytu, jakim ma być naród. W tym sensie jest on w dużej mierze dziełem nacjonalistów, czyli ideologów akcentujących realność zbiorowego podmiotu, jak ujął to inny wpływowy teoretyk tej koncepcji, Ernst Gellner, w pracy „Narody i nacjonalizm” opublikowanej w tym samym czasie, co dzieło Andersona. Zgodzić się można, że do pewnego stopnia podejście to opisuje zmiany w rozpoznawaniu narodu, zwłaszcza, że nowoczesny nacjonalizm, zastępując religijne zakorzenienie wspólnoty jej substytutem jakim był kult narodu, prowadził niezmiennie do jego idolatrii. Kończyło się to, paradoksalnie, podważeniem tożsamości narodu. Skrajny wyraz odnajdowało w rasizmie, który roztopiał narodową wspólnotę w szerszej, biologicznej kategorii rasy. Wprawdzie uznawał niektóre narody za wyjątkowo czyste jej egzemplifikacje, ale ich znaczenie sprowadzał do reprezentowania rasowej specyfiki. Podejście takie, strojące się w naukowy kostium, co raz jeszcze pokazuje, jak niebezpieczne są wszelkie nieuprawnione rozszerzenia idei „naukowości”. Jest ono fundamentalnie sprzeczne z chrześcijaństwem, a więc z zasadami cywilizacji zachodniej i faktycznie neguje istnienie gatunkowej, a więc i osobniczej tożsamości człowieka. Tego typu ekscesy, które były pochodną „nowoczesnego”, „naukowego” podejścia do ludzkich spraw i próby ich ostatecznego uporządkowania, nie tyle prowadzić winny do zakwestionowania idei narodu, co wskazać niebezpieczeństwa „nowatorskich” rewizji klasycznych pojęć. Zmiana warunków funkcjonowania narodu nie zmieniła jego zasadniczego znaczenia, a i w dawniejszych epokach naród nie zawsze egzystował w jednolitych formach. Nie wszystkie średniowieczne narody odwoływały się do władcy jako pośrednika między doczesnością a transcendencją, czego wyrazistym

przykładem jest tożsamość polska. Realność narodu wyrasta z faktu, że ludzie żyją we wspólnotach. Naród jest wspólnotą najszerszą, z jaką potrafimy się identyfikować, która warunkuje naszą egzystencję i pozwala przekraczać doraźność osobniczego bytowania. Jest zakorzeniona w przeszłości i odsyła w przyszłość. Ma charakter naturalny w tym sensie, że nie stanowi naszego wyboru – chociaż możemy ją zanegować – i proponuje największą dostępną człowiekowi afektywno-etyczną jedność. To w oparciu o nią kreujemy realną politykę i skutecznie działające ustroje z republiką czy demokracją na czele. Tylko takie podejście tworzy obywatelską wspólnotę, a więc i świadomość dobra wspólnego, bez czego polityka przestaje się w permanentny konflikt partykularyzmów, które blokują wszelkie znaczące przedsięwzięcia. Syntetyczne podejście do tych problemów prezentuje Yoram Hazony w pracy „Pochwała państwa narodowego”. Jej oś stanowi analiza konfliktu między narodową tożsamością a dążnościami imperialnymi, które uzasadniane są szczytnymi zadaniami: powszechnym pokojem i realizacją uniwersalnych ideałów przeciwstawionych ograniczonemu horyzontowi narodowego bytu. W rzeczywistości imperialne cele osiągnąć można tylko niszcząc realności kulturalnych różnic, a więc odbierając wolność i tożsamości zbiorowościom oraz poszczególnym ludziom. Ciekawą ilustracją tego dylematu jest film Oliviera Stone’a „Aleksander” i historyczne wydarzenia, wokół których został on osnuty. Lewicowy, amerykański reżyser z uznaniem postrzega próbę stworzenia światowego imperium przez macedońskiego władcę. Król ten, świadomy, że istotne różnice kulturowe uniemożliwiają integrację odmiennych krajin, robił wszystko dla ich przełamania. W tym sensie był prekursorem „światowych rządów”. Przewyciężenie antagonizmów między Grekami i Persami oraz zrównanie ich mogło odbyć się tylko za cenę zmiążdżenia tradycji helleńskiej, która stawiała bariery dla absolutnego panowania władcy. Dla Macedończyków król był tylko pierwszym z nich; po to, aby zrównać ich z innymi mieszkańcami imperium, musiał dysponować władzą absolutną i w konsekwencji przyjąć rolę boską. Pełna równość wymaga tyranii. Stone ilustrując ten proces, maskuje jego niezwykle brutalny charakter i towarzyszącą mu, a rażącą nas, deifikację wład-

cy. Fascynacja współczesnego, lewicowego twórcy budownictwem imperium odsłania istotny element dominującego dziś światopoglądu, który występuje w szatach uniwersalnego egalitaryzmu. Nowoczesna interpretacja narodu jako stosunkowo późnej i krótkotrwałej formy historycznej jest elementem dekonstrukcji klasycznego rozpoznania natury człowieka i wymiany jej na wyobrażenie, wspomnianej już, samostwórczej zasady istoty ludzkiej. Podejście takie zwalnia z liczenia się z historycznymi doświadczeniami i prowadzi do zastąpienia ich przyszłościowymi projekcjami, które mają być wolne od przypadłości związanych z tradycyjnym bytowaniem człowieka. Analizę historii pozwalającą odstąpić naturę i kondycję człowieka, zastępuje utopijny projekt, który z niczym liczyć się już nie musi. Ponieważ tak dalekie abstrahowanie od ludzkiej realności prowokuje siłą rzeczy wątpliwości, ideologiczne myślenie maskowane jest zwykle radykalną i arbitralną reinterpretacją historii. Podejście do narodu jest tego dobrym przykładem. Wszystkie świadectwa pokazują nam, że historia to dzieje narodów, poprzez przynależność do których określali się ludzie – uznamy więc, że wspólnoty te w różnych epokach znaczyły tak odmienne rzeczy, że nie wolno ich ujmować w ramach jednego pojęcia. Zróżnicowanie zbiorowości ludzkich zwanych narodami ma służyć zakwestionowaniu ich wspólnej istoty i przyjęciu za naród wyłącznie jego ostatniej, funkcjonującej obecnie formy. Ideologia emancypacji, naturalne formy ludzkiego bytowania, czyni odpowiedzialnymi za jego przypadłości. Wynikać ma z tego, że rezygnując z tradycyjnych, elementarnych modeli egzystencji, wyeliminujemy trapiące nas zło. Obarczanie idei narodu wszelkimi ekscesami nacjonalizmu, prowadzić miało do jej odrzucenia. Podstawowym oskarżeniem w tym rejestrze było uznanie, że to narodowe konflikty były przyczyną I i II Wojny Światowej, które doprowadziły Europę na krawędź unicestwienia. W rzeczywistości ten pierwszy kataklizm wywołany był imperialistyczną grą o dominację na kontynencie, drugi spowodowały ideologiczne projekty. Można uznać, że imperialne dążenia wyrastają z ekscesów nacjonalizmu, tak samo jak, do pewnego stopnia, i nazistowski rasizm, o czym nadmieniałem. Ale związki te nie są jednoznaczne w przeciwieństwie do ideologicznych źródeł II Wojny Światowej. Imperialistyczne ambicje uderzają w narodową identyfikację, co analizował Hazony, a rasistowskie podejście w ogóle ją neguje, o czym pisała choćby Hannah Arendt. Piętnowanie wspólnoty narodowej jako odpowiedzialnej za wszelkie konflikty międzypaństwowe, wiąże się zwykle z pomijaniem jej fundamentalnej, kulturotwórczej roli. Metoda taka umożliwia wymyślanie utopijnych rozwiązań, przy odrzuceniu całej wiedzy, wynikającej z historycznego doświadczenia. Likwidacja tradycyjnych form cywilizacji, odrzucenie tworzących ją instytucji, ma prowadzić do eliminacji generowanego przez nie zła. Zgodnie z ideologią emancypacji jesteśmy w stanie zaprojektować wolne od niego, a zatem zupełnie odmienne od funkcjonujących dotąd, racjonalne rozwiązania, które doprowadzą do stanu idealnego. Podejście to każe odrzucić ideę natury człowieka i zastąpić ją konstruktywistycz-

**WSZYSTKIE ŚWIADECTWA
POKAZUJĄ NAM, ŻE
HISTORIA TO DZIEJE
NARODÓW, POPRZEC
PRZYNALEŻNOŚĆ DO
KTÓRYCH OKREŚLALI SIĘ
LUDZIE**



ną kreacją. Jego rzecznicy nie próbują odpowiedzieć na pytanie: dlaczego całe dzieje człowieka, aż dotąd, były tak nieracjonalne? A raczej odpowiadają na nie w zdumiewająco infantylny sposób. Bo taki charakter mają rozmaite warianty wyjaśniania, że dotychczas ludzie byli niedojrzali i dopiero nasze pokolenie wdarło się na szczyty rozumności, z perspektywy których zaprojektuje wreszcie optymalny świat. Kant jako pierwszy tak jednoznacznie zdefiniował to stanowisko, pisząc w 1784 roku: „Oświecenie to wyjście człowieka z zawnionej przez niego niedojrzałości”. Artykuł, zatytułowany „Odpowiedź na pytanie: czym jest oświecenie”, który zaczyna się od cytowanego zdania nie jest tak jednoznaczny i prowokuje serię wątpliwości. Warunkiem oświecenia Kant czyni odrzucenie przez ludzkość „opiekunów”, którzy ją dotąd prowadzili. Po 250 latach, które upłynęły od publikacji jego tekstu, obserwujemy nie tyle rezygnację z opiekunów, ale zastąpienie dawnych nowymi, bardziej arbitralnymi i częstokroć zdecydowanie bardziej bezwzględными. W każdym razie wnioski z zakwestionowania istniejącej dotąd cywilizacji jako nieracjonalnej narzucają się same: naturalne formy bytowania ludzkiego powinny zostać odrzucone i zastąpione przez rozwiązania wymyślone przez światłych projektantów. Świadomość długiego trwania – nasze egzystencje stanowią jedynie jego epizod – która budzi wątpliwości wobec przedsięwzięcia całościowej transformacji warunków ludzkiego życia, zdaniem rzeczników emancypacji, winna zostać wyparta przez ambicje inżynierów społecznych. Hegel uznawał, że w wolę indywiduów i zbiorowości wciela się duch dziejów, który prowadzi je do triumfalnego finału, czyli królestwa wolności. Jak wszyscy zwolennicy jednokierunkowego postępu, przypisał więc swojej epoce, a zatem pośrednio i sobie samemu, uprzywilejowaną rolę aktora ostatniego aktu spełnienia historii. Uzurpacja rozpoznania jej wyroków stała się fundamentem ideologii rewolucyjnych wyprowadzanych z myśli autora „Fenomenologii ducha”.



Jednym z ostatnich projektów inżynierii społecznej jest koncepcja tożsamości konstytucyjnej, która zastąpić ma tradycyjną narodową identyfikację. Pomysł ten nieprzypadkowo narodził się w Niemczech, których pamięć obciążona jest odpowiedzialnością za nazizm, co powodowało, że patriotyzm niemiecki sta-

**NATURA CZŁOWIEKA, JEGO
FORMY BYTOWANIA
I DZIEŁA MAJĄ ZAWSZE
CIEMNĄ I JASNĄ STRONĘ,
RAZ PRZEWAŻAJĄ
POZYTYWY, RAZ
NEGATYWY.
NIEKTÓRE REALIZACJE
LUDZKICH PRAGNIEŃ
TRWALE PRZYBIERAJĄ
PRZERAŻAJĄCE KSZTAŁTY,
KTÓRE WSKAZUJĄ, ŻE TAKI
SPÓSOB PODEJŚCIA DO
NICH JEST ZGUBNY**

wał się czymś podejrzanym. Jeśli jednak Niemcy są odpowiedzialni za monstrualne zbrodnie, nie znaczy to, że odpowiedzialność ta ciąży na samej idei narodu. Natura człowieka, jego formy bytowania i dzieła mają zawsze ciemną i jasną stronę, raz przeważają pozytywy, raz negatywy. Niektóre realizacje ludzkich pragnień trwale przybierają przerażające kształty, które wskazują, że taki sposób podejścia do nich jest zgubny. To przykład dziejów ideologii czy inżynierii społecznej – pośrednio dowodzą one, że musimy zaakceptować naturę człowieka oraz jej wspólnotowy fundament i pogodzić się z ograniczeniem naszych kreacyjnych potencji. Można zgodzić się, że najnowsza historia Niemiec raz jeszcze wskazuje potrzebę refleksyjnego podejścia do idei narodu, demonstruje jej granice i związane z nią niebezpieczeństwa, które wpisane są w każdą formę egzystencji człowieka. Jednakowoż to określani ludzie wypełniają je treścią, a więc tak jak i ludzie różnią się one od siebie. Tradycje niektórych narodów są bardziej niebezpieczne niż inne. Próba odczytania niemieckich zbrodni jako zła, które niesie ze sobą każda zbiorowa, a zwłaszcza narodowa tożsamość, nie wynika z analizy historii, a ma charakter instrumentalny i służy ideologicznym planom. Jej rzecznikom nie przychodzi do głowy, aby tej samej procedurze poddać utopijne myślenie, które zawsze(!) w historii prowadziło do opłakanych konsekwencji. Po wojnie – co zrozumiałe – Niemcy borykali się ze swoją tożsamością. Jedną z metod jej przezwyciężenia było rozczłonkowania szerszego, narodowego poczucia na jego prowincjonalne, „landowe” segmenty. Było to tym łatwiejsze, że państwo niemieckie funkcjonowało dopiero od drugiej połowy XIX wieku. Wcześniej Niemcy egzystowali w wielu odmiennych podmiotach politycznych. Tożsamość landu, czasami tak dużego miasta jak Berlin, Monachium czy Kolonia miała zdominować, podobno mniej znaczącą, narodową przynależność. Heimat miał przezwyciężyć vaterland. Jednocześnie idea narodu jako wspólnoty miała być zastąpiona przez instytucjonalny układ. Niemiecki socjolog, Mario Rainer Lepsius uznawał, że konstytucja to „demokratyczna świadomość instytucjonalna”. Określenie „patriotyzmu konstytucyjnego” wprowadził filozof, Dolf Sternberger: „/.../narodowe uczucia zostały zranione.” – i uzasadniał on tę ideę – „Nie żyjemy w całych Niemczech. Żyjemy całkowicie w konstytucji, w całym państwie konstytucyjnym i już to samo jest rodzajem ojczyzny”. Sternberger uważał, że patriotyzm konstytucyjny jest patriotyzmem przednarodowym, gdyż to relacje z instytucjami państwa pierwotnie formują międzyludzkie stosunki. Nie będę podejmował szczegółowej polemiki z tą myślą, gdyż cały mój tekst broni tezy odwrotnej, natomiast fakt, że pojawiła się ona w Niemczech jest bardzo wymowny. Koncepcja patriotyzmu konstytucyjnego upowszechniła się w trakcie „sporu historyków”, który wywołał tekst Ernsta Noltego, „O przeszłości, która nie chce przeminąć” z 1986 roku. Kwestionuje on unikatowość niemieckiej polityki ludobójczej i traktuje ją jako odpowiedź na identyczne a wcześniejsze praktyki sowieckich komunistów. Ideę patriotyzmu konstytucyjnego rozwinął Jurgen Habermas, który uznawał, że tylko

w ten sposób Niemcy znowu będą mogli powrócić do zachodniej cywilizacji. II Wojna Światowa przekreśliła jego zdaniem tradycyjną niemiecką tożsamość. „Ci, którzy zachęcają Niemców do przyjęcia konwencjonalnej formy tożsamości narodowej, niszczą jedyną mocną podstawę naszego powiązania z Zachodem”. Zdaniem Habermasa patriotyzm konstytucyjny jest racjonalnym rozwiązaniem, który winien zostać uniwersalnie zaakceptowany. Postęp wymaga od ludzi przyjęcia postnarodowej postawy, która zrywa ograniczenia tradycji i historii. Ma to być konieczne zwłaszcza we współczesnych, zglobalizowanych, wielokulturowych społeczeństwach, które w miejsce tradycyjnych identyfikacji winny odwoływać się do zapisanych w konstytucji zasad demokracji i praw człowieka. Tożsamość polityczna winna zastąpić wspólnotę narodową. Fundamentalne wątpliwości prowokuje przywołana przez Habermasa, i jakoby powszechna dziś na Zachodzie, forma „społeczeństwa wielokulturowego”, które miało zastąpić jego tradycyjny wariant. Ten podobno charakterystyczny dla naszej epoki kształt życia zbiorowego jest punktem odniesienia dla ideologii emancypacji, a pojęcie to traktowane jest współcześnie jako oczywistość. Odstania to konfuzję mentalną w jakiej jesteśmy pogrążeni. Nie istnieje i istnieć nie może „wielokulturowe społeczeństwo”. Sam ten termin potraktować można jako oksymoron. Kultura jest sposobem organizacji społeczeństwa. Nie może istnieć społeczeństwo zorganizowane równocześnie na różne sposoby. Piszę oczywiście o kulturze rozumianej poważnie, czyli o systemie ludzkich instytucji oraz wyrastających z religii wyobrażeniach, na których zostały one ufundowane. Istniały wielokulturowe państwa, ale oznacza to, że zamieszkiwane były przez różne społeczeństwa. Nie były one (i nie mogły być) demokracjami. Demokracja musi być osadzona na poczuciu tożsamości, pozwalającym na wypracowanie dobra wspólnego. Zanik rozumienia tego powoduje kryzys demokracji, co możemy obserwować dziś na Zachodzie. Próba wprowadzenia demokracji w wieloetnicznych, sztucznie stworzonych przez kolonizatorów państwach Afryki i Azji, kończy się niepowodzeniem, a często wojną domową. Zbiorowość, która wygrywa wybory, dąży do dominacji i zaspokajania interesu swoich współplemieńców kosztem innych. Funkcjonowanie nie tylko demokracji, ale

i państwa umożliwia dominacja określonej kultury, która sprzyja określonym formom ustrojowym i pozwala niekiedy na egzystencję na marginesie społecznym kultury innej, ale nigdy na równoprawnych warunkach. Silna, arbitralna władza może zapewnić porządek w wielokulturowych państwach, które zwykle powstają na skutek podboju, ale zawsze w większym lub mniejszym stopniu przychyła się do jej określonej wersji. Na czymś przecież instytucje państwa, a zwłaszcza system prawny, muszą być ufundowane. Dobitym przykładem tego stanu rzeczy było pojawienie się w Europie protestantyzmu, co doprowadziło do rozłamu w naszej kulturze i ponad stuletnich kontynentalnych wojen domowych. Jedynym możliwym rozwiązaniem okazała się zasada „cuius regio eius religio” [czyja władza, tego religia]. Szybko okazywało się, że religia władcy nie za bardzo toleruje inne jej odmiany. Rządcy ograniczali prawa innowierców. Ludwik XIV cofnął edykt z Nantes, republika holenderska pierwotnie nie akceptowała katolików tak jak Anglia po Chwalebnej Rewolucji, pomimo że była ona rzeczywiście godną uznania próbą budowy tolerancyjnego ładu społecznego. Poprzedzający ją ciąg rewolucji i wojen domowej w Anglii XVII wieku miał podstawę religijną i demonstrował, jak duży wpływ na funkcjonowanie społeczeństwa ma jego zaplecze kulturowe. I Rzeczpospolita była niezwykle przypadkiem pokojowego współistnienia różnych odmian chrześcijaństwa oraz innych religii. Po krótkim okresie funkcjonowania na niemal równych prawach katolicyzmu i protestantyzmu, ten pierwszy jednak zaczyna mieć przewagę. Po potopie szwedzkim, który miał także rys wojny religijnej, zdominował państwo bez reszty. Tolerancja Rzeczpospolitej jest jednak czymś wyjątkowym na tle ówczesnej Europy, a wygnanie arian stanowi jedynie efekt ich jednoznacznego opowiedzenia się po stronie króla szwedzkiego w trakcie jego najazdu na Polskę. Żydzi byli tolerowani i wpisani w strukturę stanowego ładu, chociaż ich religijno-kulturowa odmienność prowokowała. Wszelkie akty wrogości wobec innych wyznań pojawiały się na zdecydowanie mniejszą skalę niż na zachodzie kontynentu. Warto zaznaczyć, że starcie protestantyzmu i katolicyzmu przebiegało w ramach jednej szeroko rozumianej religii, której podstawowe dogmaty akceptowały obie główne strony sporu.

Wyjątkowość historii Stanów Zjednoczonych nie kwestionuje przywołanych tu podstawowych reguł ludzkiego istnienia. Pierwszy jej okres to zasiedlanie terenów Ameryki przez stosunkowo jednolitą ludność, angielskich protestantów. Konstytucja amerykańska nie wymagała ideowej preambuły, ponieważ światopogląd mieszkańców nowego państwa, który wypływał z mniej więcej tożsamej religii, był dla nich sprawą oczywistą. Bardziej radykalni protestanci znajdowali wystarczająco dużo terenów, aby żyć niejako obok społeczeństwa. Kształtująca się stopniowo osobna tożsamość amerykańska pozwalała inkorporować w nią kolejne grupy: katolików czy Żydów. Imigranci byli stosunkowo łatwo, co nie znaczy bezkonfliktowo, asymilowani w kulturze amerykańskiej, która otwierała wielkie możliwości przedsiębiorczym przybyszom. A przecież historia mafii włoskiej czy obecne napięcia między latynoskimi imigrantami a zasiedziałyymi Amerykanami wskazują na problemy, które są wynikiem pojawienia się w określonej społeczności dużych grup o nieco tylko odmiennej kulturze. Trzon cywilizacji amerykańskiej nie został jednak nigdy dotąd zakwestionowany.

I nie stanowi go tekst konstytucji. Wprawdzie dokument ten otaczany jest w USA wyjątkowym szacunkiem, jednak twierdzenie, że to on tworzy tożsamość amerykańską, jest nadużyciem. Zwłaszcza, jeśli weźmiemy pod uwagę jego oszczędne zapisy, które ograniczają się w zasadzie do definicji głównych instytucji państwa.

Opowieść o wielokulturowym społeczeństwie pojawiła się wraz z masową imigracją do Europy ludności muzułmańskiej. Ponad półwieczny eksperyment ich integracji okazuje się ostentacyjnym fiaskiem. Nie znaczy to, że część elit przybyszy nie wkomponowuje się doskonale w miejscowe społeczeństwa. Chodzi o to, że większość muzułmanów żyje nie tylko osobno, ale usiłuje zaprowadzić swoje porządki w zdominowanych przez siebie skupiskach. W różnych krajach Europy podejmo-

wano chyba wszystkie możliwe w liberalnej doktrynie strategie radzenia sobie z tym wyzwaniem i wszystkie zakończyły się niepowodzeniem. Dominujące zachodnie ośrodki opiniotwórcze zamykają na to oczy, a jeśli odnotowują problem, to wyłącznie w formie oskarżenia wobec nietolerancji i ksenofobii Europejczyków. Piętnują zwłaszcza nieczne knowania populistów, którzy w imię swoich politycznych interesów marginalne problemy usiłują podobno rozdmuchać do rozmiarów wielkiego konfliktu. Jeśli nawet potraktujemy te wyjaśnienia poważniej niż na to zasługują, to przecież wskazują one na istotny antagonizm, który nie może zostać łatwo przezwyciężony. Inna sprawa, że żyjące

w swoich bezpiecznych zonach elity europejskie nie stykają się bezpośrednio z zagrożeniem, który powodują nie adaptujący się imigranci. Kiedy wędrują oni do ich strzeżonych osiedli będzie już za późno. Składając dymisję z urzędu w 2018 r. szef MSW Francji, Gerard Collomb oświadczył: „dziś żyjemy obok siebie [muzułmanie i nie-muzułmanie], ale nic nie gwarantuje, że jutro nie staniemy przeciwko sobie”. Wcześniej mówił o abdykacji republiki, która wycofuje się z zamieszkałych przez przybyszy dzielnic, oddając w ich ręce real-

ną władzę. Dymisja Collomba spowodowana była odmową podjęcia bardziej zdecydowanych działań wobec tego stanu rzeczy przez władze Francji. Przywołuję go, bo był to polityk socjalistyczny, mianowany na ministerialne stanowisko przez Emanuela Macrona, z którego liberalną partią był wtedy związany. Był jednak również odpowiedzialnym ministrem, który poważnie traktował swoją funkcję. Problemy współczesnej epoki z imigracją mają w dużej mierze ideologiczne podstawy. Doktryna emancypacji zabrania działać na rzecz asymilacji islamskich przybyszy – podejście takie wyrażałoby dominację cywilizacji Zachodu, od której mamy odejść. W miejsce tego winniśmy dekonstruować tradycyjny porządek, aby zastąpić go lewicowo-liberalną kreacją. Ten nowy konstrukt stanowi podobno na tyle atrakcyjną ofertę, że przybysze bezproblemowo mają ją zaakceptować. Nic takiego

się nie dzieje, a ideologicznym inżynierom udaje się wprawdzie do pewnego stopnia rozmontować istniejącą kulturę, ale żadnej koherentnej alternatywy nie są w stanie w jej miejsce powołać. Im bardziej rozbijane są tradycyjne europejskie tożsamości, tym pewniejsze, że przybysze pozostaną w swoich, konkurencyjnych wobec zachodniej cywilizacji środowiskach. Uderzające, że kolejne urodzone już w Europie pokolenia są bardziej radykalne w swoim nawrocie do islamu niż ich rodzice, którzy chcieli rozpocząć tu nowe życie. Materialny awans okazał się wiązać z anomią, któremu to, nieznośnemu stanowi, zapobiec potrafi muzułmańska tożsamość, ale nie model zatomizowanej i zagubionej zbiorowości, wyrastający z emancypacyjnej doktryny. Współczesna postmarksistowska mentalność, która wszystkie zjawiska społeczne usiłuje wyprowadzić z ekonomicznej „bazy”, problemy z integracją przybyszy sprowadza do ich materialnego upośledzenia. W dużej mierze miesza przyczynę i skutek. Nie dlatego islamscy przybysze nie integrują się, że zajmują niższe szczeble drabiny społecznej, ale dlatego je zajmują, że się nie integrują. Duże grupy imigrantów wyrastających z innej kultury zawsze stanowią problem dla kraju ich przybycia. Dominująca ideologia i wpływająca z niej polityka uczyniła go nierozwiązywalnym.



Sama nazwa patriotyzmu konstytucyjnego budzić powinna co najmniej wątpliwości. Patriotyzm to w pierwszym rzędzie uczucie, sentyment związku i przynależności, który pozwala przekraczać granice indywidualnej jaźni i rozszerza podmiotową świadomość. Nic dziwnego, że pomysł afektu do dokumentu wyrósł w biurokratycznej kulturze niemieckiej, ale nawet tam wydawać powinien się ekscentryczny. Wprawdzie niedawno widzieliśmy polskiego polityka płaczącego nad konstytucją, ale tego rodzaju głęboka uczuciowość jest zjawiskiem nader rzadkim. Konstytucje wyrastały z narodowych kultur, a więc i tożsamości. Konstytucją nazywano ogół norm, które organizowały życie zbiorowości i pierwotnie nie miały charakteru pisanego. Przykładem jest nie zapisana dotąd konstytucja angielska, do której Anglicy często odwołują się nazywając ją tak właśnie. W I Rzeczypospolitej jako konstytucję określano rozmaite, przyjmowa-

ne w ciągu setek lat akty prawne, które w całości składać się miały na ustrój szlacheckiej republiki. Pierwszym dokumentem, który został tak nazwany, jest Konstytucja Nihil Novi z 1505 roku. W preambule do współcześnie uznawanej, czyli Konstytucji 3 maja czytamy: „długim doświadczeniem poznawszy zadawnione rządu naszego wady”, a choć dokument ten jest próbą ich naprawy, odwołuje się także do tradycji i funkcjonujących praw. Konstytucje współczesne akcentują zwykle historyczną ciągłość. Większość najwyższych aktów prawnych państw wychodzących z komunizmu w preambułach akcentuje i nawiązuje do przerwanej przezeń trwałości tradycji. Tak jest i w Polsce. Habermasowski pomysł na zastąpienie patriotyzmu spontanicznego i bezrefleksyjnego, racjonalnym zestawem norm, który ma formować nowy porządek, jest przejawem nowoczesnego konstrukttywizmu, utopijną wiarą, że jesteśmy w stanie zapisać, zaprojektować i ukształtować wszystkie formy ludzkiej egzystencji, nawet głębokie związki i uczucia. Naturalnie nie potrafimy tego zrobić i jedyne, co możemy w ten sposób osiągnąć to destrukcję wcześniejszych form istnienia. Nie jesteśmy w stanie politycznymi metodami wytworzyć głębszych form przynależności i zakorzenienia, natomiast do pewnego stopnia potrafimy zniszczyć te, które istnieją. Chociaż i to nie jest takie łatwe.

Koncepcji konstytucyjnego patriotyzmu towarzyszą frazesy o jego „nowoczesnej” wersji. Wyobrażenie, że wszystko co nowoczesne jest lepsze od tego, co tradycyjne, są wyrazem ciągle królującego na Zachodzie dogmatu postępu, który przerodził się w swoją własną karykaturę. Ponad sto lat ostatniej historii Europy dowodzi tego, co dla każdego myślącego osobnika powinno być oczywiste, że osiągnięcia człowieka zawsze można zwrócić przeciwko niemu, a im są bardziej imponujące, tym bardziej koszmarnie tragedie mogą powodować. Głębszej analizy wymaga dostrzeżenie, że absolutna koncentracja na nauce i powodowanym przez nią materialnym rozwoju wiąże się z jałowieniem ludzkiej kultury. W każdym razie obowiązujący nadal powszechnie pogląd, że niekwestionowalny postęp nauk stanowi miarę doskonalenia się naszej cywilizacji, świadczy o powszechnym zaniku refleksyjności. To tło dla wyszukanych pomysłów Habermasa, którego nie można oskarżyć o prymitywizm, ale warto zastanowić się, jak łatwo

jego zbanalizowane poglądy schodzą pod strzechy i przekształcają się w obiegowe komunały. Istnieje ciągłość między wyszukаныmi ideami emancyperyjnych myślicieli a trywialnością współczesnych, stereotypowych opinii. Postęp widnieje na sztandarach nowej ideologii i towarzyszącego jej prostackiego światopoglądu. Złożone i paradoksalne dzieje tej koncepcji przedstawił Zdzisław Krasnodębski w dziele „Upadek idei postępu”. Postępowcy zdają się jednak nie czytać zbyt wiele. Żyjemy w kulcie nowości. Jeśli powołać chcemy się na rzeczy trwałe, koniecznie dodać musimy, że chodzi o ich nowoczesny wariant. Świadomość głębokiego zakorzenienia formy cywilizacyjnej czy instytucji zamiast wywoływać uznanie, rodzi niepokój, że może być potraktowana jako archaiczna. Koniecznie więc opatrzyć trzeba ją epitetem „nowoczesności”. Wszechobecna strategia marketingu kolonizuje myślenie współczesnego człowieka i narzuca mu pościg za nowością i oryginalnością, które nie są ani jednym, ani drugim. Domaganie się unowocześnienia patriotyzmu jest także pochodną ideologizacji naszej mentalności i służy zakwestionowaniu klasycznych cnót. Słyszymy i czytamy, że nie należy odwoływać się do poświęcenia, a już – broń Boże! – ryzykowania życiem w obronie ojczyzny jako warunku istnienia patriotyzmu. Ma on być przestrzeganiem przepisów, płaceniem na czas podatków i innych zobowiązań wobec państwa, a także grzeczności i życzliwości w stosunku do współobywateli itp. Dowiadujemy się zatem, że patriotyzm wyczerpuje się w przyzwoitym zachowaniu i dobrych manierach. Nie kwestionując ich potrzeby trzeba zaprotestować, gdyż jest on czymś zdecydowanie więcej. Jest poczuciem głębokiego związku z narodem, uczuciem, które z niego wyrasta i zrozumieniem jego znaczenia. Przyzwoitość obowiązuje mnie również wobec obcych, natomiast patriotyzm jest czymś bez porównania ważniejszym i nie wyczerpuje się w dobrym zachowaniu. Jego miarą jest poświęcenie, na jakie jestem gotów w stosunku do swojego narodu. Jeśli osób tworzących zbiorowość na nie nie stać, wspólnota przekształca się w doraźną umowę wypowiedaną w trudniejszych warunkach. Oznacza to, że jej uczestnicy nie odczuwają prawdziwego patriotyzmu i nie są w stanie przeżywać uczestnictwa w narodowej wspólnotcie. A egzystencja pozbawiona tego poczucia, jakkolwiek możliwa, jest zredukowana i ułomna. Sprowadza się do egocentrycznego bytowania, które nastawione jest na doraźne korzyści. Granicznym warunkiem trwania wspólnoty jest przekonanie jej uczestników, że stanowi ona jedno z najwyższych dóbr, co ujawnia się w stanie zagrożenia, kiedy trzeba podjąć dla niej największe ryzyko. Narody, które straciły tego świadomość, skazane są na unicestwienie. Najnowsza historia Niemiec jest dowodem na trwałość tożsamości narodowej i jej dystynktywnych cech. Połączenie kraju i stworzenie w miejsce bońskiej, republiki berlińskiej, błyskawicznie doprowadziło do odrodzenia się niemieckiego nacjonalizmu z całą jego megalomanią. Rozliczenie się (czy rzeczywiste?) Niemców z ich nazistowską przeszłością zostało przez nich uznane za osiągnięcie równie epokowe, a może i bardziej niezwykle, co poprzedzająca go zbrodnia i stano-

PONAD STO LAT OSTATNIEJ HISTORII EUROPY DOWODZI TEGO, CO DLA KAŻDEGO MYŚLĄCEGO OSOBNIKA POWINNO BYĆ OCZYWISTE, CZYLI, ŻE OSIĄGNIĘCIA CZŁOWIEKA ZAWSZE MOŻNA ZWRÓCIĆ PRZECIWKO NIEMU, A IM SA BARDZIEJ IMPONUJĄCE, TYM BARDZIEJ KOSZMARNE TRAGEDIE MOGA POWODOWAĆ

wić ma rację do ogłoszenia się „moralnym mocarstwem”. To przykład, jak największe obciążenie przetworzyć można w atut. „Chwalebna” konfrontacja Niemców z przeszłością ma być wzorem dla innych i tym samym daje im prawo do występowania z pozycji arbitra w kwestiach moralnych oraz czyni z nich koryfeusza postępowej ludzkości. Deklarując przewyższenie swoich obciążeń, czują się oni uprawnieni by pouczać inne narody i rozliczać je z tempa wdrażania postępowego kanonu. Często obiektem ich troski staje się Polska, a nasi zachodni sąsiedzi zaniepokojeni są tym, że nie rozliczyliśmy swoich narodowych przypadłości wystarczająco głęboko. Tłumaczenie, że historia Polski była radykalnie inna, staje się dowodem naszej winy, gdyż, zgodnie z nową ortodoksją, wszystkie narody obciążone są podobnymi grzechami. W rzeczywistości uznanie, że każda nacja ma coś na sumieniu, nie oznacza, że wszyscyśmy jednacy przed trybunałem historii. Zwykle można ważyć winy oraz zasługi poszczególnych wspólnot w odniesieniu do konkretnych, historycznych wydarzeń. Akurat II Wojna Światowa kumuluje dla Polaków te drugie, a próba ich relatywizowania poprzez ekscesy przestępczego marginesu, który występuje zawsze i wszędzie, stanowi manipulację. U jej podstaw leży zarówno polityka historyczna Niemiec i Rosji, jak i ideologiczna namiętność, nakazująca przewyższenie tradycyjnych wspólnot, aby w ich miejsce skonstruować racjonalne struktury ludzkiego istnienia, które mają stanowić obiektywny postęp.

+

Po upadku komunizmu słyszeliśmy, że narodowe formy istnienia przeżyły się. Szczególnym tego przykładem miała być Europa, która przybierała właśnie unijny kształt. Fakty przeczyły tym proctwom bardziej niż diagnozom. Eksplozja Jugosławii, w której miały integrować się narody Bałkanów, była tego tylko najbardziej dramatycznym przykładem. Świadczyło o tym odrodzenie nacji, które rozsadziło Związek Sowiecki. Dowodów trwałości narodowych więzi było znacznie więcej.

Niezwykłym przykładem długowieczności i intensywności narodowych postaw był ruch Solidarności, który jako niewygodny dla ideologii emancy-

pacyjnej oraz wyznającego ją establishmentu III RP, został w dużej mierze wypchnięty z historii Europy i Polski. Fakt, że ogromna większość aktywnych Polaków przystąpiła do patriotycznego frontu – związek zawodowy był tylko jedną i to nie najważniejszą jego funkcją – którego zasadą było poświęcenie dóbr partykularnych na rzecz wspólnoty, wydawał się cudem, a jednak się wydarzył. Solidarność była objawieniem się narodowej wspólnoty w jej klasycznym dla polskiej tradycji kształcie. Nastąpiło to w sytuacji zagrożenia, którego skali nie sposób było wówczas przewidzieć, ale historyczne doświadczenia pokazujące jak Związek Sowiecki radził sobie z nieposłusznymi prowincjami, kazały liczyć się z najgorszym. Solidarność narodziła się po ponad trzech dekadach obecności komunizmu i poprzedzającej go wojnie, która pod znakiem zapytania postawiła fizyczne istnienie polskiego narodu. Komunizm, jak wszystkie utopijne, a więc i totalitarne projekty, jako pierwsze zadanie stawiał sobie niwelację tradycyjnych form istnienia. Totalitaryzm wpisany jest w utopię. Zamyśl urządzenia społeczeństwa na sposób doskonały, a w każdym razie optymalny, sytuuje się na antypodach ułomnego i dramatycznego świata, który znamy. Projektodawcy utopii muszą dostrzegać, że wszystkie istniejące formy bytowania człowieka skażone są niedoskonałościami. Po to więc, aby się od nich uwolnić, ludzki świat trzeba zaprojektować na nowo, od podstaw i we wszystkich jego aspektach. W tym celu należy oczyścić przestrzeń społeczną i zlikwidować to, co istniało dotąd, zwłaszcza, że pozostawienie starych form oznacza także przetrwanie ich ułomności, które skażą projekt utopii. Twórcy nowego ustroju muszą być wyposażeni w uprawnienia totalne, aby dokonać tego wielkiego dzieła. W celu budowy utopii, która jest projektem totalnym, trzeba posiadać totalną władzę. System taki nazywa się totalitaryzmem, który jest zjawiskiem nowoczesnym i nie należy mylić go ze znanymi wcześniej despotycznymi systemami. Wypływa z emancyperyjnych idei. Zgodnie z nimi trzeba uwolnić ludzi z tradycyjnych struktur społecznych, a zatem zlikwidować je. Tylko wtedy można będzie dowolnie kreować nowe, wreszcie optymalne konstrukcje ludzkie. Atomizacja społeczeństwa, przekształcenie go w zbiór samotnych jednostek, które totalna władza może komponować w dowolny sposób, było imperatywem komunistycznym - jednym z niewielu „osiągnięć” budowniczych tego systemu. Okazało się, że

był to sukces pozorny, a reakcja na trzydzieści pięć lat komunizmu zdumiewała i w sensie pozytywnym dowodziła trwałości narodowych postaw. Solidarność była odrodzeniem się w nowych, niezwykle trudnych warunkach, zakorzenionej w polskiej tradycji postawy republikańskiej. Była zresztą kolejnym cudem polskiej historii. Pierwszy to odrodzenie się niepodległości naszego państwa po blisko 130 latach rozbiorów, w trakcie których Polska podzielona była między trzy odmienne i inaczej rozwijające się kraje zaborcze. Tożsamość nasza przeżyła tę próbę i okazała się jeszcze na tyle mocna, że w niezwykle krótkiej, liczącej niecałe 20 lat epoce, potrafiła w pełni zintegrować trzy, oddzielone przez ponad wiek i przeżywające inną historię, fragmenty wspólnoty. Czy można mówić o charakterze narodowym analogicznie do charakteru jednostkowego? Namysł nad historią pomimo stereotypów nowoczesnej mentalności każe odpowiedzieć twierdząco na tak postawione pytanie. Naturalnie, jak każde analogie i ta będzie miała swoje ograniczenia, niemniej odnajdziemy wystarczającą liczbę podobieństw, które zestawienie to będą usprawiedliwiały. Krytycy polskiej tradycji i tożsamości im bardziej ją negują, tym bardziej, nieświadomie, potwierdzają jej istnienie. Osądzają przecież istniejący kompleks zjawisk, które w ich ocenie są naganne, a nie wymyślone i arbitralnie przypisywane zbiorowości. Po to, aby coś potępić, najpierw trzeba uznać istnienie potępianego. Nieuprzedzone spojrzenie dostrzega wyraźne odmienności nawet sąsiadujących ze sobą narodów. Czy nie zauważamy różnic między Polakami, Czechami, Niemcami a Rosjanami? Na czym polega więc tożsamość polska? Wspominałem już o jej republikańskim rodowodzie. Najbardziej ambitną i udaną próbą współczesnej rekonstrukcji historycznie osadzonej tożsamości naszego narodu są pisane właśnie „Dzieje Polski” Andrzeja Nowaka. Ich ostatni dotąd, szósty tom traktuje o historii naszego kraju w XVII wieku. Na plan pierwszy polskiej tradycji wybija się rola wolności zarówno indywi-

**NA PLAN PIERWSZY
POLSKIEJ TRADYCJI WYBIJA
SIĘ ROLA WOLNOŚCI
ZARÓWNO INDYWIDUALNEJ,
JAK I ZBIOROWEJ.
PODKREŚLAJĄ TO TAK JEJ
OBROŃCY, JAK I KRYTYCY**

dualnej, jak i zbiorowej. Podkreślają to tak jej obrońcy, jak i krytycy. Dziedzictwo to jest zadziwiająco dawne. Pierwszym i od razu niezwykle dojrzałym świadectwem takiego ujęcia polskości jest napisana na samym początku XIII wieku „Kronika” mistrza Wincentego, biskupa krakowskiego, nazwanego parę wieków później Kadłubkiem. To wyszydzane, jak wszystko co wielkie w polskiej tradycji, dzieło jest pomnikiem średniowiecznej kultury. Sumuje ówczesną wiedzę, a wykorzystanie przez autora znanego wówczas piśmiennictwa w dziedzinach filozofii, historii i literatury pięknej powoduje, że odnajduje się ono w rzędzie najbardziej erudycyjnych dzieł tamtej epoki. Nie ustępuje im także w wymiarze refleksji i to głównie w dziedzinie, która nas zajmuje. „Tożsamość jest matką wspólnoty” – pisze Mistrz Wincenty, wskazując, że formuje ją ciąg pokoleń wychowanych we wspólnym etosie. Tożsamość według Kadłubka to system wspólnych norm oraz zasad i ma charakter etyczny, a nie odwołuje się wyłącznie do pokrewieństwa czy zamieszkiwania na tej samej ziemi. W „Kronice” po raz pierwszy państwo polskie zostaje nazwane Res Publica. Wprawdzie ma ono formę królestwa, ale jest to rodzaj monarchii konstytucyjnej, która faktycznie stanowi republikę. Jej mieszkańcy nie są poddanymi, a obywatelami. Mityczny założyciel owego państwa, Krak zostaje wybrany na króla przez wszystkich Lechitów: senat, rycerstwo i lud. Nowy monarcha sam nazywa siebie „towarzyszem królestwa” czyli nie władcą, ale partnerem rządzonych. Ustanawia prawa, którym podlegają wszyscy, a więc i król. Model republikańskiego ustroju zaczerpnął Kadłubek głównie z Cyserona. Historyczno-mityczny kostium, w który przyodziane są dzieje Polski w „Kronice”, odwołania do starożytnych postaci: Aleksandra Macedońskiego czy Cezara, a także egzotycznych ludów, jak Partowie, zwyciężanych przez naszych przodków, powodują, że łatwo je współcześnie wyszydzić. Toteż jest ona obiektem łatwych kpin już od ponad dwustu lat. Szydercy nie wiedzą najwyraźniej, że podobnie pisane były wszystkie dzieła historyczne Europy tamtej epoki. Miały one osadzić

partykularne dzieje portretowanej nacji w historii uniwersalnej. Kadłubek nie ukrywa, że przyświeca mu pedagogiczny zamiar, ale nie sposób wyłącznie do niego sprowadzić jego dzieła. Musiało ono dokumentować dominującą w elicie krakowskiej postawę normatywną. Inaczej władcy, którzy mu patronowali, nie zaakceptowaliby go. Nie przyjęliby go w tym kształcie, gdyby propagowali bardziej autorytarny model monarchii. Podejście takie, choćby do pewnego stopnia, musiało przekładać się na praktykę rządzenia. „Kronika” Mistrza Wincentego była najbardziej poczytnym dziełem w Polsce do końca XV wieku i śmiało uznać można, że miała trwały wpływ na postawy jej elit. Ma istotny udział w kształtowaniu „rzymskości” sarmackiej tradycji, która, osadzona na chrześcijańskim fundamencie, odwoływała się głównie do republikanizmu znad Tybru. Wolnościowy gen polskiej kultury zasadniczo różnił ją od sąsiadów: Niemców i Rosji. „Kronika” dowodzi jak wcześnie mieliśmy tego świadomość. Imperatyw wolności formował polski ustrój. Uruchomiony został przez możnowładców domagających się współudziału w rządach monarchy i szlachtę zabiegającą o przywileje, które zabraniały dowolnie podwyższać królowi podatki. To początek formalizowania się ustroju republikańskiego, który zaczyna się od obrony własnego stanu posiadania i zapobiegania samowoli królewskiej, a prowadzi do współdecydowania o rzeczy wspólnej. Możnowładcy, a potem cały stan szlachecki, domagali się praw, które z jednej strony stanowiłyby barierę dla królewskiej arbitralności, a z drugiej przyznawały obywatelskie uprawnienia rycerstwu. Ten wolnościowy charakter państwa polskiego wielokrotnie był krytykowany jako przejaw typowego dla naszej nacji anarchizmu i warcholstwa, ale czy to w pozytywnym czy negatywnym ujęciu był podkreślany przez obserwatorów dawnej Polski.

W 1430 r. Władysław Jagiełło na sejmie w Jedlnej ogłosił przywilej „neminem captivabimus”, który uznawał, że nikt ze szlachty nie może zostać uwięziony bez ważnego wyroku sądowego. Deklaratywnie zasada ta została zapisana w angielskiej Wielkiej Karcie Swobód już w 1215 r., ale realnie obowiązywać zaczęła dopiero w 1679 r. po podpisaniu przez króla aktu „Habeas Corpus”. W Polsce była ona przestrzegana już ponad dwa wieki wcześniej. Fundamentem ustroju I Rzeczypospolitej do uchwalenia Konstytucji 3 maja był akt przyjęty na sejmie w Radomiu w 1505 r. i zwany „Konstytucją Nihil Novi”: „Ponieważ prawa ogólne i ustawy publiczne dotyczą nie pojedynczego człowieka, ale całej wspólnoty ludu/.../ przeto postanowiliśmy, iż odtąd na potomne czasy nic nowego [nihil novi] stanowionym być nie ma przez nas i naszych następców bez wspólnego zezwolenia senatorów i posłów ziemskich, co by było ujmą i ku uciążeniu Rzeczypospolitej oraz z czyjąkolwiek szkodą prywatną tudzież zmierzało ku zmianie prawa ogólnego i wolności publicznej.” W obiegowej opinii współczesnych, odsądzany od czci i wiary ustrój republiki szlacheckiej, ośmieszany jest jako źródło anarchii i rozstroju państwa. Jego krytycy nie zauważają, że ponad dwieście lat Rzeczypospolita

**IMPERATYW WOLNOŚCI
FORMOWAŁ POLSKI
USTRÓJ. URUCHOMIONY
ZOSTAŁ PRZEZ
MOŻNOWŁADCÓW
DOMAGAJĄCYCH SIĘ
WSPÓŁUDZIAŁU W
RZĄDACH MONARCHY
I SZLACHTĘ ZABIEGAJĄCĄ
O PRZYWILEJE, KTÓRE
ZABRANIAŁY DOWOLNIE
PODWYŻSZAĆ KRÓLOWI
PODATKI**

funkcjonowała zdumiewająco dobrze i nawet nie przeszkadzało jej w tym liberum veto. A był to kraj wielonarodowy i wieloreligijny. Załamywać zaczął się pod presją obcych sił dopiero w połowie XVII wieku, choć na jego upadek czekać trzeba było do następnego stulecia. Na pozór zdumiewające, że współczesność, która z wolności uczyniła fetysz, nie eksponuje tak niezwykłego w tej mierze doświadczenia. Wręcz przeciwnie, wolnościowy charakter I Rzeczypospolitej stanowi przyczynę jej potępienia. Ahistoryczne zastrzeżenia, że obywatelami w dawnej Polsce była tylko szlachta, równie dobrze zwrócić można by przeciw dumie Anglików z ich wolnościowych tradycji i Wielkiej Karty Swobód, którą słusznie szczycą się oni do dziś. Liczba szlachty w I Rzeczypospolitej zbliżała się do dziesięciu procent społeczeństwa. Uprawnionych do głosowania, czyli uczestnictwa w życiu politycznym, było zatem w ówczesnej Polsce więcej niż przez większość XIX wieku na Zachodzie, gdzie obowiązywał majątkowy cenzus.

Elity mają charakter wzorcotwórczy, a ich postawy ulegają upowszechnieniu. Tak było i w Polsce. Już w XIX wieku dziedzictwo szlacheckie stawalo się własnością całego narodu. Niemniej degeneracja ustroju była dostrzegana także przez jego ówczesnych zwolenników. Wielu rzeczników republikańskiego modelu jak Stanisław Karnkowski, czy Piotr Skarga podkreślało niebezpieczeństwa jego nadużywania i w efekcie przeistaczania się w swoje przeciwieństwo. Wielka postać osiemnastowiecznej Polski, inicjator jej edukacyjnej reformy, Stanisław Konarski w dziele „Epistolae familiares” wskazywał, że tak ceniona przez szlachtę wolność zostanie utracona wraz z upadkiem państwa. Kto będzie bronił waszej wolności, kiedy upadnie Rzeczypospolita – zapytywał retorycznie pijar. Zrozumienie zależności wolności negatywnej od pozytywnej, indywidualnej od zbiorowej prezentowane przez polskich, republikańskich teoretyków dowodzi, iż rozumowali oni głębiej niż współcześni nam liberałowie, którzy fetyszyzują jednostkową wolność negatywną. Wielką próbą przeciwdziałania degeneracji ustroju był Sejm Wielki zwieńczony Konstytucją 3 maja. To w preambule do niej znajdujemy sławne sformułowanie: „Wolni od hańbiącej przemocy obcych nakazów”. Przedsięwzięcie to nie doprowadziło do odrodzenia Polski tylko

z powodu interwencji obcych potęg. To ze zrozumienia osadzenia wolności w porządku etycznym wyrosła piętnastowieczna, krakowska szkoła prawa narodów, która święciła sukcesy na soborze w Konstancji. To tam profesorom Uniwersytetu Jagiellońskiego, Pawłowi Włodkowicowi i Stanisławowi ze Skarbimierza udało się przekonać zebranych do odrzucenia zasady nawracania siłą na chrześcijaństwo. Romantyczne hasło „Za wolność naszą i waszą” wymyślone najprawdopodobniej przez Joachima Lelewela, wyrastało z tego nurtu. Wbrew karykaturze, w której polskie dziedzictwo zwykle jest przedstawiane, nie stanowiło wyrazu oderwanego od rzeczywistości idealizmu, ale trzeźwe powiązanie zasad etycznych z praktyką polityczną. Pisane na sztandarach Powstania Listopadowego po polsku i rosyjsku, odwołując się do rewolty dekabrystów, miało na celu przeniesienie idei wolności do Rosji. Ten pomysł okazał się skazany na niepowodzenie, co nie znaczy, że nie warto go było podejmować. Hasło „Za wolność naszą i waszą” wiązało się ze szczególną pozycją narodu umiejscowionego pomiędzy potężniejszymi sąsiadami, których despotyczne ustroje – zwłaszcza w wypadku Rosji – zasadniczo przeciwstawiały się polskiemu republikanizmowi. W geopolitycznym układzie w jakim odnajdował się nasz kraj, szansę stanowiło niepodległościowe przebudzenie podporządkowanych Moskwie narodów, w sojuszu z którymi bylibyśmy w stanie stawić jej czoła. .



Upadek komunizmu, a więc odzyskanie podmiotowości i niepodległości przez Polskę, wydawać by się mogło właściwym okresem na przemyślenie i odbudowanie naszej tożsamości. Niestety, stało się zupełnie inaczej. Złożyły się na to powiązane ze sobą czynniki wewnętrzne i zewnętrzne. Solidarność udowodniła, że komunizm nie osiągnął swoich celów. Natomiast III RP pokazała, jak głęboko przeorał on społeczną i mentalną strukturę narodu. Dawne elity eksterminowane przez Niemców i Sowieców w trakcie wojny oraz bezpośrednio po niej, już w nowym państwie, marginalizowane przez cały okres jego trwania, zastąpione zostały przez establishment z komunistycznego nadania. W niewielkim stopniu przetrwały elity lewicowe. Największe perspektywy awansu stwa-

rzał PRL ludziom wykorzenionym, obojętnym lub wrogim polskiej tożsamości. Przełom 1956 roku wstrząsnął wiarą w komunizm tak w Europie, jak i w jego intelektualnej reprezentacji w krajach sowieckich. Rozliczenie systemu uosabiane przez rewizjonizm było jednak płytkie i nie zakwestionowało fundamentów ideologii. Realizacja komunizmu zaatakowana została przez jego dawnych wyznawców za odejście od emancypacyjnych założeń i petryfikację w dogmatyczny system państwowy. „Kapitał” zakwestionowany został w imię „Rękopisów ekonomiczno-filozoficznych”. Zrealizowany komunizm miał być winny tego, że upodobił się do tradycyjnego systemu religijno-politycznego i zaprzepaścił swój utopijny potencjał. To nie ideologia odpowiedzialna była za „błędy i wypaczenia” systemu, ale odejście od niej. Solidarność porwała również intelektualne elity PRL-u, których znacząca część zbuntowała się przeciw totalitarnemu państwu. Załamanie się komunizmu doprowadziło jednakowoż do odwrócenia sojuszy. Elity, które trapił grzech pierwotny nieprawego poczęcia i wszystkich związanych z tym kompromisów, pomimo akcesu do Solidarności żywiły lewicową nieufność i lęk wobec narodu. Jest to wyłączenie pozorny paradoks. Lewica chce zmienić świat w imię wyzwolenia uciemżonych, ale ma przesłanie o „uwięzieniu ich” również w tradycyjnej religii i kulturze. Dotychczasowe tożsamości są jej przeciwnikiem. Ludzi kształtowanych przez nie trzeba emancypować, ale bez złudzeń, że są do tego chętni i gotowi. Lenin podkreślał, że partia ma wnieść świadomość do klasy robotniczej. Tę samą ideę propagowała na rozmaite sposoby, odwołując się do różnej praktyki politycznej, przeważająca liczba lewicowych teoretyków w tym, wydawałoby się tak odległych od leninowskiej ortodoksji, jak Antonio Gramsci. Protekcyjny stosunek do niższych klas, którym rewolucjoniści mieli zapewnić awans, jest typowy dla rzeczników fundamentalnego przekształcenia społeczeństwa już od czasów oświecenia. Zwolennicy rewolucji czy ogólnie, zasadniczej transformacji społecznej,

PROTEKCYJNY STOSUNEK DO NIŻSZYCH KLAS, KTÓRYM REWOLUCJONIŚCI MIELI ZAPEWNIĆ AWANS, JEST TYPOWY DLA RZECZNIKÓW FUNDAMENTALNEGO PRZEKSZTAŁCENIA SPOŁECZEŃSTWA JUŻ OD CZASÓW OŚWIECENIA

żyli niechęć do „reformizmu”, a więc i organizacji działających na rzecz poprawy grup uciskanych, w tym również do związków zawodowych. Celem ich było totalne wyzwolenie, a poprawa warunków bytowych rozbijała rewolucyjny potencjał i demobilizowała lud. Rewolucjoniści wchodzili z reformistami wyłącznie w taktyczne aliansy i traktowali ich niechętnie oraz instrumentalnie. Frazes, że lewica w przeciwieństwie do prawicy dąży do poprawy bytu uciskanych, jest fałszywy i świadczy jedynie o jej mentalnej dominacji. Fundamentem lewicowego myślenia jest projekt budowy nowego świata. Oczywiście, w praktyce politycznej, zwłaszcza w kontekście funkcjonującej demokracji, ideowe założenia wielokrotnie ulegają zatarciu i ustępują na rzecz doraźnej walki o władzę oraz konkretnych rozwiązań, które z intelektualnymi pryncypiami mogą nie mieć wiele wspólnego. Niemniej rodowód ideologii lewicowych ma zasadnicze znaczenie dla podstaw jej konsekwentnych rzeczników. Załamanie się PRL-u to burzliwy okres, w którym presja doraźnej polityki utrudniała rozpoznanie stanu rzeczy. Zwłaszcza, że staro-nowy establishment przesłonił go wytwarzaną przez media i ośrodki opiniotwórcze wizją, wprawdzie odległą od rzeczywistości, ale prezentowaną jako bezalternatywny opis świata i zarazem model jego rozwoju. Polska miała się do niego dostosować. Prawda o III RP okazywała się równie nienazwana co w czasach komunizmu. Z dnia na dzień mieliśmy się odnaleźć w pełnej demokracji i rynkowym kapitalizmie, a wrogami ich mieli być ci, którzy wskazywali, jak bardzo nowy system odstaje od głoszonych zasad i jak bardzo zamykanie na to oczu uniemożliwia przekształcanie go w kierunku założonego wzoru. Dodatkowym czynnikiem utrudniającym rozpoznanie nowych zjawisk była ideologiczno-polityczna transformacja Zachodu, która wymykała się obowiązującym ciągle pojęciom i schematom myślowym. Wpłynęła ona zasadniczo na kształt III RP. Nomenklatura PRL-u godząc się z tym, że jej politycznego monopolu obronić się dłużej nie da,

usiłowała zachować, gdzie mogła, dawne, dominujące układy, a zwłaszcza uwłaszczyć się na państwowym majątku. Udało się jej to w dużej mierze na skutek porozumienia z częścią solidarnościowych elit. Zmiana sojuszy musiała wiązać się z odrzuceniem solidarnościowego etosu, a nawet zakwestionowaniem go jako zagrożenia dla modernizacji kraju. Czołowy ideolog III RP, Adam Michnik już w 1989 roku pisał, że dotychczasowy podział na komunistów i antykomunistów mamy za sobą i zastąpić winien go nowy — na zwolenników Polski otwartej i jej przeciwników. W nowych warunkach, według naczelnego „Wyborczej”, najbardziej grożą nam fundamentalizmy: religijne i moralne. Wynikała z tego odmowa dekomunizacji, a więc przywrócenia ładu etycznego, a w konsekwencji i społecznego. Mieliśmy zaakceptować rzeczywistość ze strukturą wywiedzioną bezpośrednio z PRL-u, z postkomunistycznymi układami, które dominowały gospodarkę, administrację i hierarchię kultury. Z dnia na dzień dowiedzieliśmy się, że Polacy mają już dość historii. Wprawdzie w trakcie istnienia PRL-u nie sposób było go opisać, a podziemne czy emigracyjne publikacje mogły wyłącznie dotknąć niektórych aspektów życia społecznego, ale prawodawcy III RP kazali nam zamykać oczy na to, co było wcześniej. Należało „wybierać przyszłość”, dla której obciążeniem miało być rozpamiętanie przeszłości. Poczęci na okrągłym stole mieliśmy urodzić się wraz z rządem Tadeusza Mazowieckiego. Podejście takie czyniło Polaków ślepych na nową rzeczywistość i pozwalało wyłącznie ją akceptować. Nastąpiła błyskawiczna zmiana języka. Dla Solidarności słowa klucze to: wolność, niepodległość, wspólnota narodowa i jej etos. W III RP jak w kapeluszu iluzjonisty zostają one zastąpione przez: transformację, modernizację i europeizację. Rzeczywistość społeczna prezentowana była jako mechanizm, który po zastosowaniu odpowiednich algorytmów prowadził nas będzie do właściwych rozwiązań. Zamieszkujący go ludzie nie mieli mieć znaczenia dla jego funkcjonowania. Język odzyskującej tożsamość wspólnoty wymieniony został na technokratyczny żargon. Ten nowy słownik był równocześnie programem. Polska miała się transformować, a więc odejść od swojej tożsamości, w imię modernizacji. Miała się też europeizować, czyli rozpuścić w nowej europejskiej wspólnoty. A polskość miała być w tym przeszkodą i zagrożeniem. Czytaliśmy, że PRL wytworzył w naszym kraju mentalność roszczeniowego homo sovieticus, który stopił się z ksenofobicznym, endeckim syndromem królującym podobno w tradycji polskiej. Od wirusa sowieckiej mentalności wolni mieli być wyłącznie członkowie nomenklatury, którzy byli nań już zaszczepieni. Z pewnością zaszczepieni byli przeciw polskiej tożsamości, gdyż działając na rzecz PRL-u, a na tym polegała polityczna w nim kariera, działali przeciw narodowej wspólnoty, jej podmiotowości i specyfice. Traktowanie polskiej tożsamości jako głównej przeszkody dla modernizacji, jako atawizmu, który należy przezwyciężyć, aby odnaleźć się we współczesnym świecie, łączyło część

**NOMENKLATURA PRL-U
GODZĄC SIĘ Z TYM, ŻE
JEJ POLITYCZNEGO
MONOPOLU OBRONIĆ SIĘ
DŁUŻEJ NIE DA, USIŁOWAŁA
ZACHOWAĆ, GDZIE MOGŁA,
DAWNE, DOMINUJĄCE
UKŁADY, A ZWŁASZCZA
UWŁASZCZYĆ SIĘ NA
PAŃSTWOWYM MAJĄTKU**

wywodzących się z lewicy elit opozycyjnych oraz komunistyczny establishment i cementowało sojusze obu grup. Zgodnie z tym podejściem komunizm nie był wprawdzie dobry, ale rozmontowanie przezeń tradycji krajów, które opanował, w tym Polski, obiektywnie służyło postępowi, a zatem należy policzyć to na plus ustrojowi, a jego bilans miał być bardziej złożony, niż głosili to antykomuniści w myśl liberalnego credo, z zasady prymitywni. To podejście usprawiedliwiało, a nawet dowartościowywało, była nomenklaturę, która w nowym ustroju występowała w kostiumie fachowców i przedsiębiorców. Reorientacja środowisk, których intelektualnym liderem był Michnik, łączyła rachuby polityczne z głębokimi lewicowymi obawami przed polskim, ufundowanym na katolicyzmie, nacjonalizmem. Splatała się ona z lękiem przed wybuchem, grożącym utratą władzy politycznej, środowiskom, które przejęły ją w 1989 roku. To, że wyobrażenia rządzących o współrodakach zasadniczo rozmijały się zarówno z realiami pokomunistycznego kraju, jak i prawdą o polskiej tożsamości, nie miało znaczenia. Autentyczna była obawa o władzę nowego establishmentu przekonanego, że tylko on przeprowadzić może naród do ziemi obiecanej liberalnej demokracji i kapitalizmu. W swoim mniemaniu tylko on mógł dokonać upragnionej transformacji, a Polacy mieli się jej poddać i nie przeszkadzać. Dokonywana przecież była dla ich dobra. Postawa ta była zaprzeczeniem idei Solidarności i jej intuicyjnej strategii. Tamten republikański ruch miał uwolnić polski potencjał — budowniczości III RP robili wszystko, aby go spacyfikować. Nie było to trudne po destrukcji, którą przyniósł stan wojenny. Solidarność sięgała do tradycji w celu odbudowy narodowej tożsamości — III RP głosiła modernizację imitacyjną. Mieliśmy naśladować zachodnią Europę. Prosta obserwacja odsłania nonsensem tego projektu, który oparty jest nie na wiedzy, a mitologii. Europa stworzyła wprawdzie w miarę jednolitą cywilizację, ale jej specyfiką było różnicowanie, rozwój w narodowych, odmiennych wariantach. Modernizacja w Anglii, Francji czy Niemczech przebiegała odmiennymi torami, które osadzone były na kulturowym, społecznym i gospodarczym różnicowaniu narodów i krajów. W konkretnych społeczno-gospodarczych reformach nie można naśladować Europy jako takiej, ale któreś z jej

wcieleń. Czas upadku komunizmu to równocześnie wchodzenie Europy w głęboką stagnację, co naturalnie trudno było dostrzec z perspektywy przasnej postkomunistycznej realności. Niemniej, jeśli mieliśmy naśladować rozwiązania Zachodu to z fazy jego rozwoju a nie zastoju, żeby nie powiedzieć, chylenia się ku upadkowi. I, co najważniejsze, historia modernizacji demonstruje, że jej imitacyjne warianty, które siłą rzeczy muszą mieć charakter inżynierii społecznej, gdyż narzucają na zbiorowości obce im wzory, nie sprawdzają się. Szansę na rozwój mają narody, które nowe formy osadzają na własnej specyfice. Skuteczne i imponujące doświadczenia Japonii, Korei czy Taiwanu miały taki właśnie charakter. Natomiast podejście kreatorów III RP wyrastało z kompleksów, które były charakterystyczne dla zbiorowości o historii podobnej do naszej. A postawy takie nie prowadzą do niczego dobrego. Czas komunizmu pogłębił u Polaków syndrom, który trapił ich i wcześniej. Marzyliśmy o tym, aby żyć jak na Zachodzie, w krajach wolnych i niepodległych, zasobnych i racjonalnie funkcjonujących. PRL w ramach negatywnej propagandy bombardował nas czarnym obrazem Zachodu, jego karykaturą. Na zasadzie odruchu wahadła odmawialiśmy dostrzegania pojawiających się w Europie niebezpiecznych zjawisk, które coraz głębiej drażyły cywilizację Zachodu. Nie dostrzegaliśmy ani jej różnicowania, ani ewolucji, prowadzącej do zaprzeczenia zasadom, z których wyrosła. Naprzeciw strategii konstruktorów III RP wychodziła ideologia emancypacji, która wraz z traktatem w Maastricht nieomal oficjalnie wpisana została w doktrynę integrującą się Europę. Mieliśmy wyemancypować się z narodowej, a więc i kulturowej tożsamości. Główną metodą, którą dla osiągnięcia tego celu stosowali twórcy III RP, była pedagogika wstydu. Pojęcia tego po raz pierwszy użyłem w wystąpieniu na konferencji zorganizowanej pod patronatem prezydenta Lecha Kaczyńskiego w 2009 roku, które opublikowałem później w artykule zatytułowanym „Polityka i pedagogika historyczna III RP”. Od tego czasu termin ten upowszechnił się. Chodzi w nim o potraktowanie historii jako narzędzia do niszczenia tożsamości wspólnoty. To stronnicze wydobywanie z jej dziejów wyłącznie zjawisk negatywnych, wyolbrzymianie ich i wyrywanie z kontekstu, a także abstrahowanie od uniwersalnych prawidłowości, po to,

aby odpowiedzialnością za zło obarczyć narodową specyfikę. Ma to obrzydzić wspólnocie jej tradycję. W ten sposób przekształca się ona w rejestr wydarzeń głupich a nawet podłych, a w każdym razie wstydliwych, które należy potępić wraz z całym dziejami zbiorowości. Interpretacja ta ma prowadzić do odrzucenia własnej historii, w której jedynymi jasnymi punktami stają się próby zakwestionowania jej podstaw. Rzecznicy tego podejścia dążą do przekreślenia narodowej tradycji oraz tożsamości, a w wypadku Polski do roztopienia jej w Europie. Ponieważ jednak ciągle nie występuje mocna tożsamość europejska i ciągle stanowi ona sumę odrębnych, narodowych jej wariantów, realnie jest to propozycja imitowania innych wspólnot. Przy podejściu takim dla Polaka awansem byłby status prawie Francuza czy prawie Niemca. To postawa elit skolonizowanych narodów. Przekroczenie własnej historii łączy się z odnotowaną już interpretacją narodu jako formy stosunkowo świeżej i ideologicznie skonstruowanej przez nacjonalistów. Rzeczywistość przeczy temu i stawia pod znakiem zapytania możliwość odejścia od swojej historii. Ale ideologia nigdy się z nią nie liczyła.

Laboratoryjnym przykładem zastosowania pedagogiki wstydu jest przedstawienie Polaków jako współników Holocaustu. Sprawa ta ma szczególny wymiar z powodu znaczenia tej zbrodni, która uniwersalnie funkcjonuje jako upostaciowanie ostatecznego zła. Uczynienie z Polaków, wbrew historycznej prawdzie, współsprawców zagłady Żydów, ma zasadniczy wpływ na ich międzynarodowy wizerunek, a więc i na ich polityczne aktywa, tzw. soft power. Deformację naszej historii wzmacniają antypolskie uprzedzenia, które wyrastają jeszcze z oświecenia i są pochodną antykatolickiego nastawienia liderów ówczesnej opinii. Tytułem istotnej dla tego zagadnienia dygresji odnotować warto, jak budowany był już prawie od trzystu lat antypolski stereotyp. Opisuje to w pracy „Wynalezienie Europy Wschodniej” historyk amerykański, Larry Wolf. Pokazuje, jak liderzy oświecenia wymyślili Europę wschodnią jako negatywny punkt odniesienia dla swojej wizji postępu. Wcześniejsza, cywilizacyjna stratyfikacja kontynentu to podział na południe i północ, w którym to pierwsze uosabiało kulturę w przeciwieństwie do północnej dzikości. Dla Włochów jeszcze w XVI wieku to Francja była wcieleniem barbarzyństwa. Nic dziwnie-



go, że nie podobało się to wywodzącym się z tego kraju liderom oświecenia. Szczególna rola w tworzonej przez nich podziale przypadła Polsce ze względu na jej katolickość, która była głównym ich wrogiem, „hańbą” ówczesnego świata, jak pisał Wolter. Nieprzypadkowo do tego barbarzyńskiego regionu nie została zaliczona Rosja, która wręcz przeciwnie - stała się ośrodkiem nadziei i miejscem pielgrzymek intelektualistów francuskich, a jej władczyni, Katarzyna II została przez tego samego Woltera nazwana Semiramidą północy. Wspominałem już o specyficznym stosunku radykalnych postępowców do demokracji. Im bardziej jest ona dla nich ideałem, tym większy niesmak wywołuje u nich jej realny kształt. Za to despoci, naturalnie oświeceni, budzą nadzieję u intelektualistów zawsze gotowych odgrywać rolę doradców księcia. Taką pozycję usiłował u boku Fryderyka II zająć Wolter i wprawdzie po upływie miodowego miesiąca musiał salwować się upokarzającą ucieczką, ale, jak to intelektualisty, niczego go to nie nauczyło. Swoje afekty przeniósł na Semiramidę północy, którą adorował także Denis Diderot i inni. Sentyment projektodawców nowych światów do dyktatorów jest zrozumiały.

W sposób stosunkowo swobodny mogą formować oni materię społeczną, co jest marzeniem ich intelektualnych admiratorów, w przeciwieństwie do systemów, w których obywatele mają coś do powiedzenia i sprzeciwiają się przeprowadzanym na nich eksperymentom. Stąd pielgrzymki oświeconych intelektualistów do nowych despotów i adoracja ich władców od XVIII wieku poczynając, aż do stulecia minionego, kiedy to obiektem ich uniesień był Stalin, Mao, Castro i pomniejsi. Rozbioru Polski dokonali oświeceni despoci, niekiedy wzruszając się losem jej mieszkańców, jak Fryderyk II, który w liście do d’Alamberta, innego z sympatyzujących z nim liderów francuskiego oświecenia, napisał o Polakach: „Biednych tych Irokezów będę się sta-

SENTYMENT PROJEKTODAWCÓW NOWYCH ŚWIATÓW DO DYKTATORÓW JEST ZROZUMIAŁY. W SPOSÓB STOSUNKOWO SWOBODNY MOGĄ FORMOWAĆ ONI MATERIE SPOŁECZNĄ, CO JEST MARZENIEM ICH INTELEKTUALNYCH ADMIRATORÓW, W PRZECIWIEŃSTWIE DO SYSTEMÓW, W KTÓRYCH OBYWATELE MAJĄ COŚ DO POWIEDZENIA

rał oswoić z cywilizacją europejską”. Ponieważ rozbiory nie mieściły się w jej zasadach, a zaborcy pragnęli ją reprezentować, podbojowi Rzeczpospolitej towarzyszyła wielka akcja propagandowa, przedstawiająca przedsięwzięcie to jako misję cywilizacyjną. Intelektualiści francuscy, którzy nie mieli o Polsce pojęcia i wiedzieli jedynie, że jest zacofana, bo katolicka, chętnie w tej operacji uczestniczyli. Odniosła ona sukces również wewnątrz naszego kraju, w którym także, na zasadzie resentymentu, przejmowane były antynarodowe klisze. Polska XVIII wieku nie prezentowała budującego obrazu, toteż wielu patriotów myślało o zasadniczym odejściu od jej tradycji, co nierzadko powodowało przekształcenie się sfrustrowanej miłości ojczyzny w ojkofobię. To wtedy rozpoczęła się wojna kontusza i fraka, który pierwotnie miał rodowód niemiecki i wiązał się z dynastią saską. Wydawało się, że kres owemu konfliktowi położył romantyzm, który był zarówno nowoczesny, jak i rewindykował polskie, republikańskie dziedzictwo. Kiedy jednak na początku lat 90. minionego wieku, wyrażając stan ducha ówczesnego establishmentu, Maria Janion ogłosiła koniec paradygmatu romantycznego, wspomniana wojna wybuchła na nowo i trwa w najlepsze po dziś dzień.

Z tym, że obecni czciciele kontusza generalnie wyzyli się klasowej buty zwłaszcza, że nie ma już szlachty, której herby mogliby nosić. Natomiast stronnictwo fraka nie nauczyło się niczego i wręcz radykalizuje likwidatorskie zapędy swoich poprzedników. To samo odnosi się do wizerunku Polski na arenie międzynarodowej, w dużej mierze kształtowanego przez skuteczną politykę historyczną Niemiec i Rosji. Splatają się one z postawami generowanymi przez ideologię emancypacji, dla której polska narodowa i katolicka tożsamość jest czymś nie do zaakceptowania. Wrogię Polsce stereotypy nie znajdują przeciwdziałania ze strony establishmentu polskiego, nastawionego krytycznie, by nie powiedzieć wrogo, do polskiej tożsa-

mości. Zjawiska te obserwować możemy w batalii wokół pamięci o II Wojnie Światowej i holocaustie. Czy nie było w II Rzeczpospolitej antysemityzmu? Był. Stanowił naturalną konsekwencję religijno-kulturowego antagonizmu, zwłaszcza w Polsce, w której żyła największa liczba ludności żydowskiej w Europie. Sporą jej część stanowili „litwacy”, Żydzi uciekający przed pogromami, które dziesiątkowały ich w Rosji. Nie znali kultury ani języka kraju, w którym się znaleźli i byli przeciwnikami znaczących tendencji asymilacyjnych Żydów polskich. Nie mało bowiem Żydów wtopiło się w kulturę oraz historię naszego kraju i wzbogaciło ją. A I Rzeczpospolita w stosunku do Żydów była wyjątkowo gościnna na tle ówczesnej Europy. W trakcie II Wojny Światowej polski rząd emigracyjny i państwo podziemne traktowały obywateli polskich pochodzenia żydowskiego tak samo, jak wszystkich innych. Oficjalnym dekretem legalnych władz polskich „szmalcownictwo”, czyli wydawanie Żydów Niemcom, karane było śmiercią. To polski rząd emigracyjny i emisariusze państwa podziemnego robili wszystko, aby alianci przeciwdziałali tragedii Żydów w okupowanej Polsce. Bezskutecznie. Takie było stanowisko władz polskich i to powinno sprawę wyczerpywać. Kraj podbity, w którym działają władze okupacyjne, nie ponosi żadnej odpowiedzialności za to, co robią one na jego terenie. Powstała Rada Pomocy Żydom przy Delegaturze Rządu RP na Kraj, która usiłowała nieść pomoc prześladowanym. Niebawem ważną działaczką tej organizacji była pisarka, Zofia Kosak-Szczucka, którą przed wojną zasadnie uznać można było za antysemitkę. To nie jedyny tego typu przykład, który pokazuje, że konfliktów czasów zwyczajnych nie wolno przenosić na sytuacje ekstremalne. Czy polskie organizacje podziemne mogły zrobić więcej dla ratowania Żydów? Czy AK miała się rozbroić, dostarczając więcej uzbrojenia, niż to zrobiła, powstańcom w getcie, którzy wiedzieli, że skazani są na klęskę? Nie sposób odpowiedzieć na tak postawione pytania. Wiadomo, że osoby i środowiska, które tak łatwo formułują oskarżenia pod adresem Polaków, nie znają warunków, w jakich znaleźli się oni w czasie wojny i ich odmienności w stosunku do okupowanych krajów zachodniej Europy. Terror i spowodowana nim walka o przetrwanie były na ziemiach polskich nieporównywalnie bardziej brutalne. Za pomoc

Żydom groziła śmierć nie tylko tym, którzy jej udzielali, ale i wszystkim, którzy nie donieśli o tym władzom. Poza Serbią nie było tego w innych okupowanych przez Niemców krajach. W II Rzeczpospolitej mniejszość niemiecka liczyła ponad 700 tys. osób. Liczni jej przedstawiciele przystąpili do formacji okupacyjnych. Zнали język oraz warunki i nie sposób było odróżnić ich od Polaków. Granatowa policja, w której służyli głównie pod przymusem Polacy, była formacją niemiecką. Często pod groźbą śmierci Polacy zmuszani byli do uczestnictwa w akcjach pościgowych przeciw Żydom. Sytuacje, w których wbrew woli zmuszani byli do pomocy Niemcom można mnożyć. W nieludzkich warunkach rozrasta się margines społeczny, który zawsze kieruje się przeciw najbardziej bezbronny. Podczas wojny byli to Żydzi. Od nich z kolei trudno oczekiwać, aby w sytuacji zagrożenia życia, w obliczu zagłady, która niszczyła ich rodziny i całą społeczność, ważyli racje i bezstronnie oceniali postawy ludzkie. To, co zdominowało ich pamięć to trauma i poczucie zagrożenia, które nieść ze sobą mógł każdy spotkany Polak. Natomiast od historyków, ludzi, którzy zajmują się oceną tamtych czasów, wymagać należy dystansu i analizy porównawczej. Jak na tle innych zbiorowości zachowywali się wówczas Polacy? Ocena ta nie przynosi nam wstydu. Na świecie przeważa jednak przeświadczenie odwrotne. Źródłem tego należy szukać we wspomnianej już polityce pamięci Niemiec i Rosji, a także lewicowych środowisk wrogich polskiej tożsamości. Ze wspomnianych powyżej względów postawę tę w dużej mierze prezentuje establishment III RP, który sekunduje oskarżaniu Polaków o współwinę za holocaust.



Sprawa ta, jakkolwiek najbardziej drastyczna, jest tylko jedną z operacji, które uderzyć mają w polską tożsamość. Inną odsłoną pedagogiki wstydu jest tzw. „historia ludowa”. Z założenia ma to być nowa, pisana z perspektywy grup upośledzonych, wizja dziejów, sytuująca się w opozycji do klasycznego jej ujęcia. Rzecznicy „postępowej” szkoły utrzymują, że tradycyjne dziejopisarstwo prezentowało punkt widzenia elit. Charakterystyczny dla lewicy projekt historii ludowej wywodzi się z marksowskiego traktowania kultury jako ideologii klas pa-

nujących i budzi wątpliwości już w punkcie wyjścia. Nie tyle bada, co uzasadnić ma założone uprzednio tezy. Jego autorzy oskarżają istniejącą naukę historii o racjonalizację klasowego status quo, ale sami nie ukrywają swojego politycznego zaangażowania. Nie znaczy to, że nie mogą przyczynić się do odsłonięcia marginalizowanych dotąd aspektów przeszłości. W lansowanym przez establishment III RP wydaniu, ta nowa szkoła o imitacyjnym charakterze, ma wręcz karykaturalne zabarwienie i przedstawia dzieje Polski jako piekło chłopów-niewolników zredukowanych przez szlachtę do roli bydła roboczego. Można odnieść wrażenie, że jego autorzy startują w konkurencji: kto gorzej odmaluje stan I Rzeczypospolitej i dolę polskiego włościanina. Jego status ma być czarną plamą na tle ówczesnej Europy. Autorzy ci, nie przejmują się realiami ani nie porównują autentycznej egzystencji chłopów w Polsce z położeniem tej samej grupy w innych krajach naszego kontynentu. Historia ludowa wygląda jak przedłużenie historycznej propagandy PRL-u, której celem było obrzydzanie Polakom ich dziejów. Uzasadnić miało to rewolucyjne z nimi zerwanie. Różnica polega na tym, że propagandyści PRL bardziej liczyli się z faktami i świadectwami niż ich współcześni następcy. Z czasem komunistyczne władze uznały, że strategia ta nie przynosi rezultatów i muszą odwołać się do odpowiednio zmodyfikowanej historii, tzn. uznać się za kontynuatorów niektórych, odpowiednio spreparowanych tradycji polskich. Autorzy ludowej historii takiej potrzeby nie czują. Można wyliczać inne podobne przedsięwzięcia np. próbę dezawuowania antykomunistycznego ruchu oporu w naszym kraju. Działania te ścierają się z przedsięwzięciami, które mają na celu przywrócić Polakom ich historię. Często mają one charakter spontaniczny, jak budzenie pamięci o żołnierzach wyklętych, czym pierwotnie zajmowali się głównie ludzie młodzi, odwołując się do rodzinnej pamięci. W wymiarze instytucjonalnym rolę nie do przecenienia odgrywa Instytut Pamięci Narodowej, toteż jest on bezpardonowo atakowa-

HISTORIA LUDOWA WYGLĄDA JAK PRZEDŁUŻENIE HISTORYCZNEJ PROPAGANDY PRL-U, KTÓREJ CELEM BYŁO OBRZYDZANIE POLAKOM ICH DZIEJÓW. UZASADNIĆ MIAŁO TO REWOLUCYJNE Z NIMI ZERWANIE

ny przez lewicowo-liberalną stronę polskiej sceny politycznej. Pedagogika wstydu III RP jest kontynuacją i rozwinięciem komunistycznego podejścia do historii, tak jak ideologia emancypacji stanowi rodzaj absorbującego liberalizm postmarksizmu. W duchu pedagogiki wstydu mieści się próba niszczenia wizerunku polskiego Kościoła i jego bohaterów, takich jak Jan Paweł II czy prymas Wyszyński. Przypadki pedofilii prezentowane są jako norma, a Kościół jako przestępczy gang. Niechęć do polskiej tradycji prowadzi w szeroko lansowanych książkach do dowartościowania zaborów, które podobno przyniosły Polsce modernizację. I rzeczywiście, w I Rzeczypospolitej nie było kolejnictwa na ziemiach polskich, a pod zaborami się pojawiło. Te i inne operacje wymierzone w polską tożsamość oraz broniące jej instytucje cieszyć się mogą sukcesami ze względu na wsparcie głównego nurtu mediów oraz kultury masowej, które zasilane są dotacjami z zagranicy, a często reprezentowane przez zagraniczne podmioty. Ich ideologizacja oraz rola, którą odgrywają w emancypacyjnej rewolucji, wymagałyby osobnego opisu. Zmagania o polską tożsamość, których doświadczamy wewnątrz kraju, wpisane są w batalię cywilizacyjną wstrząsającą dziś całym Zachodem. Jej polityczne symptomy wyrastają z głębszych pokładów kulturomachii. Nowoczesna, reprezentująca sieciową władzę oligarchia, na którą składa się wielki biznes, ośrodki opiniotwórcze czy potężne korporacje z prawniczą na czele, usiłuje zredukować politykę, a więc i demokrację do mało znaczącej fasady. Tradycyjne partie prawicy zostały skolonizowane przez liberalną lewicę i wcale się od niej nie różnią. Wspólnie stanowią reprezentację nowej oligarchii, która w imię liberalnej, indywidualistycznej wolności dąży do „wyzwolenia” człowieka z wszelkich tożsamości, w efekcie pozostawiając samotne i bezbronne jednostki naprzeciw molocha totalnej, choć rozproszonej, władzy. Coraz bardziej pozbawione podmiotowości narody buntują się. Wyrazem tego jest zwycięstwo Donalda Trumpa czy rosnące znaczenie w Europie antyestablishmentowych

ugrupowań, które podważyć chcą oligarchiczne status quo. My w środkowo-wschodniej części kontynentu wyjątkowo mocno odczuwać możemy zagrożenia narodowej tożsamości. Narody takie jak Polacy, Węgrzy czy Czesi mają za sobą utratę własnego państwa i ontologiczne zagrożenie swojego bytu. Przeżyły doświadczenie komunizmu, który usiłował wydziedziczyć je z ich kultury, a zatem pozbawić tożsamości. Czyni je to bardziej odpornymi na kulturowe eksperymenty, które proponuje nowa ideologia. Może być to czynnik chroniący je na falach globalnych wstrząsów. W tym stanie rzeczy walczący z polską tożsamością nie występują z odsłoniętą przyłbicą, a odwołują się głównie do narodowych kompleksów. Strategią ich jest propagowanie pogłębiania (w rzeczywistości centralizacji) wspólnoty europejskiej, która ma jakoby wnieść na wyższy poziom naszą tożsamość. Z pewnością przedwczesne było ogłoszenie końca historii i narodów.



WOJCIECH FAŁKOWSKI

POLSKA
PIASTÓW
I JAGIELLONÓW





Prof. dr hab. Wojciech Fałkowski, ur. 1952, historyk specjalizujący się w historii średniowiecza. Po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Warszawskim otrzymał stanowisko asystenta, z którego został po roku zwolniony w związku z udziałem w akcji pomocy robotnikom z Ursusa po wypadkach w 1976 r. Współpracownik KOR i organizator podziemnych wydawnictw, pozostawał bez pracy do czasu powstania NSZZ „Solidarność”. Przyjęty ponownie na uniwersytet, doktoryzował się w 1986 r. Od 1993 do 2001 r. piastował funkcję sekretarza generalnego Polskiego Komitetu ds. UNESCO. Przez dwie kadencje pełnił funkcję członka Rady Naukowej międzynarodowego programu UNESCO „Pamięć świata”, przez 4 lata przewodniczący tej rady. Habilitował się w 2000 r.; dwa lata później został doradcą prezydenta Warszawy Lecha Kaczyńskiego. Był szefem zespołu szacującego straty miasta w czasie II wojny światowej. Przez cztery lata (2008-2012) wykładał na paryskiej Sorbonie jako profesor gościnny.

Od 2013 r. jest profesorem belwederskim. Wykładał na wielu uczelniach zagranicznych: Maison de Sciences de l'Homme w Paryżu, Institut of Historical Research w Londynie, Uniwersytety w Poitiers, Paris IV-Sorbonne, Georgetown w Waszyngtonie, Cambridge, Getynga, Heidelberg, Münster. Wieloletni przewodniczący Stałego Komitetu Mediewistów Polskich (2003-2012), a między 1994 – 2020 r. redaktor naczelny międzynarodowego rocznika naukowego „Quaestiones Medii Aevi Novae”. W latach 2015 – 2017 wiceminister obrony narodowej. W okresie 2017 – 2024 dyrektor Zamku Królewskiego w Warszawie.

POLSKA

PIASTÓW I JAGIELLONÓW

PAŃSTWO I IDEA

Legendarne początki Polski wyłaniają się z opisów umieszczonych w XI wiecznym dziele anonimowego kronikarza zwanego Gallem oraz z krótkich notatek znalezionych w klasztornych rocznikach, które lakonicznie informują o niektórych wydarzeniach. Okres od pierwszego historycznego wydarzenia, jakim był chrzest Polski w 966 roku do pierwszej koronacji królewskiej w 1025 roku jest tyleż barwny i fascynujący, co tajemniczy i trudny do poznania. Posiadamy relacje o różnej wartości, które przypominają strzępy barwnej tkaniny, pochodzące ewidentnie z różnych jej części z wzorami, które nie składają się w jedną dobrze zakomponowaną całość. Czasami sobie przeczą, rzadko uzupełniają się wzajemnie, najczęściej dają niejasną wskazówkę, która niewiele wyjaśnia.

Na szczęście wiarygodnych faktów dostarcza nam archeologia. Wykopiska na grodach i w miejscach poświadczonych historycznie, prowadzone w ostatnich dziesięcioleciach, w połączeniu z nowoczesnymi metodami datowania odkryć wykorzystującymi dendrochronologię, pozwoliły znacznie poszerzyć nasz horyzont badawczy. Analiza słoików drzew użytych do budowy domostw i umocnień umożliwiła precyzyjną datację inwestycji budowlanych (niekiedy z dokładnością do roku) z pierwszych lat panowania władców Polan. Tak oto z mroku historii zaczął się wyłaniać obraz państwa, które powstawało na obrzeżach chrześcijańskiego świata, poza granica-

**Z MROKU HISTORII
ZACZAŁ SIĘ WYŁANIAĆ
OBRAZ PAŃSTWA,
KTÓRE POWSTAWAŁO
NA OBRZEŻACH
CHRZEŚCIJAŃSKIEGO
ŚWIATA, POZA GRANICAMI
IMPERIUM
KAROLIŃSKIEGO**

mi imperium karolińskiego. Czyli na obszarze słabo rozpoznanym przez podróżników, wędrownych kupców i misjonarzy.

Decyzje, które zapadły w pierwszych dekadach istnienia państwa gnieźnieńskiego (civitas Schinesghe), na dworze legendarnych książąt Siemowita i Siemomysła, a później ich następcy Mieszka I, przesądziły o biegu wypadków w następnych stuleciach. W końcu pierwszej połowy X wieku, niedługo po 930 roku, powstała koniunktura umożliwiająca podbój kolejnych dużych terytoriów sąsiadujących z piastowskim centrum w północnej Wielkopolsce. Z Gniezna ruszyły rozkazy rozpoczynające dobrze zaplanowaną ekspansję na południe w kierunku Śląska, na wschód w stronę Kujawy i poza Poznań ku zachodowi. Działania te musiały być prowadzone z wielką energią znaczącą siłę, konsekwencję i znakomite wyczucie sytuacji. W ciągu mniej więcej 30 lat Piastowie rozszerzyli swoje władztwo kilkakrotnie. Miniaturowe księstwo, identyfikowane ze stołecznym grodem gnieźnieńskim, w ciągu jednego pokolenia stało się największym dominium na całym terytorium zajmowanym dotąd przez małe państewka plemienne. Zyskało także silną i dobrze rozpoznawalną dynastię panującą, która była ceniona na rozległym obszarze znacznie wykraczającym poza ich władanie.

Pierwszy historyczny władca polański, Mieszko został uznany przez żydowskiego kupca Ibrahima ibn Jakuba za „króla północy”, co z pewnością znacznie wykraczało poza jego rzeczywisty status, ale dobrze oddawało prestiż i potęgę. Natomiast nic z przesady nie było w pięknym i bardzo pochlebnym określeniu „przyjaciół cesarza” (amicus imperatoris), które znajdujemy w saskiej kronice Widukinda. Oznaczało ono ważnego sojusznika i bliskiego doradcę Ottona I, który właśnie sięgnął po tytuł cesarski i stał się kontynuatorem wspania-

łej tradycji rzymskiej, wskrzeszonej najpierw przez Karola Wielkiego, a potem długo utrzymywanej w rodzie Karolingów. W X wieku idea ta została z powodzeniem przejęta przez królów wschodniofrankijskich, którzy stworzyli państwo niemieckie. Ich sąsiadem od połowy stulecia był Mieszko, który w tym czasie prowadził dzieło scalania ziem wokół piastowskiego centrum, sięgając u schyłku swego panowania po Śląsk, Sandomierz i Małopolskę. Kolejnymi prowincjami, które pod jego panowaniem weszły w skład tworzonego państwa, były Mazowsze i Pomorze. Powstała dobrze przemyślana organizacja państwowa, składająca się z 6 wielkich prowincji i siatki grodów centralnych, której ślady widoczne są do dziś dnia. W czasie tego panowania zostały zbudowane trwałe podstawy piastowskiego władztwa, które opierało się na dobrze funkcjonującej współpracy podbitych wspólnot plemiennych, sprawnej władzy centralnej związanej z Piastami i atrakcyjnej wizji wielkiego państwa, łączącego podboje ze stabilizacją wewnętrzną.

Decyzją brzemenną w skutki, która na stałe przesądziła o przynależności do cywilizacji Zachodu, było przyjęcie chrztu w obrządku rzymskim i nawiązanie bezpośredniej relacji z papieżem. Data 966 roku stała się symbolicznym początkiem historycznej Polski i w istocie rozpoczęła nową erę w dziejach dynastii, państwa i tworzącego się narodu. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że Mieszko był świadomy znaczenia tego kroku i uważał go za wstęp do bliskich kontaktów politycznych, religijnych i kulturowych z elitą cesarstwa oraz Kościoła powszechnego. Decyzja o chrystianizacji i wyborze kierunku, z którego miała przyjść, nie była wcale oczywista. Wiązała się bowiem z wyraźnym ryzykiem i niepewnymi kalkulacjami dotyczącymi przyszłości. Przykład Związku Wieleckiego, niezłomnie pozostającego przy kulcie swoich bóstw i skutecznie opierającego się próbom zarówno przenoszenia wiary, jak i podporządkowania poli-

**PIASTOWIE ROZSZERZYLI
SWOJE WŁADZTWO
KILKUKROTNIENIE. MINIATUROWE
KSIĘSTWO, IDENTYFIKOWANE
ZE STOŁECZNYM GRODEM
GNIEŹNIEŃSKIM, W CIĄGU
JEDNEGO POKOLENIA STAŁO
SIĘ NAJWIĘKSZYM DOMINIUM
NA CAŁYM TERYTORIUM
ZAJMOWANYM DOTĄD PRZEZ
MAŁE PAŃSTEWKA PLEMIENNE**

tycznego ze strony cesarstwa, z pewnością był bardzo pociągający.

Z kolei jeszcze żywe w pamięci misje mnichów z kręgu bizantyjskiego oraz stale rozpamiętywane barwne opisy i imponujące przykłady z dworu w Konstantynopolu, musiały robić wrażenie i skłaniać do połączenia się ze wschodnim chrześcijaństwem. Przecież niedługo po decyzji Mieszka książęta kijowscy dokonali wyboru na rzecz Bizancjum i w 988 roku przyjęli chrzest w obrządku tam obowiązującym. Wiązało się to wprost z przejściem „greckiej” kultury, włącznie z liturgią, alfabetem oraz językiem duchowieństwa i dyplomacji, a także z wykorzystaniem całej ideologii państwowej oraz zaplecza politycznego i ideowego. Wybór kierunku, z którego ma przyjść chrystianizacja, był decyzją tyleż religijną, co polityczną i kulturową. W praktyce wybór ten oznaczał bezpośredni związek z archidiecezją sprawującą nadzór terytorialny i zgodę na przybycie stamtąd misjonarzy czy zakonników wysłanych z ich macierzystych ośrodków - ludzi wykształconych i obytych w świecie, którzy wywierali decydujący wpływ na kancelarię i dwór księcia. Decyzja Mieszka dała nowy, silny impuls całemu państwu, chociaż opór przeciwko „religijnym nowinkom” i trwanie przy bóstwach przodków musiał być powszechny i długotrwały. Wejście w krąg cywilizacji Zachodu, bliskie związki z rodami cesarstwa i z klasztorami Italii, napływ duchowieństwa, kupców i rzemieślników oraz łatwe i szerokie kontakty dworu z głównymi ośrodkami polityki i kultury pozwoliły na dalszy szybki rozwój państwa i znajomości wśród elity dworskiej.

Trzecim doniosłym dokonaniem Mieszka I było ukształtowanie nowej tożsamości ludzi zamieszkujących jego państwo. Małe społeczności lokalne związane z okręgami opolnymi, grupy etniczne zamieszkujące większe terytoria i w końcu, duże związki plemienne, tworzące wielkie prowincje musiały stworzyć odrębną i zupełnie nową całość. Państwo, które w ciągu dwóch pokoleń, przez niecałe 60 lat, ekspandowało na ogromne przestrzenie innych plemion i wchłonęło pięć dużych prowincji, musiało zostać „sklejone” wewnętrznymi. Mogło się to stać wyłącznie dzięki silnej władzy centralnej i przekonującej idei państwowej. Piastowski książę przeprowadził skuteczny podbój terytoriów należących do wielkich organizacji plemiennych, ustanowił na tych obszarach równomierną siatkę grodów, wprowadził jednolitą administrację i narzucił skuteczną władzę zwierzchnią dzięki licznej i znakomicie przygotowanej drużynie rycerskiej. Drugim czynnikiem była obowiązująca ideologia panującego, która dawała księciu sakrę boską i mandat do rządzenia, przekazany przez hierarchię kościelną. Domy zakonne, eremy i kościoły tworzyły strukturę równoległą do administracyjnej, również powiązaną z księciem. Podporządkowanie wszystkich jednemu ośrodkowi władzy ułatwiało identyfikację z panującą dynastią. Umożliwiało przy tym scalenie drobnych społeczności w wielką organizację państwową, która działała według tych samych wzorców, zarówno na szczeblu dworskim, jak i na poziomie grodowym, w miejscach egzekwowania poleceń

**PODPORZĄDKOWANIE
WSZYSTKICH JEDNEMU
OŚRODKOWI WŁADZY
UŁATWIAŁO IDENTYFIKACJĘ
Z PANUJĄCĄ DYNASTIĄ.
UMOŻLIWIAŁO PRZY TYM
SCALENIE DROBNYCH
SPOŁECZNOŚCI W WIELKĄ
ORGANIZACJĘ
PAŃSTWOWĄ**

i realizowania inwestycji, których skala na terenie kraju była ogromna, niespotykana wcześniej. Pytanie, skąd państwo pierwszych Piastów miało tak wielkie możliwości, pozostaje nadal bez odpowiedzi. Wydaje się jednak, że rozmach inwestycyjny był kolejnym czynnikiem, który zarówno scalał kraj, jak i umożliwiał szybki rozwój cywilizacyjny. Polska Siemomysła i Mieszka osiągnęła w krótkim czasie niezwykle sukces, stając się dużym, stabilnym i bardzo silnym państwem. Potrafiło ono w przemyślany sposób prowadzić ekspansję, a jednocześnie pozostawało obliczalnym i wiarygodnym partnerem największych potęg.

Dorobek pierwszych pokoleń dynastii piastowskiej wziął w swoje ręce najstarszy syn Mieszka, Bolesław Chrobry. Rządy przejął w 992 roku i od razu odsunął od władzy, a następnie wygnał z kraju, przyrodnie rodzeństwo wraz z ich matką, drugą żoną ojca, Odą. W odziedziczonym dominium nie było miejsca na dwuwładzę, ponieważ w dalszym ciągu wyzwaniem była konsolidacja terytorium i wzmacnianie autorytetu jedyne go władcy, który przyjął za cel przekształcenie grodu gnieźnieńskiego w prawdziwe centrum panowania i ideowej dominacji. Oba zamiary realizował konsekwentnie przez cały okres swoich rządów. Zabezpieczenie kraju chciał osiągnąć przez stworzenie zewnętrznego pierścienia prowincji buforowych, które miały chronić przed najazdami według sprawdzonego modelu karolińskiego. W pewnym momencie panowania zewnętrzny łańcuch marchii pogranicznych otaczał państwo Chrobrego niemal ze wszystkich stron. Na południu Bolesław posiadał Czechy i zapewne część Moraw, dalej wzdłuż Odry panował nad Miłskiem oraz Łużycami i nadzorował przeprawy dolnej Odry i Noteci, od wschodu zdobył Grody Czerwieńskie i kontrolował Ruś Kijowską.

Skutecznie prowadzony podbój kolejnych prowincji dawał sposobność zdobywania wspaniałych

łupów i potwierdzał renomę zwycięskiego wodza, który umiejętnie realizował wielki zamysł strategiczny. Zgromadzona drużyna stała się znakomitą formacją wojskową, która pozwalała wojom na gromadzenie bogactw i osiąganie dostojenstw przy księciu. W parze z podbojem krain ościennych Bolesław tworzył rozproszone centrum swojego państwa. Wokół centralnego Gniezna rozwijały się ośrodki kontrolujące duże obszary kraju, wprawdzie ściśle związane z dworem i bezpośrednio podporządkowane władcy, ale z zachowaniem pewnej autonomii i odwołujące się do dawnej plemiennej niezależności. Rola Poznania, Wrocławia, Krakowa i Gdańska nie była kwestionowana i pozwalała każdej z prowincji zachować dużo swobody i mądrze określonej samodzielności. Niezwykła odporność państwa na coraz silniejsze ataki zewnętrzne, od zachodu ze strony króla Henryka II, od wschodu przez księcia Jarosława I i od południa z Czech, wynikała z wielopoziomowej struktury administracyjnej i właściwego podziału kompetencji.

Skuteczne i długotrwałe sprawowanie rządów przez stosunkowo nową i narzuconą starą plemienną dynastię nie byłoby możliwe bez ideologii władzy, która uzasadniała zwierzchnią pozycję księcia oraz wskazywała jasny i przekonujący cel panowania. Wymiar sakralny władzy opierał się na udzielonym błogosławieństwie biskupa i przekazany od Boga pełnomocnictwie do prowadzenia poddanego ludu. Do prowadzenia ambitnej polityki nie wystarczało samo namaszczenie udzielone przy wyniesieniu na tron, musiało więc powstać zaplecze ideowo-religijne, które mogło podnieść

prestż księcia i uzasadnić realizowane zamierzenia. W tym celu Bolesław postanowił przedstawić się jako opiekun akcji misyjnej biskupa Wojciecha, który w 997 roku przez Polskę wyruszył nawracać Prusów. Otoczył go opieką, wyposażył na drogę, a po męczeńskiej śmierci wykupił ciało i sprowa-

dził do Gniezna. Grób męczennika, niemal od razu kanonizowanego, miał nadać głównemu ośrodkowi państwa charakter unikalny i przekształcić go w święte miasto (urbs sacra), zaś samego Bolesława uczynić władcą wyjątkowym i najbardziej chrześcijańskim (christianissimus). Trzy lata później do grobu świętego pielgrzymował cesarz Otto III, który ostatnią część drogi w marcu 1000 roku przeszedł boso, dla umartwienia się i podkreślenia religijnego charakteru podróży.

Pobożna wizyta przekształciła się w polityczne spotkanie dwóch wybitnych władców, z których jeden był panem imperium na miarę Karola Wielkiego, a drugi aspirował do roli bliskiego cesarskiego współpracownika i przyjaciela. Wizja Ottona zakładała cztery części składowe cesarstwa, które obejmowały całe chrześcijańskie uniwersum. Zwróćmy uwagę, że jedyną wielką prowincją nowego imperium, która wykraczała poza model karoliński, była słowiańszczyzna (Sclavinia). Natomiast na obszarze na wschód od Łaby największym i najpotężniejszym państwem było dominium piastowskie, którym rządził niepodzielnie Bolesław Chrobry. Dlatego wyprawa Ottona do Gniezna była nie tylko pielgrzymką do relikwii świętego Wojciecha, ale również realizacją ambitnego zamysłu politycznego. W ramach tego projektu polski władca miał stać się z ramienia cesarza zarządcą ogromnego terytorium na wschodnich rubieżach chrześcijaństwa. Przekazanie przez Ottona w uroczystej ceremonii cesarskiego diademu było oficjalną desygacją Chrobrego na króla i czyniło z niego przyjaciela i współpracownika najwyższego władcy zachodniego świata. Bolesław zyskiwał prestiż, o jakim wcześniej mógł tylko marzyć, zaś Polska stawała się królestwem. Otton wykonał stary gest cesarskiego powołania pomocniczego króla, który otrzymywał w zarząd królestwo powstałe z wydzielonego regionu cesarstwa.

Wraz ze śmiercią Ottona III w 1002 roku upadł plan

odrodzenia wspaniałego i rozciągającego się na prawie cały kontynent nowego cesarstwa rzymskiego. Bolesław Chrobry musiał znaleźć odpowiedź na zupełnie odmienną politykę, którą zaczął prowadzić Henryk II. Nastąpiła seria kampanii wojennych, które doprowadziły do utraty zewnętrznych marchii pogranicznych, ale nie zdestabilizowały państwa. Państwo piastowskie trwało w ustalonych granicach i funkcjonowało bez zmian. Dotąd nie znamy odpowiedzi na pytanie, dlaczego uroczysta i przeprowadzona według wszelkich zasad koronacja Chrobrego nastąpiła dopiero 25 lat po cesarskiej desygacji. Trudno zrozumieć, dlaczego Bolesław „nie poszedł za ciosem” i nie sięgnął po królewską sakrę natychmiast po zjeździe gnieźnieńskim, kiedy

mógł liczyć na poparcie i pomoc cesarza Ottona III. Majestatyczna koronacja odbyła się ćwierć wieku później, jak się okazało, w samym końcu panowania. Król żył po niej jeszcze tylko kilka tygodni. Jego następcą, pierworodny syn Mieszko II, koronował się w krótkim czasie po objęciu tronu, zapewne w Boże Narodzenie 1025 roku.

Odporność państwa na kryzysy, a także trwałość struktur administracyjnych i politycznych dały się poznać już niebawem - podczas najazdu czeskiego księcia Brzetysława, w trakcie gwałtownej reakcji pogańskiej i przez okres przetrzymywania króla w niewoli. Mimo wszystko Polska nie uległa. Po kilku latach pełnych chaosu i zniszczeń powstała jako samodzielny byt państwowy, z ambicjami do odgrywania wiodącej roli w regionie. Piastowie utrzymali się na tronie, chociaż stracili królewską koronę i musieli powrócić do statusu książąt podległych cesarzowi. Co jednak najważniejsze, w dobie klęsk i spustoszeń ugruntowała się polska tożsamość, która wiązała przyszłość kraju i jego mieszkańców z tradycyjną dynastią oraz z terytorium i z mechanizmem politycznym, który funkcjonował w czasie sukcesów i prosperity. Nie doszło

TRUDNO ZROZUMIEĆ, DLACZEGO BOLESŁAW „NIE POSZEDŁ ZA CIOSEM” I NIE SIĘGNAŁ PO KRÓLEWSKĄ SAKRĘ NATYCHMIAST PO ZJEŹDZIE GNIEŹNIEŃSKIM, KIEDY MÓGŁ LICZYĆ NA POPARCIE I POMOC CESARZA OTTONA III. MAJESTATYCZNA KORONACJA ODBYŁA SIĘ ĆWIERĆ WIEKU PÓŹNIEJ, JAK SIĘ OKAZAŁO, W SAMYM KOŃCU PANOWANIA

do trwałego zniszczenia struktur państwowych, które stosunkowo szybko zostały odtworzone.

Wspomnienie św. Wojciecha, opiekuna i patrona kraju, zostało uzupełnione legendą krakowskiego biskupa Stanisława, zabitego przez Bolesława Śmiałego. Mimo zbrodni popełnionej przez panującego, pamięć o biskupie Stanisławie stała się częścią heroicznych dziejów królestwa, zaś Polska zyskała nowego obrońcę i patrona, którego kult rozwinął się niemal od razu po jego śmierci. W dobie rozbicia dzielnicowego postać męczennika weszła do narodowego panteonu przywódców kraju na równi z wielkimi władcami i św. Wojciechem. Kanonizacja w 1253 roku dopełniła dzieła. Św. Stanisław był traktowany jak orędownik zjednoczenia państwa i odrodzenia królestwa, a jego męczeńska śmierć stała się wezwaniem do ograniczenia władzy monarszej i widomym znakiem podmiotowości poddanych. Polska wkraczała w schyłek średniowiecza, widząc w nim symbol słusznego oporu przeciwko tyranii i narzuconej władzy.

Pierwsza po stuleciach koronacja królewska Przemysła II w 1295 roku odbyła się przy akłamacji zebranych dostojników i rycerstwa, co było świadectwem zgodnego obioru władcy oraz powstałego doraźnie konsensusu politycznego. Królestwo polskie powstało z niebytu jako wskrzeszona idea i prawdziwa monarchia, obejmująca centralną część dawnego terytorium piastowskiego. Znaczącym gestem po koronacji było przyjęcie herbu białego orła w koronie, z dewizą mówiącą o „przywróceniu Polakom zwycięskich znaków”. Stara tradycja dynastyczna oraz pamiętana symbolika władzy sprzyjały odrodzeniu tożsamości narodowej oraz powstaniu nowej idei państwa. Polska przełomu XIII i XIV wieku odradzała się jako państwo zjednoczone w ręku jednego panującego, który miał ustanowić porządek i bezpieczeństwo na całym obszarze sobie poddanym oraz dążyć do spełnienia znamion wielkości. Przyszły król, nawiązujący do wielkiej tradycji Bolesławów, „Polak z języka, praw i obyczajów”, miał przywrócić kraj do poprzedniego stanu, umocnić go mądrością i prawem, uwieńczyć chwałą i prestiżem. Koncepcja odrodzonego królestwa była idealizacją wiernie przejętą z traktatów o dobrym władcy, ale wynikała także z marzeń o zjednoczeniu ziem pod



władaniem Piastów i odnowieniu ogólnopolskiej wspólnoty opartej na języku, historii i wrośnięciu w zajmowany obszar ziemi. Istnienie więzi ponadregionalnej zakorzenione było w pamięci i pozostawało ważnym punktem odniesienia w rozważaniach o przyszłej monarchii.

Zjednoczone królestwo polskie pod berłem piastowskich królów musiało sprostać kilku wyzwaniom, które wprost zagrażały jego istnieniu. Pierwszym były dążenia odśrodkowe książąt posiadających dziedziczne włości w różnych rejonach kraju. Ich ambicje szły w parze z awanturnictwem, a prawo do zachowania stanu posiadania rozumieli jako nienaruszalny przywilej sprawowania suwerennej władzy zwierzchniej z możliwością sięgania po cudzą własność. Trwająca anarchia powodowała erozję autorytetów i wzrost potęgi możnych rodów, rozciągających swoje dobra, klientelę i wpływy na coraz większe przestrzenie. Na początku XIV wieku wymogiem chwili stała się odbudowa władzy centralnej wyposażonej w skuteczne narzędzia egzekwowania poleceń, ściągania podatków i danin, pilnowania prawa i bezpieczeństwa oraz manifestowania potęgi i prestiżu. Dokonał tego Władysław Łokietek, który potrafił najpierw zebrać w swoim ręku centralne ziemie królestwa, później narzucić swój autorytet i doprowadzić do powszechnej akceptacji dążeń koronacyjnych, a w końcu zdołał uzyskać bullę papieską ze zgodą na tytuł królewski.

Uroczystość odbyła się 20 stycznia 1320 roku w Krakowie i oznaczała koniec rozbicia dzielnicowego oraz wcielenie w życie powszechnie akceptowanej idei królestwa polskiego. Potwierdzała powrót monarchii z ambicjami do ponownego zjednoczenia wszystkich ziem piastowskich pod jednym berłem, a w pierwszej kolejności połączenie dwóch największych prowincji, Wielkopolski i Małopolski, i dwóch miejsc koronacyjnych, Gniezna i Krakowa. Znaczenie tego aktu dobrze

rozumiała cała klasa polityczna, dlatego wielka gra w obronie granic i tytułu królewskiego, którą prowadził następca Władysława Łokietka, jego syn Kazimierz Wielki, miała niezachwiane poparcie wszystkich głównych rodów i frakcji. Prowadzona przez Luksemburgów akcja propagandowa o królu krakowskim, który nie ma żadnych praw do Polski i rządzi tylko okręgiem wokół Krakowa, nie trafiała na podatny grunt. Aktywna polityka zagraniczna oraz wprowadzenie jednolitych struktur administracyjnych wzmocniło kraj i władcę. Koniec panowania dynastii Piastów na polskim tronie nie oznaczał więc kryzysu, zachwiania państwowości, naruszania granic i upadku autorytetu monarchy. Mimo braku męskiego dziedzica Polska w końcu XIV wieku zachowała status regionalnej potęgi z elitą świadomą swoich praw i obowiązków wobec kraju.

Pierwszą decyzją podjętą przez grupę najważniejszych panów królestwa po śmierci Kazimierza Wielkiego i końcu panowania dynastii Piastów było wyznaczenie węgierskiej królowny, córki Ludwika Węgierskiego, Jadwigi, na króla Polski. Jej koronacja w krakowskiej katedrze jesienią 1384 roku była wyniesieniem na tron w roli pełnoprawnego i dziedzicznego władcy. Dokonała się zmiana decydująca o przyszłych losach monarchii, ponieważ przyszły mąż Jadwigi miałby uznać jej niekwestionowane pierwszeństwo w królestwie i dziedziczenie korony w linii małżonki. Rokowania o ślubie i kontrakcie małżeńskim z księciem litewskim Jagiełłą musiały uwzględniać nie tylko potencjał państwa, ale również istniejący stan prawny. Umowa przedmałżeńska nazywana unią w Krewie wprowadzała de facto nowy system sprawowania władzy i zmieniała podstawy ustrojowe kraju. Litwa została przyłączona do Polski (applicare), Jagiełło wraz z dworem ochrzcił się w obrządku katolickim, zaręczyny Jadwigi z Wilhelmem Habsburgiem zostały zerwane i zapadła decyzja o ślubie z litewskim księciem i jego koronacji na króla-współmałżonka.

Jednak najważniejszą modyfikacją wprowadzoną bardzo sprawnie i szybko był sam wybór władcy przez poddanych. Wąski krąg możnych małopolskich wskazał kandydata na męża Jadwigi, przeprowadził negocjacje i zatwierdził kierunek prowadzonej polityki. Była to zmiana wręcz rewolucyjna, ponieważ wprowadzała zasadę desygncji przy obejmowaniu tronu i tym samym zespół głównych doradców stawał się obok pary królewskiej najważniejszym podmiotem prawnym i politycznym. Niedługo później ta pierwsza transformacja ustrojowa, zmiana zasady dziedziczności tronu na system elekcyjny, została rozszerzona i w praktyce potwierdzona publicznie. Stało się to po śmierci Jadwigi w 1399 roku, kiedy, zgodnie z obowiązującą podstawą prawną, król Jagiełło chciał zrezygnować z tronu i usunąć się do swojego dziedzicznego dominium na Litwie. Niezależnie od tego, czy był to poważny zamiar, czy tylko test na lojalność poddanych i współpracowników, sam pomysł wynikał wprost z zajmowanej pozycji przy boku małżonki. O przyszłości monarchii i samego Jagiełły zdecydował tym razem sejmik generalny, który zgromadził rycerstwo ze wszystkich ziem Korony. Decyzje nie zapadały w niewielkim gronie najpotężniejszych rodów możnowładczych, ale zostały poddane procedurze konsultacji i wotowania na forum sejmikowym w tłumie zebranego rycerstwa. Precedens z Wiślicy stał się odtąd naczelną zasadą ustrojową, która niemal od razu rozszerzyła się na obowiązek konsultowania z rycerstwem wszystkich najważniejszych decyzji królewskich. Był to początek drogi prowadzącej do szlacheckiej demokracji parlamentarnej, która obowiązywała do upadku Rzeczypospolitej w końcu XVIII wieku.

Posiedzenia zgromadzeń parlamentarnych zarówno w skali prowincji na sejmikach generalnych, jak i całego kraju niedługo później stały się normą obowiązującą od początku panowania młodocianego króla Władysława III, nazwanego pośmiertnie Warneńczykiem. Zaczynał rządy w chwili śmierci ojca Władysława Jagiełły w wieku 10 lat, zatem w pierwszym okresie miał przy sobie radę opiekuńczą, która oficjalnie pomagała i doradzała, a w rzeczywistości sprawowała nad małoletnim monarchą pełną kuratelę. W grudniu 1438 roku, po ukończeniu przez króla 14 lat i osiągnięciu „wieku sprawnego”, sejm piotrkowski przyznał królowi „pełne prawo sprawowania rządów, już bez zarządców kraju”. Zwróćmy uwagę, że „pełnię władzy rządzenia” (plena potestas regiminis) przyznało władcy zgromadzenie parlamentarne, które tym samym zostało uznane za instytucję reprezentującą nadrzędny interes państwa. Powstała sytuacja prawna, która stawiała sejm walny ponad panującym, jako instytucji nie do omięcia w porządku ustrojowym. Reprezentacja narodu politycznego zyskiwała prawo nie tylko do współdecydowania o podatkach, zwoływaniu pospolitego ruszenia i wypowiedaniu wojny, a także o kierunkach polityki zagranicznej, ale przede wszystkim zdobywała status instytucji oceniającej panowanie i zdolność króla do sprawowania władzy.

**EPOKA JAGIELLOŃSKA
ODZNACZAŁA SIĘ CIĄGLĄ
WALKĄ O RÓWNOWAGĘ
SIĘ MIĘDZY WŁADCĄ
NAZNACZONYM Z ŁASKI
BOŻEJ I WYPOSAŻONYM
W SAKRALNY MANDAT
DO RZĄDZENIA
A PRZEDSTAWICIELAMI
WSPÓLNOTY NARODOWEJ,
KTÓRZY MIELI MANDAT
WYBORCZY I WŁADZĘ
STANOWIENIA PRAWA**

W okresie wielkiego bezkrólewia po śmierci Władysława Warneńczyka w latach 1444-1447 sejm walny zbierał się cztery razy. Obradował bez władcy, stając się jedyną instytucją państwa, która strzegła racji stanu i dbała o porządek w skali całego kraju. W tym czasie sejm przyznał sobie prawo do zarządzania wojskiem i administracją oraz do podejmowania akcji dyplomatycznej wykraczającej poza granice królestwa. Najważniejszym jednak uprawnieniem było prowadzenie negocjacji z kilkoma kandydatami w sprawie obsadzenia tronu. W chwili odmowy zaakceptowania warunków przez naturalnego dziedzica jagiellońskiego, Kazimierza Jagiellończyka, zebrani zdecydowali o powierzeniu korony mazowieckiemu Piastowi, Bolesławowi IV, księciu warszawskiemu, czerskiemu i ciechanowskiemu. Była to jawna demonstracja siły i niezależności przedstawicieli państwa wobec dotychczas rządzącej dynastii i posiadanych przez nią praw przyrodzonych. Tradycja, potęga wojskowa i pozycja polityczna przesądziły o zwycięstwie Kazimierza Jagiellończyka, który następnie przez całe panowanie próbował pomniejszyć rolę sejmiku i zwiększyć swoje kompetencje kosztem istniejącego już zwyczaju i obowiązującej praktyki. Mimo prowadzenia wieloletniej gry o pełną dominację nie uwierzył jej sukcesem i odtąd w polskim porządku konstytucyjnym monarcha musiał szukać konsensusu i porozumienia z polityczną reprezentacją narodu.

System sejmikowy stał się niezbywalną instytucją Rzeczypospolitej, która nie tylko włączała do rządzenia lokalne wspólnoty szlacheckie, ale również wzmacniała ich identyfikację z państwem i monarchią. Epoka jagiellońska odznaczała się ciągłą walką o równowagę sił między władcą naznaczonym z łaski Bożej i wyposażonym w sakralny mandat do rządzenia a przedstawicielami wspólnoty narodowej, którzy mieli mandat wyborczy i władzę stanowienia prawa. Mimo dużego autorytetu króla nic nie było z góry przesądzone, żadna decyzja nie mogła się

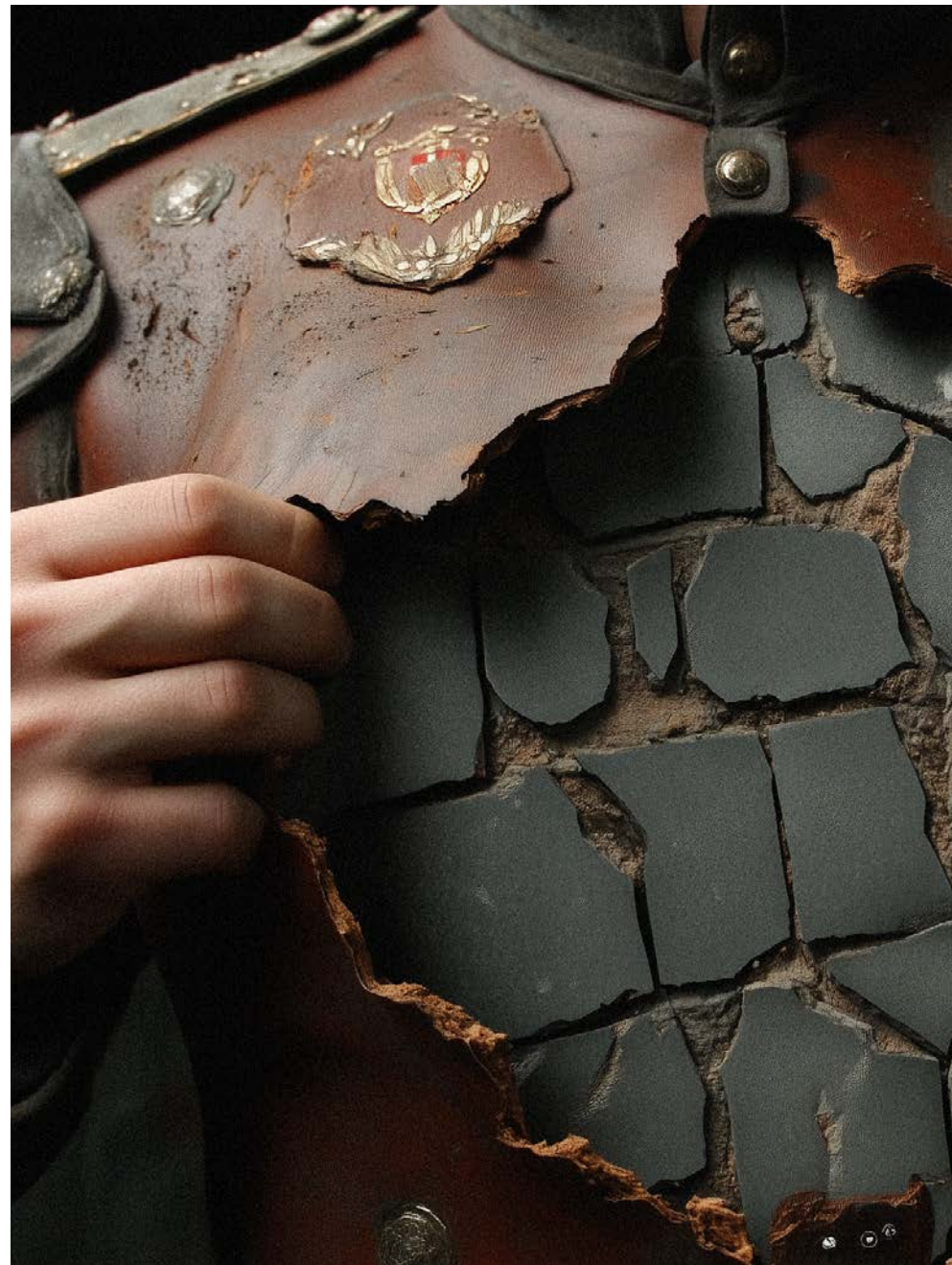
ostać bez utarcia jej na sesji parlamentarnej, każda obietnica awansu musiała być zgodna z tradycyjną hierarchią zmian w obejmowanych urządach i tylko ostateczna determinacja monarchy mogła za cenę awantury przesądzić o ostatecznej nominacji. Powstały w II połowie XV wieku ustroj Korony był z jednej strony skutkiem precedensowych rozstrzygnięć faktycznych, a z drugiej strony wynikał z długiego korowodu niekończących się batalii polityczno-prawnych. Schyłek epoki jagiellońskiej stał się zarazem końcem funkcjonowania rozwiązań ustrojowych zapoczątkowanych niemal dwa wieki wcześniej w trakcie panowania pierwszego Jagiellona. Dopiero ugoda polityczna, jaką przyniosła Unia Lubelska w 1569 roku oraz pierwsza wolna elekcja w 1572 roku, stworzyły wyraźne odmienną sytuację ustrojową i zapoczątkowały nową erę.

Okres królów obieralnych, zapoczątkowany wolną elekcją Henryka Walezego, przyniósł z kolei cenę doświadczenie wolności obywatelskiej. Niezwykłe w ówczesnej Europie prawo całego stanu szlacheckiego, a także duchownego, do wolności osobistej, praw politycznych i do zachowania god-

ności jednostki stało się fundamentalną częścią dorobku Rzeczypospolitej przedrozbiorowej. Właśnie to dziedzictwo pozwoliło przetrwać niewolę rozbiorów i ponad stuletni brak własnego państwa. Mimo dramatycznych dyskusji i analiz poświęconych przyczynom upadku Polski, przy ciągłym rozdrapywaniu ran i powracających oskarżeniach o anarchię i brak zmysłu państwowego, wobec wcale niemałej grupy zdrajców i sprzedawczyków, mających w pogardzie polskie prawo do samostanowienia, polskość nie została stłumiona. W XIX wieku naro-

dziła się silna i świadoma wspólnota narodowa, która pielęgnowała własny język, rozwijała kulturę, ale nade wszystko ceniła wolność i honor. Tradycje parlamentarne i mocno osadzone w ustroju niezależne instytucje państwowe nie mogłyby odgrywać poczesnej roli w odrodzonej Polsce, gdy-

by nie umiłowanie wolności zarówno jednostki, jak i całego narodu. Drugą zasadniczo ważną cechą wyniesioną z dawnych dziejów było poczucie godności i przekonanie o majestacie Rzeczypospolitej, wywodzące się jeszcze z głębokiego średniowiecza, z okresu pierwszej monarchii piastowskiej i koronacji Bolesława Chrobrego i jego syna Mieszka II.



PODZIĘKOWANIA

Serdecznie dziękujemy wszystkim, którzy przyczynili się do powstania książki „50 pokoleń Polaków”.

Wyrazy wdzięczności kierujemy do autorów felietonów – wybitnych historyków, którzy z pasją i erudycją ukazali różnorodne wątki polskiej historii, tworząc bogaty obraz naszej tożsamości narodowej.

Dziękujemy zespołowi redakcyjnemu, współpracownikom i całemu Instytutowi Pokolenia za wsparcie merytoryczne i organizacyjne na każdym etapie pracy nad publikacją.

Szczególne podziękowania składamy Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej za życzliwość wobec projektu oraz inspirację do podejmowania rozmowy o dziedzictwie Polski.

Dziękujemy również ilustratorce, która stworzyła niezwykle kolaże – jej prace stały się artystycznym komentarzem do tekstów i wzbogaciły przekaz książki o dodatkową warstwę znaczeń.

Z nadzieją, że publikacja stanie się dla Czytelników źródłem refleksji i inspiracji,

Zespół Fundacji Instytut Pokolenia

